Tortury rekonstrukcji • Iga-pasta i inne bieda-dania
Nadgorliwi ojcowie • Spór o Kaszubów • Pomiary szczęścia

JOANNA KOŁACZKOWSKA
Żałoba w kabarecie

POLITYKA

POLITYKA.PL

© JAKUB WŁODEK/AGENCJA WYBORCZA

TYGODNIK, nr 30 (3524), 23.07–29.07.2025

Cena 13,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Brunatna fala

s. 4, 6, 16, 20, 24, 28

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EUR

ISSN 0032-3500

Wydanie w sprzedaży do 29.07.2025

eprasa.pl 6c8abdb715

KUP TERAZ

Letnie **łamanie głowy!**

Zagadki logiczne, liczbowe, słowne
i wiedzowe – każdy znajdzie coś dla siebie!

Do kupienia w punktach sprzedaży oraz na sklep.polityka.pl

eprasa.pl 6b8abdb715

© NAC

20
Spór o Kaszubów

Temat tygodnia

12 Joanna Podgórska **Światowa kariera biednej kuchni PRL**

Polityka

16 Wojciech Szacki **Grzegorz Braun: antysemityzm sterowany**
20 Martyna Bunda **„Nasi chłopcy": awantura wokół niełatwej historii**
24 Anna Dąbrowska **Bąkiewicz i spółka**

Społeczeństwo

28 Marcin Kołodziejczyk **Raport z litewskiej granicy**
32 Zbigniew Borek **Nadopiekuńczy ojcowie**
35 Ewa Wilk **Korpoludzie**
38 Paweł Walewski **Skok na główkę: sekundy, które łamią życie**

Rynek

40 Marcin Piątek **Kolonie, obozy, survivale – czyli jak wakacje spędzają młodzi i czego oczekują rodzice**
43 Joanna Solska **Gospodarka do rekonstrukcji**

Świat

46 Paweł Reszka, Albina Trubenkova **Julia Swyrydenko: kim jest nowa premier Ukrainy**
49 Marcin Żyła CHINY **Życie w Matriksie**
52 Adam Szostkiewicz TYBET **Dalajlama szuka następcy**
54 Marek Ostrowski PODRÓŻE Z POLITYKĄ **Piękny rejs Sekwaną**

Nauka/projektpulsar.pl

58 Rozmowa z prof. **Łukaszem Kaczmarkiem** o tym, co zrobić, żeby poczuć zadowolenie z życia
61 Agnieszka Krzemińska **Jak się dziś identyfikuje ofiary z masowych grobów**
64 Marta Alicja Trzeciak **Czy ChatGPT rzeczywiście niszczy mózg**

Ogląd i Pogląd

66 Janusz A. Majcherek **Kult ludu**

Historia

68 Marta Panas-Goworska, Andrzej Goworski **XVI-wieczna czarna wdowa**
71 PROSTO Z KSIĄŻKI
72 Michał Paziewski **1941: tajne pertraktacje Stalina z Hitlerem**

Kultura

78 Krzysztof Nowak **Muzyczny Wschód podbija polską scenę**
81 Piotr Sarzyński **Rynek sztuki: co kupujemy, w co inwestujemy**
84 Rozmowa z architektem **Jackiem Dominiczakiem** o tym, jak turystyka zmienia krajobraz Trójmiasta
87 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
88 Aleksandra Żelazińska **Joanna Kołaczkowska (1966–2025): wyrwa w kabarecie**

Ludzie i style

94–97 • **Spacery botaniczne** • **Koniec Moxie** • **Wymyślanie słów** • **Wakacje na Tasos** • **Trunki na Wimbledonie**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia • **74** Afisz • **90** Sulej • **91** Orliński • **92** Chutnik i Plebanek • **93** Do i od redakcji • **98** To jeszcze nie koniec

DRODZY CZYTELNICY!

Nasz tygodnik możecie teraz też nabyć w sklepach sieci Biedronka.
Polecamy się Państwa uwadze przy codziennych zakupach i zapraszamy do lektury!

COPYRIGHT © POLITYKA Spółka z o.o. SKA. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne, opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

© ZDJĘCIE NA OKŁADCE JOANNY KOŁACZKOWSKIEJ: MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA

eprasa.pl 6b8abdb715

Akcja migracja

Jerzy Baczyński

Ten plakat powinien być dobrze zapamiętany (s. 6). Przedstawia (tak by to pewnie opisali sami autorzy): wrzeszczącego Araba, wyszczerzonego Murzyna oraz śniadego terrorystę. Fotomontaż rozwiesiła po całym kraju Konfederacja, wzywając do marszów „Stop imigracji!". Dzieło ma budzić strach i nienawiść wobec nadciągających do Polski hord obcych rasowo bandziorów i gwałcicieli. Na zadawane politykom Konfederacji pytanie: „A gdzież owe agresywne hordy widzieli?", obowiązkowa odpowiedź brzmiała: „Właśnie w tym rzecz, że ich w Polsce nie ma. Więc nie można dopuścić, aby je Niemcy do nas wypychali".

Sławomir Mentzen dopytywany, czy zna statystyki Straży Granicznej, z których wynika, że liczby „imigrantów" docierających na terytorium Polski i ze wschodu, i z zachodu są minimalne, najniższe od lat (według SG próby nielegalnego przekroczenia granicy wschodniej są udaremniane w 98 proc., a Niemcy odesłali do Polski tylko ok. 300 cudzoziemców w ciągu pół roku) – powtarzał, że w żadne statystyki nie wierzy, bo przecież tysiące „nielegałów" mogą się przedostawać do Polski niezauważone. Wniosek pewnie taki, że „obywatelskie patrole" powinny szukać owych potencjalnych nielegalnych po kraju (może – przy okazji codziennych posiłków – legitymować obsługę kebabów i dostawców pizzy?). Incydent w Wałbrzychu – z pobiciem legalnego cudzoziemca, czy w Zamościu, gdzie zwyzywano czarnych muzyków goszczących na festiwalu, to oczywiste skutki nakręcanej od kilku tygodni „pogromowej atmosfery".

> Pora reagować na rasistowskie i antysemickie wybryki, głośno prostować kłamstwa na temat migracji

Wiemy, że nie chodzi tu o żadne fakty czy realne zagrożenie – cała antyimigrancka kampania jest polityczną kreacją, echem wyborów prezydenckich, a ściślej pierwszej tury. Znakomity wynik – łącznie ponad 20 proc. – osiągnięty przez Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna był sygnałem alarmowym dla PiS; Kaczyński po raz pierwszy „dał się odepchnąć od prawej ściany". Wyrosła mu radykalna konkurencja. PiS w swej retoryce był jednak trochę skrępowany wieloletnim sprawowaniem władzy (można było wypomnieć wspieranie Ukrainy, aferę wizową, serwilizm wobec „prożydowskiego" Trumpa itp.), a rywale mogli swobodnie sypać do pieca. Prawicę wszystkich krajów łączy dziś „walka z migracją", to główny polityczny lewar, zwłaszcza w krajach wielokulturowych, gdzie łatwo budować etniczną polaryzację. Ale patent jest uniwersalny: w kraju migrantów – tak wyjątkowo jednolitym narodowo i religijnie jak Polska – też działa, jeśli odpowiednio podsycać strach i obrzydzenie wobec wyobrażonego „araba, żyda, murzyna, banderowca".

Na prawicy zaczęła się więc rywalizacja, kto będzie bardziej antyimigrancki. Ponieważ rząd Tuska mocno uszczelnił granicę wschodnią (także z Litwą – reportaż na s. 28), PiS przerzucił się na zachód. Wysłanie na granicę wyhodowanej przez PiS bojówki Roberta Bąkiewicza („ormowca PiS", więcej o nim s. 24) było pośrednim atakiem na Konfederację, próbą odebrania jej inicjatywy. Grzegorz Braun wszedł do licytacji, zagrywając ostrym antysemityzmem („kłamstwem jest Holocaust, a prawdą żydowskie mordy rytualne").

Ponieważ sondażowo to dało Braunowi kolejne przyrosty popularności (głównie wśród młodych mężczyzn), dawni koledzy z Konfederacji wezwali do ulicznych manifestacji. Organizatorem był Ruch Narodowy Krzysztofa Bosaka, który zapewne w ten sposób przypomniał, że Konfa to nie tylko Mentzen i jego coraz silniejsza Nowa Nadzieja, a on sam – skądinąd wicemarszałek Sejmu i „miły chłopak" – jest nawet lepszy od kolegi w rasistowskich narracjach.

Na to PiS odpowiada zbieraniem podpisów pod (ponownym) referendum „za odrzuceniem paktu migracyjnego". Partia rozkręciła też histerię przeciw „Niemcom – Kaszubom" w związku z gdańską wystawą „Nasi chłopcy" (więcej na s. 20). Niewątpliwie po 6 sierpnia do „akcji patriotycznych" dołączy prezydent Nawrocki. I tak to się będzie nakręcać; polska prawica zaczęła szybko brunatnieć.

Jak na to może odpowiedzieć rządząca (wciąż jeszcze) demokratyczna koalicja? Wojciech Orliński pisze (s. 91), że politycy koalicji „widząc, że prawicowe szczucie przysparza głosów, zaczynają się do niego przyłączać". Nawet jeśli to tylko przestroga, faktem jest, że premier Tusk nie zabrał głosu ani w sprawie konfederackich manifestacji, ani ataków na jego rodzimych Kaszubów. Także kontrolowana przez rząd policja i prokuratura pozostają łagodne, nieobecne wobec ekscesów narodowców, bojówek Bąkiewicza czy prowokacji Grzegorza Brauna. Jakby demokratyczne państwo dało się zastraszyć i zakrzyczeć. Ale notowania rządu są tak słabe, że zmiana taktyki nie jest już ryzykiem. Pora reagować na rasistowskie i antysemickie wybryki, głośno prostować kłamstwa na temat migracji, bronić prawa do bezpiecznej obecności imigrantów w Polsce. Pomoc państwa powinny otrzymać organizacje pozarządowe wspierające integrację; pokazywać trzeba prawdziwe historie wżytych w Polskę pracujących między nami setek tysięcy „naszych cudzoziemców". Odwołania do faktów, do małych ludzkich historii i do wielkiej historii – zwłaszcza tej strasznej XX-wiecznej – to konieczna dziś odtrutka na brunatną infekcję.

Marian Turski, tuż przed śmiercią, podczas ostatniego swego wystąpienia w Auschwitz mówił, że kiedy stajemy wobec aktów pogardy i przemocy, moralnym nakazem jest nie ustępować, „nie bać się! Nie bać się wcale". Rekonstrukcja rządu i koalicji musi najpierw nastąpić w głowach.

eprasa.pl 6b8abdb715

Albatros travel

4,5/5

Wielki rejs po Nilu

Wybierz się w fantastyczny, dwutygodniowy rejs po Nilu z Kairu aż do Asuanu i zobacz wszystkie najważniejsze zabytki starożytnego Egiptu.

Nasza przygoda w Egipcie zaczyna się od zwiedzania Kairu z Muzeum Egipskim i słynnymi piramidami w Gizie, aby następnie popłynąć na południe, podziwiając zielone krajobrazy i odkrywając bogactwo egipskiej historii. Odwiedzimy m.in. grobowce w Beni Hassan, katakumby w Tuna el-Gebel i miasto Echnatona w Amarnie. W Luksorze zwiedzimy imponujące świątynie: Karnak, Luksor i Królowej Hatszepsut oraz grobowce w Dolinie Królów, a rejs zakończymy w Asuanie odwiedzając świątynie Horusa i Izydy oraz Tamę Asuańską. Ten rejs to komfortowy sposób na poznanie największych skarbów Egiptu.

Pełne wyżywienie na statku

16 dni
Wylot z Warszawy
30/03 2026

19.998,-

NOWOŚĆ

4 degustacje wina w cenie

Smaki Francji – Szampania i Burgundia

Ekscytująca wyprawa szlakiem historycznych miast, wybornej kuchni i najlepszych francuskich win od stolicy szampana Épernay przez Reims i region białego wina Chablis do Dijon i Beaune w Burgundii.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot do Paryża. Spacer po Reims i wspólna kolacja w restauracji. **Dz. 2** Wizyta w domach szampana w Épernay z degustacją i urokliwe Hautvillers. **Dz. 3** Reims – Troyes – Dijon. Z Szampanii do Burgundii. Zwiedzanie malowniczego Troyes z domami szachulcowymi. **Dz. 4** Gastronomiczna wędrówka po Dijon i winnicach Côte d'Or. **Dz. 5** Burgundia i urocze miasto Beaune. Spacer po średniowiecznym Beaune z degustacją win. **Dz. 6** Wizyta w miasteczku Chablis i degustacja wina, Auxerre i powrót do domu z Paryża.

6 dni | Wylot z Warszawy 11/09 2025 | 6.498,-

4,7/5

3 posiłki dziennie

Tajemnicza Azja Centralna

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Aszchabadu, Turkmenistan i zwiedzanie. **Dz. 3** Aszchabad. Wycieczka po mieście, cytadela Nisa, mauzoleum i meczet Turkmenbaszy, ruiny meczetu Anau. Przejazd do starożytnego miasta-oazy Mary. **Dz. 4** Zwiedzanie Merw z listy UNESCO i przejazd do Buchary. **Dz. 5** Buchara. Zwiedzanie miasta i kolacja z pokazem folklorystycznym w madrasie. **Dz. 6** Czas wolny w Bucharze i szybki pociąg do Samarkandy. **Dz. 7** Samarkanda. Wycieczka po mieście. **Dz. 8** Przejazd do Chodżentu w Tadżykistanie i wizyta w starożytnym Pandżakent. **Dz. 9** Zwiedzanie Chodżentu z Pałacem Kultury Arbob i bazarem oraz panoramiczna wycieczka po Taszkencie. **Dz. 10** Park miejski w Szymkencie, mauzoleum Aiszy Bibi i przyjazd do Taraz (Kazachstan). **Dz. 11** Akyrtas - kazachskie Stonehenge i zwiedzanie stolicy Kirgistanu, Biszkeku. **Dz. 12** Biszkek. Wycieczka do P.N. Ala-Archa. **Dz. 13** Biszkek – Ałma-Aty, Kazachstan. Wycieczka po mieście m.in. park Panfiłowa ze słynnym drewnianym soborem. **Dz. 14** Wylot do Polski.

14 dni | Wyloty z Warszawy 30/09 2025, 12/05, 06/10 2026 | od 16.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL28**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 6b8abdb715

W sobotę przez cały kraj przeszły organizowane przez Konfederację manifestacje pod hasłem „Stop imigracji!", wyrażające poparcie dla samozwańczych obrońców granic. Protestowano w 80 miejscowościach, w tym dużych miastach, m.in. w Białymstoku, Gdańsku, Krakowie, Poznaniu, Toruniu, we Wrocławiu oraz w Warszawie i Katowicach (gdzie w demonstracjach wzięło udział po kilka tysięcy osób). Lider Konfederacji Sławomir Mentzen (Nowa Nadzieja) pojawił się na pikiecie w Toruniu, a Krzysztof Bosak, szef Ruchu Narodowego wchodzącego w skład Konfederacji – w Białymstoku. W wielu miastach manifestacjom antyimigranckim towarzyszyły kontrmanifestacje zorganizowane przez środowiska lewicowe. Na fot. **plakat rozklejany przez Konfederację**.

Więcej na s. 16 (o Braunie), na s. 24 (o Bąkiewiczu), na s. 28 (o sytuacji na litewskiej granicy).

Zmiany, zmiany, zmiany...

Sondaże partyjne po wyborach prezydenckich przynoszą złe wieści dla udziałowców koalicji rządzącej. Na prowadzenie wrócił PiS, który ma z kolei kłopoty z prawicową konkurencją.

Gdyby wybory parlamentarne odbyły się teraz, mielibyśmy olbrzymie zmiany w Sejmie, obecny obóz rządzący pożegnałby się z władzą, a w części nawet z poselskimi mandatami. Kryzys nie dotknął jednak wszystkich koalicjantów w takim samym stopniu. KO się trzyma – jej średnie notowania są mniej więcej takie same jak poparcie w wyborach 2023 r., czyli ok. 30 proc. To pozwoliłoby ponownie wprowadzić do Sejmu stu kilkudziesięciu posłów. Nie najgorzej miewa się także Lewica (nieco ponad 6 proc.), która wprawdzie jest nieco słabsza niż jesienią 2023 r. (dostała wówczas 8,6 proc. głosów), ale we wszystkich sondażach przekracza próg wyborczy i nieznacznie wygrywa rywalizację z opozycyjną Partią Razem, której poparcie w czerwcowych i lipcowych sondażach wahało się z kolei od 3 do 6 proc.

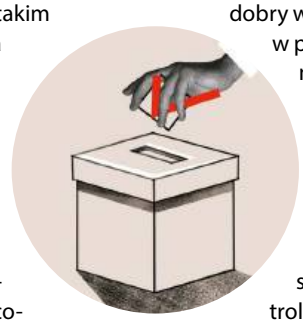

Katastrofalnie przedstawia się natomiast sytuacja sierot po Trzeciej Drodze, która niecałe dwa lata temu w wyścigu do Sejmu przybiegła trzecia z poparciem ponad 14 proc. Odkąd obie partie po wyborach prezydenckich powróciły do swoich szyldów, Polska 2050 i PSL regularnie lądują pod progiem wyborczym w sondażach wszystkich pracowni. W tym duecie nieznacznie silniejsze jest ugrupowanie Szymona Hołowni (ze średnim poparciem ok. 3,5 proc.); notowania PSL wahają się natomiast od 1 do 4 proc.

Co słychać na prawicy? Na prowadzenie w sondażach wrócił PiS, ale jego przewaga nad KO jest minimalna, a poparcie – w okolicach 30 proc. – wyraźnie niższe niż w wyborach w 2023 r. (35,4 proc.). Partii Jarosława Kaczyńskiego wyrośli dwaj poważni rywale na prawicy. Konfederacja po sukcesie Sławomira Mentzena w pierwszej turze wyborów prezydenckich zbiera w sondażach 12–17 proc. Z kolei dobry wynik Grzegorza Brauna (ponad 6 proc. i czwarte miejsce w pierwszej turze wyborów prezydenckich) pozwolił zaistnieć w badaniach jego partii – średnie notowania Korony z ostatnich 30 dni przekraczają 5 proc.

Wyłania się z tych wyników obraz bardzo niepokojący dla zwolenników obecnej koalicji. Polscy wyborcy wciąż są podzieleni na dwie niemal równe części (łączne poparcie dla KO, Lewicy, Polski 2050, PSL i Razem to ok. 45 proc.), ale podział poparcia w poszczególnych obozach jest skrajnie niekorzystny dla centrolewu. Lewica jest podzielona, a Polska 2050 i PSL mają minimalne szanse na przekroczenie progu. Prawica – i to bez Korony – ma wspólnie prawie 50 proc. poparcia i mogłaby dziś liczyć na 260–270 mandatów w Sejmie. Co z kolei skłania do przypuszczeń, że scenę polityczną po stronie rządowej czeka jakieś przetasowanie; nie za długo wrócą zapewne dywagacje o wspólnej liście lub wieści o nowych partiach. WBS

© MARCIN KOŁODZIEJCZYK, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 6b8abdb715

Co zmieni wyrok?

Do więzienia za odmowę aborcji, a nie za jej przeprowadzenie.

Po czterech latach od śmierci **Izabeli z Pszczyny** przed Sądem Rejonowym w Pszczynie zapadł wyrok: kara pozbawienia wolności dla każdego z trzech lekarzy, którzy opiekowali się kobietą. W dwóch przypadkach jest to kara bez zawieszenia. Dyżurujący w szpitalu Andrzej P. spędzi w zakładzie karnym rok i sześć miesięcy, a pełniący poranny dyżur w izbie przyjęć pszczyńskiego szpitala Michał M. – rok i trzy miesiące. Każdemu z lekarzy sąd odebrał na sześć lat prawo wykonywania zawodu. Wyrok nie jest prawomocny.

Śmierć Izabeli z Pszczyny stała się nie tylko osobistą tragedią rodziny, ale też symbolem absurdalnej sytuacji, jaka nastała w Polsce po wyroku Trybunału Julii Przyłębskiej. W 2020 r., pomimo ogromnych protestów społecznych, wyłączono możliwość przerywania ciąży ze względu na wady rozwojowe płodu. W styczniu 2021 r. werdykt opublikowano. Izabela została przyjęta na oddział kilka miesięcy później, w 22. tygodniu źle rozwijającej się ciąży, po odejściu wód płodowych. Wiedziała – bo taką informację otrzymała od lekarzy – że w jej ciele rozwija się sepsa, i że sytuacja jest groźna dla jej życia. Rozumiała też, że nie może liczyć na pomoc; ze słów lekarzy, ale też atmosfery na oddziale wnioskowała, że „aborcyjna panika" związana z wyrokiem trybunału sparaliżowała lekarzy obawiających się, że mogliby odpowiedzieć karnie za przerwanie ciąży.

Proces był niejawny, ale wiadomo, że w trakcie składania zeznań lekarze nie podnosili argumentu, że działali w poczuciu, że wyrok trybunału wiąże im ręce. Twierdzili, że są niewinni i działali zgodnie ze sztuką lekarską.

Znamienna jest reakcja na werdykt sądu środowisk, które od lat forsują całkowity zakaz aborcji w Polsce – a teraz zgodnie odwróciły się od lekarzy z Pszczyny. Kaja Godek przekonuje na swoim Facebooku, że to nie prawo jest złe, ale lekarze, którzy je złamali. Ale do tych wywodów zaraz dorzuca insynuację, że w przypadku Izabeli z Pszczyny być może na początku tej tragedii był jeszcze jeden przestępca, jakiś „lekarz – aborter", który po niepomyślnej diagnozie próbował przeprowadzić nielegalny zabieg… „W takich sytuacjach czasem traci życie dziecko, a czasem i dziecko, i matka. Bo, co do zasady, kobiety zabija aborcja, a nie jej zakaz" – napisała. Uznając tym samym, że jej ręce są czyste.

Samo, zaostrzone wyrokiem prawo antyaborcyjne, pomimo zmiany władzy po wyborach, pozostało bez zmian. Radykalnego zejścia z obłąkańczego kursu nie udało się przeprowadzić. Pozostają półśrodki – np. dokumenty wydawane przez ministrę zdrowia. W tym rozporządzenie, doprecyzowujące przepisy i rozwiewające wątpliwości – lekarze zawsze mają obowiązek ratować życie kobiety i przeprowadzać aborcję, nawet jeśli zagrożenie wynika z przesłanek zdrowia psychicznego. Coś się więc zmienia, ale bardzo powoli, a jednym ze źródeł oporu jest właśnie środowisko medyczne. Dlatego też tym ważniejszy jest pszczyński wyrok – bo nazywa sprawy po imieniu. A w tym wypadku – również po inicjale nazwiska.

MARTYNA BUNDA

„Donos" do Watykanu

Wstawanie z kolan? Ministerstwo Spraw Zagranicznych wystosowało notę protestacyjną do Watykanu. Polski ambasador akredytowany przy Stolicy Apostolskiej Adam Kwiatkowski, były szef kancelarii prezydenta Dudy, przekazał ją 15 lipca szefowi watykańskiego protokołu dyplomatycznego. Protest dotyczy wątków politycznych w kazaniach biskupów Antoniego Długosza i **Wiesława Meringa** wygłoszonych na Jasnej Górze do uczestników pielgrzymki Radia Maryja w weekend poprzedzający złożenie noty.

Nota wyraża sprzeciw wobec dezinformacji, manipulacji, insynuacji, które w ocenie MSZ wypaczają i fałszują politykę rządu tak krzywdząco, że wywołują głębokie oburzenie. Uderzają w dobre relacje polsko-niemieckie, „oczerniają rząd", wspierają siły nacjonalistyczne. Słowem: stanowią ingerencję w wewnętrzne sprawy państwa polskiego. Na dodatek naruszają konkordat (życzliwy rozdział państwa i Kościoła, niemieszanie się duchownych do bieżącej polityki).

Czy, jak i kiedy na *demarche* odpowie dyplomacja watykańska, nie wiemy. Wiemy, że młyny watykańskie mielą powoli, zwłaszcza w niewygodnych sprawach. A taką z pewnością jest bezprecedensowy ministerialny protest przeciwko politykierstwu w polskim Kościele. Przywołuje dwa przykłady, ale rzecz dotyczy przecież polaryzującego prawicowego wzmożenia wśród kleru, episkopatu oraz katolików świeckich. I z tych środowisk odezwały się od razu głosy krytyczne. Koncentrowały się głównie na tropieniu błędów formalnych i domniemanej ignorancji dotyczącej funkcjonowania Kościoła. Bo na czym np. ma polegać „wyciągnięcie konsekwencji" wobec inkryminowanych biskupów, skoro są emerytami? Ogólnie więc: „totalna kompromitacja MSZ".

Ostro protest skrytykował ks. prof. Andrzej Kobyliński: potrzebujemy debaty, a nie „składania donosów na obcych dworach", to ośmiesza Polskę. I zasugerował, bez dowodów, że za notą stoi związany z Opus Dei Roman Giertych. Ale były też inne głosy w tym samym Kościele. Abp Józef Kupny, metropolita wrocławski, w nawiązaniu do treści noty, przywołującej przełomowy list biskupów polskich do niemieckich z 1965 r., przyznał, że woli słowa „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie" zamiast cytatu ze staropolskiego sarmaty, że „Nie będzie Niemiec nigdy Polakowi bratem". Spoza Kościoła odezwał się prawnik i publicysta Artur Nowak: nota MSZ to dowód, że Rzeczpospolita wstaje z kolan w relacjach z Kościołem. Bo mówi Watykanowi, że ambony nie można traktować „jak trybuny partyjnej agitacji". Ale czy Watykan usłucha? (ASZO)

eprasa.pl 6b8abdb715

TYDZIEŃ W POLITYCE

Rekonstrukcjaaa...

Anna Materska-Sosnowska
Politolożka, adiunkt UW, członkini zarządu Fundacji Batorego.

Rekonstrukcja gabinetu Donalda Tuska miała być chirurgicznym cięciem po prezydenckiej klęsce koalicji 15 października, ale zamiast operacji „mniejszego zwrotnego rządu" dostaliśmy „niekończącą się nowelę" o braku koalicyjnej zgody. Winę za to ponosi wyrachowana kalkulacja słabych partnerów, którzy próbują ugrać ostatnie przywileje, zanim przykryje ich sondażowa fala. Donald Tusk zapowiadał sprint, tymczasem brnie przez bagna. Czerwiec był momentem idealnym: wyborcza klęska dawała moralną legitymację do „uderzenia w stół", a Sejm pracował w rytmie, który pozwalał na szybkie zaprzysiężenie nowych ministrów. Dziś tempo dyktują urlop marszałka Hołowni i partykularne licytacje o jedną–dwie teki więcej, a każda doba zwłoki to dowód, że ster w KPRM trzyma nie premier, lecz koalicyjni negocjatorzy.

Koszt polityczny odwlekania rośnie. W sondażu United Surveys PiS wyprzedza KO 29,2 do 28,2 proc., a Polska 2050 i PSL znajdują się poza Sejmem (przegląd sondaży na s. 6). Trzy czwarte badanych uważa, że projekt Hołowni się rozpadnie. Dodatkowo Lewica może ugrzęznąć zarówno w sporach wewnętrznych o przywództwo, jak i ideologicznych z Razem. Każdy dzień przeciągania rekonstrukcji wzmacnia narrację o „rządzie w kryzysie" i tuczy opozycję. Premier traci też siłę przetargową wobec koalicjantów, społeczeństwa, a także prezydenta elekta Karola Nawrockiego, który już od 6 sierpnia na pewno nie będzie ułatwiał pracy rządowi. Tak więc nikt nie ma dziś mocnej karty, a jednak każdy podbija stawkę, blokując ruchy przeciwników. To *logika oblężonego bazaru*, nie drużyny walczącej o mandat na 2027 r.

Nadal jednak można zmienić tę dynamikę. Dzisiaj rząd obecnej koalicji bez Donalda Tuska jest niemożliwy. A sam premier musi zmienić dynamikę ostatnich tygodni. KO narzuci ton tylko wtedy, gdy zaproponuje partnerom udział w sprawczości, a nie w kolejnym podziale łupów. Pokaże, po co ma rządzić, i zrealizuje obietnice. Żeby rząd przetrwał, rekonstrukcja musi obejmować nie tylko nazwiska, lecz także nowy regulamin Rady Ministrów, aby uciąć wojny o „jedną tekę więcej" i wzmocnić decyzyjność. Trzeba też ustalić harmonogram ustaw „prezydenckoodpornych", a w warstwie komunikacyjnej wdrożyć briefing 24/7: dwuminutowa aktualizacja KPRM na wzór Downing Street daje rządowi narracyjną przewagę i odbiera partnerom pokusę „kontrolowanych przecieków".

23 lipca w dzień rekonstrukcji nadchodzi ostatni moment, by zamienić arytmetyczną większość w polityczną sprawczość i odwrócić wrażenie dryfu, a koalicja – choć osłabiona – otrzyma szansę na jesienne odbicie. Jeśli premier wyjdzie tylko ze zmianami kadrowymi, to otwiera autostradę do powrotu populistów do władzy i spycha koalicję w defensywę, której nie zatrzyma nawet 60 mld euro z KPO. Premier przegra nie tylko moment polityczny, lecz także własną wiarygodność. A koalicja? W najlepszym razie stanie się zakładnikiem własnych rachunków, w najgorszym – historią. Polityka nie znosi próżni.

O rekonstrukcji w resortach gospodarczych, s. 43

Krawiec Urban

Trwający ponad miesiąc wakat na stanowisku trenera piłkarskiej reprezentacji Polski dobiegł końca. Prezes Polskiego Związku Piłki Nożnej Cezary Kulesza postawił na **Jana Urbana**, czyli tego, który od początku był faworytem większości rodzimych dziennikarzy i ekspertów futbolowych. Urban jest w środowisku powszechnie lubiany, ma duży urok osobisty, lubi skracać dystans, a kariera, jaką zrobił w latach 90. jako napastnik w lidze hiszpańskiej, nie przyprawia go o poczucie wyższości. No i nie wypadł z zawodu od ładnych kilkunastu lat, choć po dobrym początku – mistrzostwo i Puchar Polski z Legią Warszawa – ostatnio długo pracował w Górniku Zabrze, ligowym średniaku.

Prezes Kulesza rozkoszował się faktem, że wybór selekcjonera to jego autonomiczna decyzja, przeciągał wybór, sugerował głęboki namysł i analizę kandydatur, jednak nie raczył ujawnić kryteriów, które brał pod uwagę. Nie ogłosił też konkursu na autorski pomysł, jak wydobyć z kryzysu reprezentację, poważnie zagrożoną brakiem awansu na przyszłoroczny mundial. Trenerka to zawód obciążony wysokim ryzykiem bezrobocia, na rynku podaż przeważa nad popytem, niejeden zagraniczny fachowiec z niezłym dorobkiem był do wzięcia, jednak z przecieków wynikało, że Kulesza skłaniał się ku „opcji polskiej". Jedyny rodzimy szkoleniowiec, który z powodzeniem radzi sobie na obczyźnie, to Maciej Skorża (z Urawa Red Diamonds wygrał azjatycką Ligę Mistrzów), propozycję od prezesa dostał, ale odmówił. Inni mają za słabą markę, by interesowali się nimi zagraniczni pracodawcy. Urban również.

Miękkie kompetencje nowego selekcjonera mają pomóc w skłonieniu do powrotu Roberta Lewandowskiego. Jednak żeby ten strzelał dla nas gole, ktoś musi mu dograć piłkę. Tymczasem problemem Urbana, tak jak każdego, który znalazłby się na jego miejscu, jest marna jakość kandydatów do reprezentacji. Polscy piłkarze odgrywają w zagranicznych klubach coraz mniejsze role, eksport z Ekstraklasy właściwie stanął, w lidze kandydatów do drużyny narodowej trzeba ze świecą szukać. Jan Urban znalazł się w sytuacji krawca, któremu nie staje materii. A czasu na fastrygowanie i cerowanie nie ma wiele. Już we wrześniu kluczowe dla gry w barażach o mundial mecze z Holandią i Finlandią. Ci pierwsi są poza zasięgiem, a z tymi drugimi niedawno przegraliśmy. MP

© MARCIN WZIONTEK/SE/EAST NEWS, P. DZIURMAN/REPORTER

eprasa.pl 6b8abdb715

POLITYKA

Zaprenumeruj nasz tygodnik przez

InPost Paczkomat 24/7

- **Gwarantowana dostawa w środę**
  do wybranego InPost Paczkomat 24/7
- **Darmowa przesyłka**
  przez cały okres prenumeraty
- **Niższa cena za egzemplarz**
  niż w punktach sprzedaży

InPost

Jak to działa?

- Podczas zakupu wybierasz swój ulubiony InPost Paczkomat.
- Otrzymasz SMS i/lub email o tym, że możesz już odebrać nowy numer „Polityki”.

569 zł za rok
Oszczędzasz 150 zł
Tylko ~~13,90~~ 11 zł za numer

299 zł za pół roku
Oszczędzasz 60 zł
Tylko ~~13,90~~ 11,50 zł za numer

blik PayU

Wejdź na **polityka.pl/paczkomat** lub zeskanuj kod QR:

eprasa.pl 6b8abdb715

Trump, Epstein i głębokie państwo

„Mogę w biały dzień zastrzelić kogoś na środku ulicy w Nowym Jorku, a i tak nie stracę poparcia moich wyborców" – stwierdził kiedyś **Donald Trump**. Długo się wydawało, że to prawda, a jednak są granice, których nie może przekroczyć. Nawet jego najwierniejsi fani się zbuntowali, gdy Departament Sprawiedliwości na początku lipca niespodziewanie ogłosił, że zamyka sprawę **Jeffreya Epsteina**, osławionego multimilionera, ulubieńca elit Nowego Jorku i Florydy, który wykorzystywał młode dziewczęta na skalę niemal przemysłową, a wkrótce po aresztowaniu w 2019 r. znaleziono go martwego w celi, gdzie rzekomo popełnił samobójstwo. Z dziennikarskich i prokuratorskich śledztw wiadomo, że werbował ofiary nie tylko dla siebie, lecz także dla znajomych i przyjaciół. Wielu uważa, że został zamordowany, bo jego wspólnicy obawiali się, że zacznie sypać.

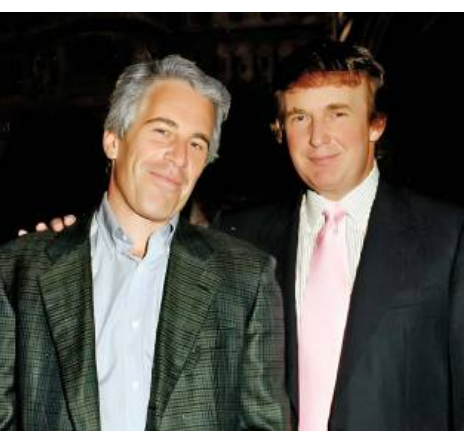

Na tych podejrzeniach i spiskowych teoriach żerowali ludzie z otoczenia Trumpa, którzy w ubiegłorocznej kampanii wyborczej się odgrażali, że ujawnią tzw. listę Epsteina, czyli nazwiska ludzi z zepsutych liberalnych elit, którym podsuwał dziewczęta. Zapowiadali to m.in. J.D. Vance, który został wiceprezydentem, narwany prawnik Kash Patel (dziś szef CIA) i podkaster Dan Bongino (obecnie zastępca Patela). W lutym Pam Bondi, świeżo mianowana przez Trumpa na prokuratora generalnego, mówiła w telewizji Fox News, że lista Epsteina leży na jej biurku i wkrótce zostanie opublikowana. Ale jakoś nie została. Dlaczego? „Dlatego, że sam Trump jest na tej liście!" – mściwie tweetował Elon Musk, kiedy stracił stanowisko prezydenckiego doradcy ds. odchudzania administracji rządowej (jest faktem, że Trump i Epstein byli kiedyś bardzo dobrymi znajomymi, ale ok. 2005 r. całkowicie zerwali kontakty). Za sugestię, że ta znajomość miała seksualny podtekst, Trump zażądał od gazety „Wall Street Journal" i jej właściciela Ruperta Murdocha 10 mld dol. odszkodowania.

Dwa tygodnie temu Departament Sprawiedliwości ogłosił, że lista nie zostanie opublikowana, bo… nie istnieje. Epstein rzeczywiście popełnił samobójstwo, żadnych nowych poszlak w jego sprawie nie ma i dlatego zostaje ona zamknięta, a jej akta nie zostaną otwarte. To wywołało w świecie trumpistów szok. Prawicowi influencerzy, osobowości telewizyjne, a nawet republikańscy kongresmeni zaczęli się głośno domagać ujawnienia pełnych akt sprawy Epsteina. Poirytowany buntem we własnych szeregach Trump publicznie wyraził zdumienie, że „tylu ludzi interesuje się od dawna martwym zboczeńcem", i oskarżył Demokratów, że wyciągają tę sprawę, żeby „odwrócić uwagę narodu od niesamowitych sukcesów pierwszego półrocza prezydentury".

To nie uspokoiło protestujących trumpistów. Niektórzy przebąkują, że Trump stał się częścią głębokiego państwa, które obiecywał obalić. W czwartek prezydent częściowo się ugiął – bodaj pierwszy raz w karierze – i ogłosił, że „w odpowiedzi na absurdalne powszechne zainteresowanie Departament Sprawiedliwości wystąpił do sądu o ujawnienie materiału dowodowego, który w 2019 r. prokuratura przedstawiła ławie przysięgłych". Co nie wyciszy afery, bo w sprawie Epsteina teorie spiskowe wydają się dużo bardziej prawdopodobne niż oficjalna wersja zawarta w aktach.

MARIUSZ ZAWADZKI

W imię druzów

Wzeszłym tygodniu Izrael kolejny raz bez prawnego uzasadnienia zaatakował inne państwo, tym razem Syrię. Miała to być reakcja na starcia między islamskimi bojówkami i druzami na jej terytorium w pobliżu granicy z Izraelem. Siły izraelskie – oficjalnie w obronie druzów – uderzyły również na budynki rządowe w Damaszku, sugerując, że rząd Ahmada asz-Szary wspiera islamistów. W sobotę ogłoszono zawieszenie broni, Izrael zgodził się też na tymczasowe wejście oddziałów rządowych do As-Suwajdy, gdzie doszło do starć. Rząd Beniamina Netanjahu przekonuje, że izraelska interwencja to również działania samoobronne, bo nie chce dopuścić, żeby tereny przygraniczne opanowali islamiści.

Syrią wstrząsają wewnętrzne niepokoje, odkąd w grudniu koalicja islamskich bojówek obaliła reżim Baszara Asada. Ale jeszcze przed jego upadkiem część kraju była poza kontrolą Damaszku, bo różne grupy religijne i etniczne zorganizowały swoje formacje, aby bronić się przed siłami Asada. M.in. z tego powodu nowy rząd syryjski ma teraz problem ze zintegrowaniem państwa. W marcu wybuchły krwawe zamieszki między częścią zwycięskich bojówek a oddziałami szyickiej sekty alawitów, z której wywodziła się rodzina Asadów i duża część elit obalonego reżimu. Kilka tygodni temu zaczęły się starcia w As-Suwajdzie, w których stroną defensywną była kolejna sekta – druzowie. Wspólny mianownik tych konfliktów to obawa, że dominujące dziś w Syrii siły islamistyczne, tylko częściowo lojalne wobec rządu asz-Szary, chcą – niezależnie od czysto rabunkowej motywacji – usunąć z kraju „heretyków".

Druzowie, których początki sięgają XI w., to dla nich oczywisty cel. Wywodzą się z szyickich ismailitów, ale nie uważają się za muzułmanów. Otacza ich aura tajemnicy, bo nie dopuszczają obcych do swoich świętych tekstów i rytuałów. Ich monoteistyczna religia łączy elementy filozofii greckiej, hinduizmu i neoplatonizmu, a druzem można zostać tylko z urodzenia. Na całym świecie jest ich około miliona, ponad połowa żyje w Syrii, a pozostała część w Libanie oraz Izraelu (ok. 145 tys.), gdzie służą w armii. Na tej podstawie Izrael poczuwa się do ochrony druzów w Syrii, ale dla większości ekspertów jest to jedynie pretekst do interwencji – premierowi Netanjahu zależy na tym, aby utrzymać Syrię w stanie kontrolowanego chaosu, bo obawia się, że zintegrowana i stabilna będzie zagrażać bezpieczeństwu Izraela.

eprasa.pl 6b8abdb715

Słoweński precedens

Referendum o wyjściu Słowenii z NATO nie będzie. A być mogło, bo chciał go liberalny premier **Robert Golob**. Próbował w ten sposób ratować nurkujące sondaże i zdyscyplinować koalicjantów. Słowenia obok Hiszpanii wydaje na zbrojenia najmniej w NATO (jedynie 1,29 proc. swojego PKB, obecnie to nieco ponad 900 mln euro). Tyle że natowskie cele rosną. W czerwcu na szczycie w Hadze Golob zobowiązał się do tego, że i jego kraj niebawem będzie wydawać co najmniej 5 proc. Takie przyrzeczenie wzbudziło konsternację lewicowych koalicjantów. Zaproponowali, by Słoweńcy zdecydowali w referendum, czy przystaną na podniesienie wydatków. Partia premiera się nie zgodziła, ale w sukurs lewicy przyszła opozycja, prawicowi konserwatyści pod wodzą Janeza Janšy, byłego trzykrotnego premiera, oskarżanego o zamach na demokrację w pisowsko-fideszowskim stylu. Golob uznał, że jedynym sposobem na neutralizację tej efemerycznej większości będzie podbicie licytacji do absurdu. Najpierw ustalmy – zaapelował – czy w ogóle chcemy w NATO pozostać.

58-letni Golob rządzi Słowenią od 2022 r. Dla polityki porzucił kierowanie państwową firmą energetyczną. Stanął na czele małej partii z ruchu Zielonych, pozbawionej mandatów i poważnych perspektyw. Po zmianie szyldu na liberalny i na fali antyrządowych protestów przeciw porządkom Janšy pewnie wygrał wybory. Utworzył trzypartyjny liberalno-lewicowy rząd, ale koalicja szybko się skłóciła. Mimo większości konstytucyjnej nie spełniła szeregu obietnic, m.in. zarzuciła lub opóźniła kluczowe reformy. Premier przeszedł na ręczne sterowanie i roztrwonił poparcie. Na czele sondaży już od dwóch lat pozostaje ugrupowanie Janšy, faworyt przyszłorocznych wyborów.

Ostatecznie parlament oba referenda odrzucił, także głosami partii Goloba. Oba były co prawda niewiążące, ale wzbudziłyby trudną do przewidzenia dynamikę. Sondaże podpowiadają, że Słoweńcy są raczej za pozostaniem w NATO i raczej przeciw zwiększonym nakładom. Przypomina się rozpaczliwy ruch premiera Wielkiej Brytanii Davida Camerona, który swego czasu w ryzykownym plebiscycie szukał sposobu na pobudzenie popularności. Wówczas skończyło się brexitem. Teraz wyszedł precedens rozwadniający spoistość Sojuszu, poddawanego presji agresywnej Rosji i niespodziankom labilnego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Natowskich szeregów nie zwierają też rozważania premiera Słowacji Roberta Ficy, zresztą z sympatią zerkającego na Rosję, który stwierdził, że gdyby to on decydował, to jego Słowacja byłaby neutralna. Minimalne wydatki chce też zachować Hiszpania. Podobnie pod znakiem zapytania stoją zobowiązania najbardziej zadłużonych państw członkowskich, w tym Belgii, Kanady czy Portugalii.

Iran wyrzuca Afgańczyków

Codziennie 40 tys. Afgańczyków opuszcza Iran pod naciskiem władz; są podwożeni autobusami do granicy, dalej muszą sobie radzić sami. Od początku roku to już prawie milion, a zagrożone deportacją są 4 mln, ci bez dokumentów, na czarno, ale także posiadacze kart pracy. W sumie to jeden z najpoważniejszych kryzysów migracyjnych dekady, który prawie nie znajduje nagłośnienia. Masowe wywózki zaczęły się w marcu, a nasiliły w połowie czerwca, po ataku Izraela na Iran. Wówczas doszedł też argument używany w oficjalnej propagandzie i podchwycony w internecie, że Afgańczycy szpiegują na rzecz Tel Awiwu. Wcześniej zrzucono na nich winę za kryzys, bezrobocie, inflację, głód mieszkań, handel narkotykami, rosnącą przestępczość. Idealnie się nadawali do odwracania uwagi.

Iran i Afganistan to krewniacy, najważniejszy podział dotyczy islamu: głównie szyickiego w Iranie, a sunnickiego po drugiej stronie granicy. Pierwsza poważniejsza fala afgańskich migrantów pojawiła się tu jeszcze w latach 80. XX w., po inwazji ZSRR na Kabul. Późniejsze rosły po każdym kryzysie, ostatnio w 2021 r. po powrocie do władzy talibów, rzecz jasna migracja miała też charakter ekonomiczny. Uzbierało się ich w Iranie blisko 6 mln. Nie mieli szans na obywatelstwo, a ich dzieci nie obowiązywało prawo ziemi. Byli obywatelami gorszej kategorii, ale wielu zdołało się jakoś urządzić i zasiedzieć.

Kiedy ruszyła zmasowana operacja wysiedlania, unieważniono umowy wynajmu oraz uruchomiono szereg represji, włącznie z łapankami na ulicach i zachętą, aby obywatele denuncjowali przybyszów. Wielu straciło dorobek życia, a w ojczyźnie, też obłożonej sankcjami i pogrążonej w dramatycznym kryzysie gospodarczym, czeka ich niewiele. Dla kobiet i dziewcząt oznacza zamknięcie w domu (kończą tam naukę w wieku 12 lat).

Inny epizod afgański rozgrywa się w Wielkiej Brytanii. Głośno tu o tajnym programie relokacji tysięcy Afgańczyków wspierających brytyjską armię podczas interwencji w Afganistanie (tłumaczy, kierowców itp.). Ich dane przez pomyłkę ujawniono w 2023 r., co mogło stanowić śmiertelne zagrożenie dla 100 tys. osób. Udało się dotychczas sprowadzić do kraju 4,5 tys. z nich, 7 tys. czeka w kolejce. A historia niewdzięczności wobec afgańskich pomocników, którzy wspierali zachodnią operację przeciw Al-Kaidzie, lecz po powrocie talibów do władzy zostali bez pomocy, to oddzielna opowieść. Afgański los to synonim nieszczęścia.

© DAVIDOFF STUDIOS/GETTY IMAGES, MOSTAFA ALKHAROUF/ANADOLU/GETTY IMAGES, LUCA ZENNARO/EPA/PAP, MOHSEN KARIMI/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 6b8abdb715

Zapomniane smaki

Makaron z truskawkami, który Iga Świątek nazwała smakiem dzieciństwa, stał się globalnym kulinarnym hitem. W Polsce kojarzy się raczej ze smakiem PRL: kuchni siermiężnej, pogrążonej w niedoborach i „przejściowych" trudnościach z zaopatrzeniem.

JOANNA PODGÓRSKA

Gdyby przed przeciętnym Włochem postawić talerz makaronu polanego rozgniecionymi truskawkami, wymieszanymi ze śmietaną, mógłby próbować uciec, uznając, że to gorsze niż pizza z ananasem. Bywa, że już na widok pierogów z jagodami Włoch szeroko otwiera oczy ze zdumienia i nieśmiało pyta, czy na pewno można to jeść. Mieszkający od lat w Polsce francuski szef kuchni i restaurator Michel Moran opowiadał kiedyś, że do wielu smaków naszej kuchni musiał się długo przekonywać, ale jedna rzecz jest dla niego absolutnie nie do przejścia – zupa owocowa z makaronem. Już na widok kompotu reagował nerwowo. A pewnie nie wie, że w czasach PRL zupę owocową podawano także z grzankami, a w niektórych regionach na wsi polskiej nawet ze skwarkami. W „Kuchni polskiej" (kanoniczna książka kucharska, do 1989 r. wydawana prawie 30 razy, a i tak dostępna głównie spod lady) można znaleźć przepis nawet na zupę z powideł: „Powidła rozgotować z wodą i przyprawami, wlać mąkę rozmieszaną z wodą, zagotować, osłodzić do smaku, połączyć ze śmietaną, podawać z grzankami lub kluskami". Są tam też receptury na sałatę ze słoniną czy kapustę na mleku.

Każdy, kto wówczas dorastał, ma swoje żywieniowe traumy i koszmary: zupa mleczna pokryta kożuchem, breja ze szpinaku, źle oczyszczone cynaderki. Robert Makłowicz ze zgrozą wspomina płucka na kwaśno w jednym z krakowskich barów – nie, żeby je jadł, ale smród pamięta do dziś.

PRL był światem kulinarnie izolowanym. Do wielu produktów nie mieliśmy dostępu z powodu zamkniętych granic. Innych wiecznie brakowało. To spopularyzowało gastronomiczną kulturę erzacu. Zachowała się anegdota, jak satyryk Janusz Minkiewicz zażądał w Kameralnej koniaku i owoców południowych, a kelner bez słowa postawił przed nim ćwiartkę czystej i talerz kiszonych ogórków. Może to tylko anegdota. Ale niewykluczone, że nie, bo świadectw erzacu we wspomnieniach i kulinarnych przepisach zachowało się bardzo wiele. Kwasek cytrynowy zamiast cytryn, wanilina zamiast wanilii, płatki owsiane udające migdały, sardynki „własnej roboty" przyrządzane z rozgniecionej widelcem konserwy rybnej.

Adam Chrząstowski, uczeń Kurta Schellera, obecnie szef kuchni w restauracji Browar Warszawski, kończył technikum gastronomiczne w końcówce lat 80., kiedy zaopatrzenie było już dramatyczne. – *Gdy brakowało prawdziwych flaków, robiliśmy je*

eprasa.pl 6b8abdb715

ze skrojonej skóry z kurczaka. Albo świnia na dziko: bejcowało się schab wieprzowy, żeby udawał dzika czy innego jelenia – wspomina. – *O wielu produktach uczyliśmy się tylko teoretycznie, bo lepszy drób, taki jak gęś, był niedostępny. Z ryb tylko karp i śledź. O owocach morza zapomnij.*

Okrutnym świadectwem, do jakiego upadku kulinarnego doprowadził socjalizm, jest książka Anny Gasik „W mojej kuchni nic się nie marnuje", wydana w 1982 r. Są tam porady, jak pozbawić zapaszku stare jajka, co zrobić ze zwarzonym mlekiem, zeschniętym serem (dodać do sałatki szopskiej albo wymieszać ze śmietaną i zrobić pastę do pieczywa) czy skisłym dżemem (wino). Są też przepisy na majonez bez jajek, a nawet na szampana z serwatki.

Lata 70., rodzinny posiłek na Ziemiach Odzyskanych

© ZENON ŻYBURTOWICZ/EAST NEWS

Gdy lodówka naprawdę była pusta, ratunkiem były zupy. Ich głównym składnikiem jest w końcu woda. Trochę tłuszczu, trochę kapusty, ziemniaki – i tak powstawały przeróżne wodzianki. Ceny nowalijek przerażały, ale sałatkę można zrobić także z lebiody czy młodych pokrzyw (dziś bardzo eko).

Słowem kluczem do ówczesnych kulinarnych marzeń było mięso – miara sukcesu i zaradności. Kolejki ustawiały się po każdy ochłap. A władze próbowały rozwiązywać problem, ustalając dni bezmięsne i promując przeróżne zamienniki. I te mięsne erzace z dzisiejszej perspektywy wyglądają na zupełne paradoksy. Swego czasu sprowadzano do Polski kalmary, ale mało kto wiedział, co z nimi zrobić. Im dłużej gotowane, tym twardsze. Nie dało się tego jeść, więc – jak opisuje Monika Milewska w książce „Ślepa kuchnia" – ludzie mieszali je z kaszą i karmili psy. Przekierowanie apetytu na dorsze też nie wypaliło. Uchodzący dziś za ekskluzywną rybę, wtedy postponowany był przez ludność powiedzonkiem: jedzcie dorsze, g...no gorsze.

Kawior z bakłażana czy flaczki z boczniaków, mające łatać mięsne niedostatki, obecnie mogą uchodzić za dania trendy, bo wegetariańskie. Trudno w to uwierzyć – karmiąc psy kalmarami, ludzie wystawali godzinami po rąbankę z kością czy podgardle. Mając do wyboru polędwicę z dorsza, woleli podłej jakości pasztetową, salceson czy kaszankę. A – jak pisze Błażej Brzostek w książce „PRL na widelcu" – robotnicze postulaty, żeby salceson i kaszanka były jadalne, zostały odrzucone. Władze nie zgodziły się na powrót do przedwojennych receptur, by nie budzić nostalgii za minionymi czasami.

A receptury musiały być zatwierdzone. Jedzenie w PRL nabrało charakteru politycznego. Nie miało służyć przyjemności. Chodziło o to, by racjonalna dieta zapewniała obywatelowi pełną sprawność do pracy. Jak pisze Monika Milewska, w pierwszych latach PRL przepisy i receptury dań restauracyjnych były zatwierdzane na szczeblu ministerialnym, a po odwilży na poziomie wojewódzkich rad narodowych. Władza decydowała, ile potraw mięsnych ma się znaleźć w jadłospisie, a odstępstwa karano grzywną czy nawet aresztem. Smak został zunifikowany i to było czuć na talerzu.

Błażej Brzostek przytacza wspomnienia brytyjskiej dziennikarki akredytowanej przy Targach Poznańskich w 1965 r. Dostała specjalne kupony żywnościowe do różnych restauracji, ale wszystko wszędzie smakowało tak samo. Zastanawiała się, czy te zestawy nie powstają aby w jakiejś jednej wspólnej kuchni.

To, co jeszcze uderzało cudzoziemców, to, że Polacy nie jedzą z przyjemnością, nie delektują się, nie celebrują posiłków. Wchodzą głodni, jedzą, płacą i wychodzą. Sens zasiadania do stołu jest tylko jeden – najeść się. Ale też nie bardzo było czym i jak się delektować. Wygląd wielu barów, jadłodajni i stołówek nie sprzyjał temu, żeby w nich przesiadywać, tylko jak najszybciej wychodzić, a wręcz uciekać. Gospoda w Koszalinie – widelec trzeba przynieść ze sobą. W Ustrzykach Dolnych – znane od XVIII w. noże i widelce jeszcze nie dotarły; dostaje się dwie łyżki. W Bydgoszczy – noże i widelce wprawdzie są, ale myte w zimnej wodzie budzą odrazę. W Gołdapi – brud, odrapane ściany, resztki posiłków na stolikach. Butelka, która stłucze się rano, leży na podłodze do zamknięcia, a personel i goście depczą po szkle. To tylko kilka notatek z ówczesnej prasy, przytoczonych w „PRL na widelcu". ▶

eprasa.pl 6b8abdb715

Bar samoobsługowy przy warszawskim Supersamie

▶ Po co w kółko sprzątać, jak i tak się zaraz nabrudzi. Bareja w „Misiu" naprawdę nie musiał się silić na przesadę.

Bary mleczne miały jednak pewne zalety. Były tanie, demokratyczne, jednoczyły emerytów i studentów. Rano można w nich było zjeść na śniadanie zupę mleczną, twarożek, jajecznicę i popić kakao. Na obiady – zupy, ruskie, leniwe, naleśniki albo kaszę gryczaną ze zsiadłym mlekiem. No i nieśmiertelny kompot. Klienci się do nich przywiązywali. Zwłaszcza jeśli personel zachowywał elementarną czystość i w miarę przyzwoicie gotował. Bar Agata w Gorzowie Wielkopolskim był miejscem legendarnym, a po ich pierogi ustawiały się długie kolejki (co w czasach PRL nie było oczywiście jakimś szczególnym ewenementem). Polacy zachowali sentyment do barów mlecznych, o czym świadczy to, że część z nich przetrwała, a nawet powstają nowe. Choć oczywiście bardzo się zmieniły. W jadłospisach jest sporo dań z warzyw, ale kompoty, klasyczne zupy, kasza gryczana czy leniwe mogą przywołać dawne skojarzenia. Niekiedy też oldskulowymi elementami wystroju nawiązują do dawnych czasów. Z pewnością jednak nie śmierdzą już starą ścierką.

Trudno celebrować posiłki niemal pozbawione przypraw, tłuste od smalcu, kartoflane (w latach 60. statystyczny Polak zjadał ponad 220 kg ziemniaków rocznie), zagęszczane mąką, często przesłodzone. Bo kuchnia PRL lubiła cukru nadużywać.

– *Cukier był wówczas w pewnym sensie substytutem białka, bo w niektórych połączeniach podrabiał smak umami, który trudno było inaczej zyskać. Dodawano go nawet do zup* – wspomina Adam Chrząstowski. – *Polska kuchnia już wcześniej była słodko-kwaśna, ale używano do tego miodu i owoców. Miód stał się jednak droższy od cukru, a dobrej jakości owoce nie były łatwo dostępne.*

Stąd właśnie popularność takich potraw jak zupy owocowe czy makaron z truskawkami. Po pierwsze, w zupie czy rozgniecionej mazi łatwiej ukryć, że owoce nie są świeże czy nawet nadgniłe. A po drugie, te dania są syte i tanie – kilka paczek makaronu, cukier, łubianka truskawek i mamy zupę dla całej kolonijnej grupy.

– *Przy czym makaron z owocami to nie jest wynalazek PRL* – dodaje Adam Chrząstowski. – *Tylko że wcześniej używano do tego ręcznie robionych kluseczek, a nie kupnego makaronu najgorszego sortu.*

W czasach PRL nie sposób było ugotować makaronu al dente, bo robiono go ze zwykłej mąki, a nie z pszenicy durum. Tessa Capponi-Borawska, która przyjechała do Polski z Florencji w stanie wojennym, wspominała, że w sklepach zobaczyła makaron, który był „szary jak błoto".

Ale i w kuchni Polak potrafił. I nie chodzi tylko o wielką kreatywność przy tworzeniu erzacu. Świat kulinarny jest przed nami zamknięty? To sobie go sami wymyślimy: śledź po japońsku, ryba po grecku, włoska pizza na grubym cieście z krojonym w plasterki serdelkiem – dania endemiczne, nieznane nigdzie indziej, a już na pewno nie w krajach, które mają w nazwie.

Ciekawość świata w ludziach była ogromna. Brzostek opisuje, jak w 1965 r. łódzki „Express Ilustrowany" i Łódzka Spółdzielnia Zaopatrzenia i Zbytu „Samopomoc Chłopska" zorganizowały w restauracji Tivoli degustację żab. W menu: udka żabie *sauté*, udka żabie Victoria, udka żabie po angielsku (*sic!*), udka żabie w potrawce i udka żabie po prowansalsku. Do degustacji zgłosiło się 3 tys. chętnych. Niestety miejsc było tylko 700. W Warszawie niezwykłą popularnością cieszyła się jadłodajnia w siedzibie Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Chińskiej. Trudno ją było nazwać restauracją, bo podawano tam tylko ryż z dwoma rodzajami sosu, ostrym lub łagodnym, i napój firmowy. Ale do lady i tak ustawiały się kolejki chętnych.

W pewnym momencie okienka na świat trochę się uchyliły. W latach 70. Polacy dość licznie zaczęli wyjeżdżać na wczasy do bratnich krajów: na Węgry, do Bułgarii, Rumunii, Jugosławii. Poznawali nowe, egzotyczne potrawy, takie jak leczo czy gulasz po węgiersku. Próbowali je potem odtwarzać w domu, co oczywiście nie było takie proste z powodu braku produktów. Gdy w sklepach pojawiała się świeża papryka, znikała na pniu. Bakłażany stanowiły widok rzadki.

Odpowiedzią na ciekawość świata były też restauracje tematyczne, które zaczęły się pojawiać w większych miastach. W Warszawie były to m.in. Sofia, Budapeszt, Trojka, Szanghaj czy Samson z żydowską kuchnią. Jak pisze Brzostek, szefowi kuchni,

©ZBYSZKO SIEMASZKO/RSW/FORUM, WOJCIECH STAN/PAP

eprasa.pl 6b8abdb715

Lata 80., kolonie dla dzieci wiejskich w Puszczy Kozienickiej

który miał w tej mierze doświadczenie jeszcze sprzed wojny, władze obiecały, że nie musi się krępować odgórnymi recepturami, tylko gotować według własnego uznania.

Uchylenie żelaznej kurtyny, które coraz liczniejszej grupie Polaków dawało możliwość wyjazdów na Zachód, nie spowodowało specjalnego poszerzenia naszych horyzontów kulinarnych. Różnice cen były gigantyczne. Zabierano konserwy, żeby łatwiej uciułać na nowy telewizor czy używany samochód. Robert Makłowicz w rozmowie z POLITYKĄ wspominał, że gdy jako student w latach 80. zaczął wyjeżdżać do Niemiec czy Belgii, by pracować przy zbiorach owoców, postanowił jednak wydawać swoje zarobki na smakowanie. Gdy w 1989 r. pojechał na rok do ciotki do Londynu, też nie zamierzał odkładać pieniędzy. Wykorzystał fakt, że kulinarnie Londyn jest tym dla Europy, czym Nowy Jork dla Ameryki. Są tam restauracje wszystkich kuchni świata. W dzień pracował na budowie, a wieczorem odhaczał kolejne restauracje. Dodatkowo w fabryce zaprzyjaźnił się z Hindusem i zamiast w przerwie jeść bułę z kiełbaską oraz frytki polane octem z melasy, codziennie smakował hinduskie dania przygotowywane przez żonę przyjaciela. – *Wróciłem do Polski bez pieniędzy. Gdybym ciułał, może bym sobie kupił Poloneza, którego dziś już by dawno nie było. A tak mimowolnie zainwestowałem w swoją edukację* – wspominał.

Dzięki temu mógł potem (co zresztą robi nadal) uczyć rodaków, czym się różni parmezan od gorgonzoli, do czego służy świeży imbir, jak obchodzić się z jagnięciną czy jak potraktować mule. Bo po tym, jak otwarły się granice i jako tako minął szok po reformie Balcerowicza, Polacy rzucili się odkrywać nowe smaki. Kto wcześniej słyszał o jogurcie z marakują? Na sklepowych półkach i straganach pojawiły się rzeczy, których przez dekady nie oglądaliśmy na oczy czy nawet nie wiedzieliśmy o ich istnieniu. W miastach i miasteczkach obrodziło barami i budkami oferującymi egzotyczne dla nas wcześniej kuchnie. A gdy już zachłysnęliśmy się tym, co obce, a naszym narodowym daniem stały się pizza i kebab, zatęskniliśmy za tym, co znane i oswojone. Podróże w kulinarną przeszłość można też było traktować jak odtrutkę na fast foody.

Zaczęto mówić o modzie na kulinarny powrót do PRL. Pytanie tylko, czy coś takiego jak kanon kuchni PRL w ogóle istniało (może poza kotletem z mortadeli). Przekąski, zakąski? Znane w międzywojniu. Powrót do podrobów? To samo, tylko wtedy z cynaderek, płucek czy wątróbki przyrządzano dania wykwintne i eleganckie, a nie coś, co zapachem odstrasza nawet muchy. Kotlet schabowy? Już Ćwierczakiewiczowa opisywała go jako „tanią, wartą uwagi potrawę pospólstwa". Kultura kulinarnego erzacu też nie była wynalazkiem tamtych czasów, bo Polki opanowały ją do perfekcji w czasie okupacji. I to tak, że w trudnym czasie wojny Angielki uczyły się gotować na ich przepisach. Szynka „jak za Gierka" to raczej chwyt marketingowy (choć faktycznie wędliny w PRL bywały lepsze niż współczesna masówka, bo produkowane według ścisłych receptur, bez ulepszaczy i polepszaczy, których wtedy jeszcze nie było).

– *Myślę, że to była po prostu moda na powrót do tego, co tradycyjne, znane i swojskie: schabowy, kotlety mielone z mizerią, zupa ogórkowa. Tylko że to nie PRL je wymyślił* – mówi Adam Chrząstowski. – *Nie tak dawnej mody na przaśne chłopskie jadło też nie wiązałbym z PRL. Stylizowane gospody z ławami, na których lądują misy pierogów, korytka z kaszanką czy kiełbasą, smalec, żurek, ogórki kiszone i wódka siwucha, to raczej nawiązanie do wiejskich korzeni.*

Nie da się jednak ukryć, że u osób, które dorastały w PRL, pewne smaki budzą sentyment, nawet jeśli były biedne i niespecjalnie wyrafinowane (czasem próbują te gusta przenosić na dzieci i wnuki). Kogel-mogel, pańska skórka, oranżada w proszku albo pita na plaży z plastikowego woreczka – nostalgiczne smaki dzieciństwa. Wakacje pachniały i smakowały wtedy konserwą turystyczną wymieszaną z makaronem pichconym pod namiotem na butli z gazem. Czasem się za tym tęskni, choć może trochę wstyd. Ale młodzi ludzie, bez kulinarnych kompleksów, objeżdżeni po świecie i od zawsze znający jego kuchnie – tacy jak Iga Świątek (rocznik 2001) – mogą bez poczucia obciachu mówić o apetycie na makaron z truskawkami. Nawet jeśli Włochom wyda się to – powiedzmy – egzotyczne.

JOANNA PODGÓRSKA

Anna Gasik, **W mojej kuchni nic się nie marnuje**, cyt. za **PRL na widelcu**.

eprasa.pl 6b8abdb715

Wirus Korony

Konfederacja Korony Polskiej weszła do głównego politycznego obiegu, stając się poważnym zasobem prawicy. Czym jednak realnie jest formacja Grzegorza Brauna i jakie ma szanse na trwałe umocowanie na partyjnej scenie?

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

MICHAŁ PIEDZIUK, WOJCIECH SZACKI

W lipcowym sondażu CBOS partia Grzegorza Brauna zebrała 8 proc. poparcia. Trochę więcej niż Lewica (6 proc.), dwa razy więcej niż łącznie Polska 2050 (3 proc.) i PSL (1 proc.). Wystarczająco, by – gdyby teraz były wybory parlamentarne – wprowadzić do Sejmu co najmniej kilkunastu posłów.

To oczywiście tylko jeden sondaż, ale Konfederacja Korony Polskiej wychynęła ponad 5-procentowy próg wyborczy także w niedawnych badaniach OGB, IBRiS czy Opinii 24.

Mógłby ktoś powiedzieć, że słabiej zorientowana część prawicowego elektoratu ma prawo się pogubić, gdy w sondażu są do wyboru dwie Konfederacje – ta większa Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka oraz mniejsza Brauna.

Ale mamy też za sobą pierwszą turę wyborów prezydenckich, w której 18 maja Braun zdobył 6,34 proc. głosów. Ponad 1,2 mln dorosłych Polaków poparło fana teorii spiskowych, prorosyjskiego antysemitę, który marzy o upadku Unii Europejskiej oraz podważa fundamentalne zasady NATO (np. taki cytat: „Wojsko Polskie nie powinno palcem kiwnąć w obronie tej małej, wyludnionej, wrednej, antypolskiej, bismarckowskiej, anglosaskiej i żydowskiej kreatury, jaką jest współczesna Litwa”).

Braun w występach medialnych – wywiadach czy debatach z politykami – pokazuje się jako nobliwy pan, którego trudno wytrącić z równowagi i który głosi swoje poglądy spokojną, staranną polszczyzną (podobno długo pracował też nad modulacją głosu). Straszy judeizacją Polski, europarlament nazywa eurokołchozem, a gdy Polska wsparła napadniętą Ukrainę, pohukiwał, że to już nie Polska, lecz Ukropol. Kilka lat temu podpisał się – zresztą wraz z Mentzenem i Bosakiem – pod tzw. konfederacją gietrzwałdzką, której sygnatariusze zobowiązali się poddać swoje „prywatne i publiczne życie” panowaniu „Chrystusa

eprasa.pl 6b8abdb715

Za gaszenie gaśnicą w Sejmie chanukowych świec w 2023 r. oraz inne wybryki Braun usłyszał już zarzuty – europosowie uchylili mu immunitet

Króla Polski i opiece Jego Najświętszej Matki, Królowej Korony Polskiej". Tekst głosi dalej, że władzę Chrystusa i Maryi konfederaci gietrzwałdzcy „pojmują całkowicie realnie, bynajmniej nie symbolicznie".

Zarazem nie stroni od przemocy. W kampanii prezydenckiej wraz ze swoimi ludźmi wtargnął do szpitala w Oleśnicy i przez parę godzin uniemożliwiał pracę tamtejszej ginekolożce, która wcześniej dokonała legalnej aborcji. Braun użył też gaśnicy w Sejmie, by zgasić świece chanukowe, spalił flagę unijną, zerwał flagę ukraińską z urzędu w Białej Podlaskiej, zniszczył wystawę LGBT w Sejmie oraz zakłócał uroczystości ku czci zamordowanych przez Polaków Żydów w Jedwabnem.

W ostatnich dniach w kilku wystąpieniach – najpierw w Radiu Wnet – Braun zakwestionował zaś istnienie komór gazowych w Auschwitz, dokładając do swego bogatego dorobku karalne w polskim porządku prawnym kłamstwo oświęcimskie.

W badaniach fokusowych Przemysława Sadury i Sławomira Sierakowskiego fani Brauna zwracają uwagę na to, że lider Korony nie tylko mówi, lecz i działa. To, co Brauna kompromituje w oczach większości Polaków, dla jego zwolenników jest argumentem, żeby na niego głosować. I – jak pokazały wyniki wyborów oraz ostatnie sondaże – takich ludzi jest niemało.

Zasadne stają się zatem pytania: czy Braun zostanie z nami na dłużej? A jeśli pozostanie na marginesie polityki, to jak szeroki będzie to margines?

Króluj nam, Chryste

Polityczna historia Grzegorza Brauna zaczęła się na dobre w 2015 r. 48-letni wówczas reżyser i publicysta zebrał 100 tys. podpisów pod swą kandydaturą i wystartował w wyborach prezydenckich. W pierwszej turze głosów zdobył nieco ponad drugie tyle, co przełożyło się na wynik niespełna 1-procentowy (0,83 proc.). Jednak 2015 r. w karierze Brauna pozostaje ważnym okresem również z innego powodu. Z jego inicjatywy powstaje bowiem wtedy organizacja Pobudka, której hasłem i programem zarazem zostaje słynna dziś fraza: „Kościół – szkoła – strzelnica – mennica".

Na działalność społecznej instytucji pieniądze zbiera fundacja Osuchowa, również powołana przez Brauna. Dzisiaj jej strona internetowa przypomina sklep z dewocjonaliami i literaturą teorii spiskowych (m.in. o pandemii, Żydach czy historii najnowszej), ale chętni ciągle mogą tam też zamówić kampanijne gadżety Brauna z ostatnich wyborów. Kubki, czapki, koszulki: wszystko z logo gaśnicy rzecz jasna. Jak słyszymy, wpływy z datków na fundację stanowią dziś ważną część jego politycznego budżetu, a swego czasu pozwoliły Braunowi przygotować się do budowy partii. Tę do życia powołał w czerwcu 2019 r., tuż po przegranych eurowyborach. Wraz z gronem członków Pobudki wystartował wtedy z list protoplasty dzisiejszych konfederatów: Konfederacji KORWiN Braun Liroy Narodowcy, która ostatecznie nie przeskoczyła progu wyborczego.

Braun zdawał sobie sprawę, że jego nowe ugrupowanie ma marne szanse na samodzielne życie. Ze świeżo założoną Konfederacją Korony Polskiej prędko przytulił się więc do kontynuowanego projektu Konfederacji: tym razem jako najmniejszy partner koalicyjny wolnościowców spod znaku Janusza Korwin-Mikkego i narodowców, wówczas pod kierownictwem Roberta Winnickiego.

Od momentu oficjalnego powstania konfederackiego triumwiratu jasne było, że to właśnie Korona Brauna będzie jego najbardziej radykalnym, skrajnie prawicowym skrzydłem. W zaktualizowanym w 2021 r. blisko 90-stronicowym programie partii kierownictwo zdecydowało się zawrzeć trzy perspektywy czasowe swojego oddziaływania na rzeczywistość. Chodzi o postulaty przewidziane „na dziś", „na jutro", a nawet „na pojutrze". Co ciekawe, ten ostatni horyzont to według koroniarzy perspektywa przynajmniej 40-letnia.

A sam program? Korona sprzeciwia się w nim np. polityce bezalternatywnych sojuszy, za taki uznając NATO, a gwarancji bezpieczeństwa państwa upatruje nie tylko w zmodernizowanym wojsku, lecz przede wszystkim w „opatrzności bożej i szczególnej opiece Najświętszej Maryi Panny", której to akurat autorzy programu zawierzają Polskę bezwarunkowo. W kwestiach gospodarczych z programu najwyraźniej wybrzmiewa postulat ochrony gotówki, świat cyfrowych płatności to przecież utopia globalistów. Podobnie zresztą jak system energetyczny oparty na odnawialnych źródłach energii, których rozwój i pozytywny wpływ na środowisko określono mianem „nierealnych mrzonek". Jest też rozdział o ochronie zdrowia, a więc rzecz jasna o programach szczepień (tu porównywanych z eksperymentami medycznymi), których obowiązek należałoby znieść, wolną wolę pozostawiając rodzicom. Ci wedle postulatów Brauna mieliby też uzyskać większy wpływ na własne dzieci, tak aby chronić je przed „ideologiami genderyzmu i ekologizmu". Istnieje jednak ryzyko, że w tym koroniarskim świecie musieliby strzec swoje pociechy również przed bardziej realnymi zagrożeniami, bo konstytucja dałaby wszystkim obywatelom prawo do posiadania broni palnej.

A jak partia Brauna widzi Polskę za wspomniane cztery dekady? To państwo w pełni oparte na wartościach religijnych i cywilizacji łacińskiej, z odtworzonym chrześcijańskim ładem ▶

© BEATA ZAWRZEL/REPORTER

eprasa.pl 6b8abdb715

▶ społecznym i kulturowym. Korona łaskawie chce zostawić prawo świeckie, ale z katolicką moralnością Polska ma odgrywać rolę lidera duchowego odrodzenia Europy.

Posłowie i sołtysi

Swoim prawdziwie naturalnym obliczem Braun może szokować komentatorów i wyborców w zasadzie dopiero od pół roku. To wtedy został wyrzucony z koalicji narodowców i wolnościowców: w połowie stycznia ogłosił, że startuje w wyborach prezydenckich, mimo że kandydatem Konfederacji był już lider Nowej Nadziei Mentzen.

Taki scenariusz był w zasadzie dla wszystkich wygodny: konfederaci dostali pretekst do wyrzucenia coraz bardziej im ciążącej Korony Polskiej, Braun z kolei otrzymał prezent w postaci nowego mitu założycielskiego jego partii, która wtedy wypływała na bardzo niepewne wody politycznej samodzielności. Na tę ewentualność sam musiał być jednak gotowy; w ostatnich latach nieraz bowiem nadwerężał zaufanie koalicjantów, decydując się na samozwańcze i niezrozumiałe polityczne happeningi, przypominające bardziej akty wandalizmu i przemocy niż poselskie interwencje.

Jak w grudniu 2023 r., kiedy po sejmowym holu biegał z gaśnicą, w swoim mniemaniu ratując polski parlament przed „aktami satanistycznego kultu", czyli corocznymi obchodami święta Chanuki. Za ten i inne bulwersujące wybryki (w tym za rozróbę w Niemieckim Instytucie Historycznym kilka miesięcy wcześniej) Braun usłyszał już zarzuty, co było możliwe również dzięki europosłom, którzy uchylili mu immunitet.

Po incydencie z gaśnicą pierwszy raz skrytykowali go konfederaccy partnerzy: że działa na szkodę partii, że przekroczył granice politycznego happeningu. Pierwszy raz w słowach nie przebierał też Mentzen, który z Braunem przez jego ostatnie miesiące bytowania w prawicowej koalicji nie miał potem w zasadzie kontaktu. Już wtedy było pewne, że rozłam w Konfederacji to kwestia czasu i stylu, w jakim Braunowi przyjdzie się żegnać z duetem Mentzen-Bosak.

Lider Korony był już na wylocie z Konfederacji, ale wystartował jeszcze z jej list do Parlamentu Europejskiego. Zagrał na nosie wiernemu żołnierzowi Mentzena posłowi Konradowi Berkowiczowi. Ten, startujący z jedynki w okręgu małopolsko-świętokrzyskim, był prawie pewien mandatu; Nowa Nadzieja w zasadzie w ciemno wliczała miejsce Berkowicza do swojej przyszłej brukselskiej reprezentacji. Tymczasem wygrał startujący za nim Braun, który dodatkowo zdobył najlepszy wynik wśród kandydatów Konfederacji w całym kraju, uzyskując ponad 113 tys. głosów.

W europarlamencie jest pariasem – nie chciała go żadna z europejskich frakcji, okazał się zbyt skrajny dla skrajności zachodnich. Do dziś pozostaje zatem europosłem niezrzeszonym. Ma przez to ograniczone możliwości wypowiedzi i działania; od lutego dodatkowo jest także zawieszony i przez sześć miesięcy nie może uczestniczyć w posiedzeniach plenarnych, bo pod koniec stycznia zakłócił minutę ciszy dla ofiar Holokaustu.

Jego transfer do europarlamentu niósł ze sobą dwojakie skutki. Z jednej strony wzmocnił finansowo Koronę: Braun co miesiąc dostaje z Brukseli ponad 30 tys. zł wynagrodzenia oraz ok. 20 tys. zł diety np. na prowadzenie biur poselskich w Polsce. Z drugiej jednak jego odejście z Sejmu pozwoliło na zmiany w klubie poselskim Konfederacji. Koalicja narodowców i wolnościowców mogła się pozbyć ludzi Brauna, zachowując klub, bo mandat po Braunie wziął kolejny z listy wyborczej przedstawiciel Nowej Nadziei, dając jej wraz z Ruchem Narodowym pewność utrzymania klubu.

Przyszłość Korony jest niewiadomą, na razie przypomina raczej pospolite ruszenie prawicowych środowisk niż partię z prawdziwego zdarzenia

A co z drużyną Brauna? Po rozstaniu z Konfederacją dopiero od niedawna w Sejmie może się pochwalić kołem poselskim. W orbicie narodowców pozostał bowiem poseł Andrzej Zapałowski, swego czasu bliski Koronie. Przez kilka miesięcy sejmowa reprezentacja dwóch braunistów (Roman Fritz i Włodzimierz Skalik) funkcjonowała więc w grupie posłów niezrzeszonych.

Z początkiem czerwca koroniarzom z pomocą przyszedł jednak poseł PiS z okręgu chełmskiego Sławomir Zawiślak: wstępując do Korony, umożliwił jej powołanie koła poselskiego. Swoją drogą byli koledzy Brauna z Konfederacji nie wykluczają, że PiS udostępnił mu posła na wylocie w zamian za poparcie Karola Nawrockiego przed drugą turą wyborów. Jednak prawdziwą siłę Korona tworzy nie w Sejmie, lecz w terenie. I choć wiceprezes partii Fritz odmawia nam podania liczby członków partii w całym kraju, to według naszych źródeł nawet podana do wiadomości nie odzwierciedlałaby faktycznego potencjału formacji. Braun w kampanii prezydenckiej otoczył się bowiem ludźmi skrajnej prawicy niezrzeszonymi w Koronie, a tworzącymi tzw. szeroki front gaśnicowy.

eprasa.pl 6b8abdb715

Są wśród nich przedstawiciele takich partii jak Polska Jest Jedna (1,6 proc. w wyborach do Sejmu w 2023 r.), a nawet pozostałości po Lidze Polskich Rodzin czy Samoobronie. Są środowiska monarchistyczne, organizacje kresowe, pro-life oraz ruchy antyszczepionkowe. Aktywnie wspierają go stowarzyszenia antywojenne postulujące zakończenie wojny w Ukrainie nawet kosztem zwycięstwa Rosji. Na dużej kwietniowej konwencji prezydenckiej w Krakowie ze sceny poparli go Korwin-Mikke i Stanisław Michalkiewicz. Z informacji ze strony KKP wynika, że partia ma 41 okręgów, posiada młodzieżówkę – powołaną w 2022 r. Koronę Młodych. Wśród swoich zasobów politycznych, oprócz trójki posłów, wymienia także dwójkę sołtysów i trzech radnych. Jest też tam pozycja „święci politycy", wśród których znajdują się m.in. „święty Hermenegild, królewicz – katolik, zamordowany przez ojca-arianina", „święta Jadwiga Andegaweńska – król Polski", „święta rodzina pierwszego króla Węgier" czy „dziewicza para cesarska – św. Henryk i św. Kunegunda".

Co czeka Brauna

Bohater tego tekstu nie zmienia się od lat. Zmienia się za to otoczenie: klimat społeczny i krajobraz medialny. To, co kiedyś ściągało Korwin-Mikkego i jemu podobnych pod próg wyborczy, teraz zapewnia całkiem szeroki krąg życzliwych odbiorców. Niszę, w której można wygodnie się urządzić.

Krytykowanie Brauna w mediach – od mainstreamu po prawicę – choć słuszne, niewiele daje, gdy jego wyborcy nie wierzą mediom, a uzasadnienia dla swych poglądów szukają w internecie.

Kordon sanitarny wokół Brauna nie jest zresztą całkiem szczelny. Od narodowców z Konfederacji nie dzieli go aż tak wiele, nawet jeśli Bosak prostował kłamstwa o komorach gazowych.

Z kolei wiceprezes PiS Przemysław Czarnek, pytany o tę wypowiedź, oznajmił, że jej nie słyszał. Nie wykluczył też współpracy z Koroną w przyszłej kadencji, podkreślając, że ma bardzo dobre relacje z jej posłami w obecnym Sejmie.

Brauna potępił natomiast Jarosław Kaczyński. Prezes PiS na platformie X napisał: „Wypowiedzi Grzegorza Brauna tylko potwierdzają, że działa on z obcej inspiracji na szkodę – bardzo poważną szkodę – naszego kraju". Dla Nowogrodzkiej, czułej na punkcie relacji z USA, a w szczególności z proizraelskim Donaldem Trumpem, wszelkie skojarzenia z antysemickim Braunem są niemile widziane. Był to zresztą podobno jeden z tematów niedawnej rozmowy Kaczyńskiego z Szymonem Hołownią.

Część polityków PiS uważa, że partia Brauna nie ma szans przekuć obecnych sondażowych sukcesów na dobry wynik w wyborach. Że brakuje jej struktur, a kampania prezydencka – gdzie widać jedynie lidera – jest znacznie łatwiejsza do przeprowadzenia niż parlamentarna. Są jednak przykłady ugrupowań, które forsowały próg wyborczy, nie mając wielu rozpoznawalnych kandydatów – kiedyś Samoobrona, a ostatnio formacje Pawła Kukiza czy Ryszarda Petru.

Przyszłość Korony jest niewiadomą, na razie przypomina raczej pospolite ruszenie niż partię z prawdziwego zdarzenia ze sprawnymi strukturami. Musi rywalizować z PiS (któremu – jak wynika z *exit poll* w wyborach prezydenckich – Braun uszczknął trochę wyborców) i z Konfederacją, a być może przed wyborami parlamentarnymi powstanie jakiś kolejny prawicowy twór braunopodobny.

Są wszakże czynniki, które grają na Brauna – lęk przed uchodźcami, niechęć do Ukraińców, krytyka Izraela i jego poczynań w Strefie Gazy, pamięć o lockdownach, strach przed szczepionkami. Braun karmi się tymi wszystkimi strachami i na nich się buduje. I nawet jeśli jego własną karierę polityczną przerwie prawomocny wyrok za któryś z ekscesów (co w perspektywie dwóch lat wydaje się mało prawdopodobne), wygląda na to, że po prawej stronie sceny pojawiła się przestrzeń dla siły radykalnej – antyunijnej, antyzachodniej, skrajnie konserwatywnej i ledwie skrywającej prorosyjskość. Dla jej wyborców nawet Konfederacja, nie wspominając o PiS, jest zbyt establishmentowa i zbyt miękka. Zadomowienie się Korony na scenie politycznej – co pokazała kampania prezydencka i to, jak do Mentzena podchodzili politycy PiS i KO – ściąga zresztą Konfederację w stronę centrum, oswaja z nią. Braun, nawet jeśli padnie na którymś wirażu, może odegrać ważną rolę w przemianie sceny politycznej.

MICHAŁ PIEDZIUK, WOJCIECH SZACKI

© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

REKLAMA

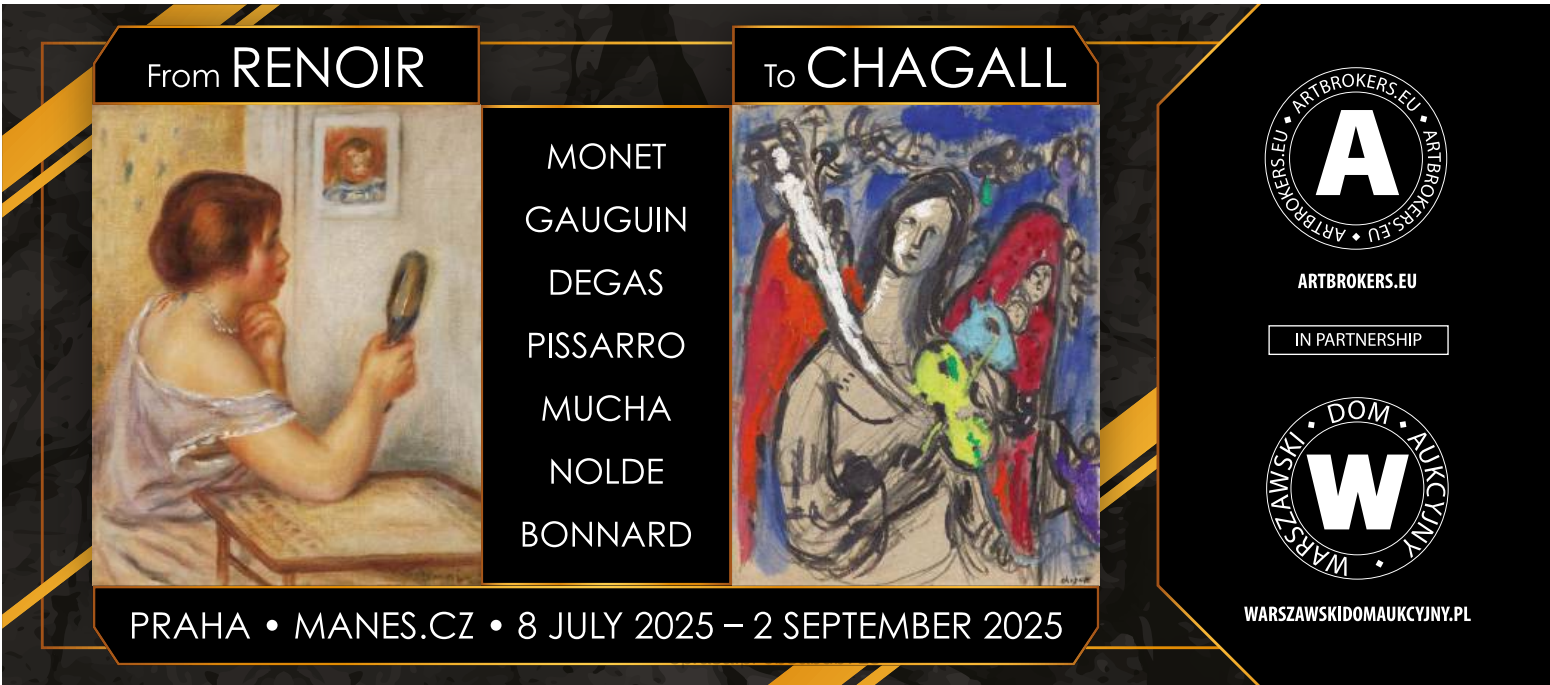

Nasi i oni

„Nasi chłopcy", wystawa w Muzeum Miasta Gdańska, pokazuje Kaszubów w niemieckich mundurach w czasie drugiej wojny światowej. Wzbudziła wielkie emocje i dyskusję, a raczej awanturę, wokół skomplikowanych wątków polskiej historii.

MARTYNA BUNDA

O rozgłosie, jaki wywołała ta wystawa, zapewne zadecydował tytuł, a dokładnie jego pierwszy człon. „Nasi chłopcy. Mieszkańcy Pomorza Gdańskiego w armii III Rzeszy", napisano na plakatach pokazujących nastolatka w niemieckim mundurze. „Stąd tylko krok do stwierdzenia, że skoro nasi chłopcy byli w armii III Rzeszy, to my odpowiadamy za drugą wojnę światową" – zawyrokowano w TV Republika. W podobnym tonie odezwali się prezydent Andrzej Duda, nazywając wystawę moralną prowokacją, i część posłów PiS (wśród nich prezes partii Jarosław Kaczyński czy jej polityk Mariusz Błaszczak), alarmujący, że wystawa wpisuje się w niemiecką politykę historyczną. Dołączył nawet minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz, pisząc, że wystawa nie służy polskiej polityce, i rzecznik rządu, dodając, że jest nieakceptowalna. Inni komentatorzy z demokratycznej strony sceny politycznej wspominali z przekąsem, że oto muzeum polało wodę na młyn wyznawcom partii Kaczyńskiego, chcącym wierzyć w „Tuska Niemca". Odezwało się nawet Muzeum Powstania Warszawskiego z komentarzem fotografią dwóch młodych powstańców, z podpisem: „Nasi chłopcy"; w domyśle – ci tak, tamci nie.

Kilka dni po otwarciu wystawy przed wejściem do muzeum stała już ponad setka osób. Syn i synowa Macieja Płażyńskiego (kiedyś współzałożyciela Platformy, potem w PiS; zginął w katastrofie prezydenckiego samolotu w Smoleńsku) krzyczeli z megafonów, że wystawa to hańba. Skrzynkę mailową muzeum zasypały obraźliwe wpisy, w tym powtarzający się motyw o „naszych chłopcach" strzelających do Polaków i co folksdojczom z muzeum powinny zrobić owczarki niemieckie. Inwektywy posypały się nawet wobec osób na fotografiach – nieżyjących już, często od ponad 70 lat, ofiar drugiej wojny, a słowo „zdrajcy" w tym kanonie było jednym z najłagodniejszych. Muzeum Miasta Gdańska, żeby zapewnić bezpieczeństwo eksponatom – i pracownikom – zatrudniło dodatkową ochronę.

© MARTYNA NIECKO/AGENCJA WYBORCZA

eprasa.pl 6b8abdb715

Tymczasem list otwarty w obronie wystawy (i prezentowanego na niej punktu widzenia) opublikowało grono ponad 50 profesorów i naukowców zajmujących się polską pamięcią; historycy, socjologowie, literaturoznawcy, politolodzy, ludzie kultury. Osoby związane z najważniejszymi polskimi muzeami i instytutami historycznymi: POLIN, Muzeum II Wojny Światowej, Europejskim Centrum Solidarności, Instytutów Studiów Historycznych oraz Studiów Politycznych PAN. Ważnym wątkiem listu jest konstatacja, o jakim właściwie doświadczeniu mówimy: bo przecież nie marginalnym, lokalnym. Wcielonych przymusowo, ze złamaniem ówczesnego prawa (konwencji haskiej), do niemieckiej armii było ok. 2 mln ludzi. Więcej niż co czwarty zginął. Ci, którzy wrócili, nierzadko doznawali szykan od nowego państwa. Ci, którzy zdezerterowali, nierzadko narazili na śmierć swoje rodziny. Spośród żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie ponad jedną trzecią stanowili dezerterzy z Wehrmachtu.

Tamci chłopcy

Wystawa „Nasi chłopcy" powstawała przez dwa lata; nie tyle ją wymyślono, ile wyrosła z innej, wcześniejszej, o wymownym tytule „Wolę o tym nie mówić". W 2023 r. historycy sięgnęli do kilku wątków, przez lata szczególnie mocno tabuizowanych. Najważniejsze wydawało im się zmilczane za czasów PRL doświadczenie powszechnych zbiorowych gwałtów żołnierzy Armii Czerwonej na Pomorzankach, ale pokazano też inne trudne tematy: ukrywanie niemieckich korzeni, brak prawa do języka czy nazwiska – przepisywanego dziesiątki razy, na różne sposoby, przez kolejne systemy państwowe. Był wątek kradzionych i wywożonych w głąb Niemiec dzieci, wreszcie dramat rocznika 1946, dzieci masowo rodzonych z nieznanego ojca.

Było też nawiązanie do „dziadka z Wehrmachtu". Wstydliwie ukrywanych zdjęć bliskich w nie takich mundurach, choć przecież służba w Wehrmachcie nie była na Kaszubach wyborem, a ofiary odmów (także odmów członka rodziny) czy dezercji, skazywane na śmierć czy obóz koncentracyjny przez Niemców, można liczyć w dziesiątkach tysięcy. Terror w tej części Polski, licząc od samego początku, od „krwawej jesieni 1939", był znacznie większy niż w Generalnej Guberni. Wojna wobec cywili – znacznie brutalniejsza.

Tamtej pierwszej wystawie towarzyszyły spotkania i dyskusje. A muzealników uderzyło to, jak mocno wśród trudnych wątków wybrzmiewa właśnie „dziadek z Wehrmachtu". Na przykład historia zdjęcia rodzinnego, na którym ktoś niewprawnie zamalował atramentem niewłaściwy mundur. Powielono je na specjalnym standzie, a puste miejsce po mundurze można było pokolorować, jak kto chciał. Owo proste, wydawałoby się, ćwiczenie z metafory wywołało zaskakująco silną reakcję zwiedzających; łzy, rozgoryczenie, przełykaną złość, czasem szloch.

Pod wpływem tamtej wystawy Pomorzanie zaczęli przynosić do muzeum własne rodzinne pamiątki – wydobyte z najgłębszych szuflad zdjęcia albo listy. Tak właśnie rodzili się „Nasi chłopcy", niezwykle osobista ekspozycja. – *Pomyślana jako uwolnienie tych zbiorowych emocji. Ale przede wszystkim jako wystawa merytoryczna. Opowiadająca o tym, skąd i dlaczego Kaszubi, Kociewiacy, inni Pomorzanie wzięli się w Wehrmachcie, pokazująca cenę, jaką płacili zarówno za służbę, jak i za odmowę* – opowiada Janusz Marszalec, historyk z Muzeum II Wojny Światowej i jej współtwórca wraz z Andrzejem Hoją. – *Wiedzieliśmy, że wystawa może budzić kontrowersje. Zdawaliśmy sobie sprawę, że może być łatwym celem dla osób liczących na polityczne łupy, stąd ze zrozumieniem odnosiliśmy się np. do sytuacji, gdy tuż przed jej otwarciem darczyńcy wciąż nie byli pewni, czy są gotowi pokazać publicznie historię swojej rodziny, w takich wypadkach byliśmy gotowi nawet na wycofanie eksponatów, co jednak nie nastąpiło. Ale nie spodziewaliśmy się aż takiej nagonki. Również na samych bohaterów wystawy, wyzywanych od zdrajców czy nazistów przez ludzi, którzy nie musieli w życiu dokonywać takich wyborów i którzy nawet tej wystawy nie poznali.*

A jeśli chodzi o meritum, niezwykle ważnym elementem są teksty: omawiające liczby, kontekst, opisujące sytuację na Pomorzu, odmienną, gorszą od tej w Generalnej Guberni. Wśród eksponatów są np. pamiątki po Edmundzie Tyborskim, zgilotynowanym w Kolonii dezerterze z Wehrmachtu, który chciał iść do partyzantki w Borach Tucholskich, ale nie zdołał. Albo po Stachu Focie, harcerzu ze Starogardu, który posłany z Wehrmachtem do Francji pracował dla tamtejszego ruchu oporu. Po Janie Wałaszewskim, konspirującym w Holandii, i Antonim Górskim, walczącym we włoskiej partyzantce. Po Henryku Bajduszewskim, żołnierzu Polskich Sił Zbrojnych, który martwił się, że nie zdąży na front, bo wojna się skończy.

Bracia albo przyjaciele, w jednej bitwie, w dwóch różnych mundurach, to też się wydarzało. Nie tylko we wpływowej kaszubskiej rodzinie von Krokov. Ponad 80 tys. Pomorzan, Ślązaków, Wielkopolan, Mazurów zdezerterowało z Wehrmachtu i dołączyło do wojsk polskich, skąd strzelali do swoich sąsiadów. Na gdańskiej wystawie znalazły się np. zdjęcia Ambrożego Bruskiego – który w 1944 r. zginie jako marynarz Kriegsmarine – z bratem Alojzym Bruskim, legendarnym „Grabem", dowódcą partyzantki z Borów ▶

eprasa.pl 6b8abdb715

▶ Tucholskich, zabitym przez komunistów w 1946 r. Brunon Kitowski pisał z frontu do przyjaciela, że wie już, że tamten przeżył, i bardzo się cieszy, bo po niemieckiej stronie musiało być straszliwie, skoro „my tak napier...lali tych Szwabów, że zrobiliśmy im prawdziwe piekło".

Ale są też fotografie bardzo młodych chłopców, ustawione w szeregach jak wojsko. Niektórzy wyglądają na dzieci. Dla wielu zdjęcie w mundurze było pierwszym i często ostatnim w życiu. Protestujący przed budynkiem muzeum krytycy zarzucają historykom, że niektórzy chłopcy na fotografiach są uśmiechnięci. – *Jakby nie mieli 17 lat i nie chcieli wyglądać korzystnie na zdjęciu, które mogą pozostawić rodzinie* – opowiada prof. Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk z Uniwersytetu Gdańskiego. – *Cóż, wszystko, co się wydarza w Gdańsku, ma wymiar polityczny, taki nasz los. Ale też sytuacja, którą obecnie obserwujemy, to w moim odczuciu konsekwencja stawiania na prostą opowieść w polityce pamięci, edukacji, ale też kulturze popularnej. A rzeczywistość nie jest czarno-biała, jest złożona, prawdę odnajdujemy w szarościach.*

Profesor w reakcji na oblężenie muzeum przez przeciwników wystawy zwołała ad hoc grupę kaszubskich intelektualistów i aktywistów. Gdy na zewnątrz rozlegały się krzyki, weszli pomiędzy protestujących, namawiając do spokojnej rozmowy i obejrzenia ekspozycji. – *I w niektórych przypadkach udało nam się przekonać protestujących. Wywołać refleksję, zrozumienie, wizytę na wystawie. A w efekcie nawet łzy* – dodaje prof. Borzyszkowska-Szewczyk. – *Były to zwykle osoby ze starszego pokolenia, przywiedzione na protesty przed muzeum przez ogromne emocje. W przeciwieństwie do krzyczących przez megafony polityków, po których żadnych osobistych emocji nie było widać, i którzy krzyczeli tylko dlatego, że znalazł się dobry pretekst, żeby przyznać sobie prawo do dzielenia, kto jest Polakiem, a kto nie.*

Pikieta przeciwników wystawy pod gdańskim ratuszem

Odbijanie historii

A jednak atakująca wystawę prawica dobrze wyczuła, że za zwrotem „Nasi chłopcy" kryje się coś jeszcze: nuta, która z nacjonalistycznej perspektywy jest groźna, bo podważa narodowe monolity, a jednocześnie wywołuje ogromne emocje. Wykuwa nową definicję pojęcia „polski patriotyzm" i kto wie, jak szeroko rozleje się ten punkt widzenia?

W tym samym 2023 r., gdy Muzeum Miasta Gdańska pokazywało wystawę poświęconą tabu, na rynku ukazała się głośna książka Stasi Budzisz „Welewetka, jak znikają Kaszuby". Autorka rozprawia się w niej w bardzo przekonujący dla Kaszubów sposób z wpisanym w kaszubską historię – i tożsamość – poczuciem wstydu. Ów wstyd wmawiano Pomorzanom zarówno za kanclerza Bismarcka, jak i za czasów przysłanych w dwudziestoleciu międzywojennym nauczycieli z Wilna czy Warszawy (którzy kaszubskojęzycznym dzieciom w nowo ogłoszonej Polsce zrobili doprawdy pruską, bardzo brutalną szkołę). Wmawiano go w PRL, który – podobnie jak prawica – wciąż węszył opcję niemiecką. A współcześnie na tej nucie gra Kościół katolicki, z roku na rok coraz jawniej wrogi np. wobec języka kaszubskiego w liturgii. Na spotkaniach autorskich wokół „Welewetki" wątek zawstydzania Kaszubów – właśnie z powodu ich języka, ale też odmienności doświadczenia – wywoływał równie ogromne emocje co zamalowane zdjęcie na wystawie „Wolę o tym nie mówić". Ów bardzo mocno wyczuwalny bunt, odbijanie narracji, odrzucanie tej narodowej, by zrobić miejsce na własną, to jeden z silniejszych procesów wydarzających się dziś na Kaszubach. (Notabene, gdy Stasia Budzisz wypowiedziała się na Facebooku, wspierając wystawę, również na jej skrzynkę spłynęły inwektywy i groźby, pośród których „golenie głowy" to jedna z łagodniejszych).

Tymczasem wątek „dziadka z Wehrmachtu" wyjątkowo dobrze wplata się w narrację narodową. – *Jeśli ktoś traci władzę, chce ją odzyskać, wtedy mobilizacja na fali nacjonalistycznego wzburzenia jest bardzo wydajna* – mówi prof. Cezary Obracht-Prondzyński, historyk i socjolog. – *Zawłaszczenie dla siebie prawa, by mówić, kto jest „nasz", a kto „nie nasz", czyli wrogi, to bardzo ważny spór o władzę symboliczną, który stał się sporem politycznym.*

Co znamienne, otwarta właśnie w Gdańsku wystawa nie jest pierwszą pokazującą podobne treści. Zbliżone w wydźwięku ekspozycje pojawiały się już w Bydgoszczy czy Toruniu. Wydano na ten temat co najmniej kilkanaście książek, historycznych bądź popularyzatorskich. Tyle że żadna wcześniejsza nie była eksponowana w Gdańsku.

A wątki ujęte na wystawie są groźne dla nacjonalistycznej polityki również z tego powodu, że stawiają publiczność przed

© MARTYNA NIECKO/AGENCJA WYBORCZA, ANNA BOBROWSKA/KFP

eprasa.pl 6b8abdb715

Wystawa stawia publiczność przed pytaniami podważającymi nie tylko podział na Polaków – nie-Polaków, ale też na bohaterów i niebohaterów.

pytaniami podważającymi nie tylko podział na Polaków – nie-Polaków, ale też na bohaterów i niebohaterów. – *Co więcej, kaszubska narracja jest przeciwieństwem uprawianej od lat przez prawicę gry w heroizację historii. Według tej drugiej opowieści tylko my, Polacy, jesteśmy bohaterami, i nie ma opcji, żeby Polacy nimi nie byli* – dodaje Cezary Obracht-Prondzyński. – *Inni mają być nam wdzięczni. A nie są. Tak właśnie pokazuje się wyznawcom, kto jest obcy, kto jest nie nasz. Obcy, z różnych powodów obcy, nie może nas reprezentować. Tusk jest nielegitymizowany, bo „jest Niemcem". Bodnar – bo „jest Ukraińcem". Ktoś jest Żydem, ktoś gejem. Ubekiem...*

Uważne obejrzenie wystawy „Nasi chłopcy" dobitnie uzmysławia absurdalność takich podziałów i oskarżeń. „Co byście wtedy zrobili, cholerni »patrioci«? Strzelilibyście sobie w głowę z pieśnią na ustach? Czy wybralibyście rozszerzone samobójstwo? Czy założylibyście ten cholerny mundur, starając się pudłować w czasie bitwy? Czy starając się nie pudłować, żeby przetrwać? Czy starając się jak najszybciej trafić do alianckiej niewoli?" – pisze na swoim Facebooku Andrzej Stelmasiewicz, gdański działacz społeczny, marszand kultury, przedsiębiorca. „Nie zakrzykujmy tych pytań w imię Ojczyzny. Jesteśmy to winni także tamtym chłopcom, nosimy w polskim DNA także ich geny".

Raz jeszcze milczeć

Z kolei skala reakcji na wystawę wyraźnie pokazuje, w którą stronę przesuwa się punkt ciężkości publicznego dyskursu. W 2005 r., gdy tuż przed wyborami Jacek Kurski, znany z wygłoszonego publicznie powiedzenia, że „ciemny lud wszystko kupi", użył w tej walce wobec Donalda Tuska sloganu o „dziadku z Wehrmachtu", w mainstreamie się oburzono. Ale skutków oskarżenia nie dało się naprawić; Donald Tusk, faworyt, wybory przegrał. Dziś w narrację Kurskiego wpisuje się nawet Kościół. Biskup Mering (ten sam, który odpisał Kaszubom, że nie są narodem, więc nie mogą używać w liturgii swojego języka, zarezerwowanego w Polsce dla Polaków) z Jasnej Góry przed publicznością skupioną wokół Radia Maryja straszył „pół-Niemcami, którzy nami rządzą".

Ekspozycja mimo zakusów wielu polityków, żeby ją usunąć, pozostaje na miejscu. Organizatorzy wystawy informują, że nie zmienią także jej tytułu. Wśród kaszubskich intelektualistów nie znajdzie się niemal nikt, kto by go krytykował, przeciwnie – dla lokalnej narracji okazał się ogromnie ważny. A w sensie społecznym, lokalnym, na Pomorzu potoczył się kolejny kamień, który wywołał lawinę. Relacji jest ogrom. Do internetu sypią się setki opowieści: o wehrmachtowych historiach, ale jeszcze bardziej o obłudzie oskarżeń, jawnej niesprawiedliwości, głupocie tych, których nie stać na pobieżne choćby postudiowanie tematu, na który postanowili się wypowiadać. Ta akurat narracja nie ma barw politycznych. Podzielają ją nawet osoby publicznie angażujące się we wspieranie PiS (i jednocześnie darczyńcy gdańskiej wystawy, którzy na potrzeby muzeum przekazali zdjęcia własnej rodziny – bo i takie przypadki mają miejsce). Proces zrzucania z ramion wmawianego wciąż Kaszubom wstydu przyspieszył, osiągając tempo dotąd nieznane.

Ale w sensie politycznym reakcja na wystawę – a w zasadzie jej brak – nie wróży dobrze. – *Premier, prezydent miasta to osoby, które nie zabrały głosu. Co oznacza, że eskalowanie podziałów na naszych i onych będzie się pogłębiało* – dodaje prof. Obracht-Prondzyński. – *Eskaluje Grzegorz Braun, już goni go Konfederacja, z nią z kolei ścigać się będzie PiS, który też ma zakusy na wydajną politycznie rolę strażnika pamięci. Jeśli strona liberalna, demokratyczna, proeuropejska myśli, że to przeczekają, przemilczą, że tutaj nie będzie walki, sporu o tożsamość, o pamięć, o to, kim jesteśmy i kto może kim być, to są w ciężkim błędzie. A jeśli myślą, jak Kosiniak-Kamysz, że zagrają w te same karty, tylko będą nieco bardziej kulturalni, to użyłbym jeszcze mocniejszych słów – bo ludzie wezmą oryginał. Wolą to, co jest prościej, czyli radykalniej, powiedziane.*

A wówczas może się np. okazać, że 2025 r. był ostatnim, kiedy wystawa podobna do tej gdańskiej w ogóle mogła powstać. Niektóre zdjęcia trzeba będzie znów schować do najgłębszych szuflad. Raz jeszcze milczeć.

MARTYNA BUNDA

eprasa.pl 6b8abdb715

Przedsiębiorca polityczny

Wywalczył w sądzie upadłość i nie spłacił milionów swoim dłużnikom, a potem sam dostał miliony od PiS i ułaskawienie od prezydenta. Robert Bąkiewicz – człowiek do zadań specjalnych Jarosława Kaczyńskiego.

ANNA DĄBROWSKA, MICHAŁ TOMASIK

© ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

Ważny polityk PiS: – *Andrzej Duda musiał w końcu ułaskawić Bąkiewicza. Bo jak by to wyglądało, że najpierw chwali go jako wielkiego patriotę za obronę granic, a potem musi on wykonywać polityczną karę. Choć wielu uważa Bąkiewicza za cwaniaka, to gest łaski Dudy politycznie bardzo się nam opłaca.* Prezydent czekał z tym półtora roku, ale teraz dokumenty podpisał już dzień po tym, jak minister sprawiedliwości Adam Bodnar odwiesił Bąkiewiczowi karę prac społecznych (po 30 godzin miesięcznie przez rok) i zapłaty 10 tys. zł.

To wyrok za poturbowanie na schodach warszawskiego kościoła „Babci Kasi" demonstrującej po zaostrzeniu przez PiS prawa do aborcji. Jednak Duda, który wierzy, że jeszcze odegra na polskiej prawicy jakąś rolę, co zresztą wywołuje uśmiech politowania u ważnych polityków PiS, i tak w oczach Zbigniewa Ziobry wyszedł na miękiszona, co też ten wyraził publicznie. Bo ułaskawił Bąkiewicza tylko częściowo – od prac społecznych, ale pieniądze zapłacić musi. Chyba ma z czego (choć sam twierdzi, że nie posiada dochodów), bo PiS go sowicie przez ostatnie lata opłacał. Bo i partii Jarosława Kaczyńskiego ma się to zwrócić.

Robert Bąkiewicz (rocznik 1976) dorastał w podwarszawskim Pruszkowie, w tej – jak mawiają lokalni – gorszej i zapuszczonej części miasta. To stąd mafia pruszkowska miała kierować swoją działalnością. Bąkiewicz – jak sam o sobie mówi – był zwykłym dresiarzem, ale niektórych mafiosów znał z podstawówki. Jego matka pochodzi z sąsiedniej wsi Reguły, a lokalsi mawiają, że gdzie kończą się Reguły, zaczyna się Pruszków.

Ona zajmowała się domem, ojciec za komuny miał etat, a w latach 90. rozwijał drobną działalność gospodarczą. Roberta wychowywał ciężką ręką: „Jak dziecko wciąż pamiętam, gdzie pasek wisi". Wspomina, że dla rodziców Okrągły Stół był sukcesem: nastała wolność i wreszcie będzie jak na Zachodzie. Uczył się w pruszkowskim ogólniaku i grywał w okręgowym, a potem czwartoligowym Zniczu Pruszków. W tym samym, w którym zaczynał o ponad dekadę młodszy Robert Lewandowski. Bąkiewicz na boisku nie zrobił kariery. Poszedł na studia na prywatną warszawską uczelnię na handel zagraniczny. Nie

eprasa.pl 6b8abdb715

postudiował za długo i zatrudnił się u ojca.

Ożenił się z młodszą o cztery lata Sylwią, z którą znali się jeszcze z podstawówki, i pod koniec lat 90. w Pruszkowie zarejestrowali małżeński biznes. Poszli w budowlankę, a dokładniej – jak opisywała trzy lata temu „Gazeta Wyborcza" – „spółka zatrudniała grupkę Polaków i Ukraińców, którzy za pięć złotych na godzinę robili wylewki betonowe, kładli tynki, malowali ściany". Przez dekadę dobrze im szło, aż do pęknięcia bańki na rynku nieruchomości. Bąkiewicz chciał szybko i dużo, więc brał kredyty i otwierał składy budowlane.

On sam tak publicznie wspominał ten czas: „Rzuciłem się w wir działalności gospodarczej i zachłysnąłem światem. Namiętnie goniłem za materializmem, ale nie mogłem go dogonić...". I dalej: „Dziś widzę, że chciałem tylko kasy, lecz całkowicie straciłem i sferę duchową, i sferę rodzinną, nagle wszystko zaczęło się rozjeżdżać (...) Piramida postawiona na piasku zaczęła się walić. W tych latach 2010–11 zacząłem szukać Boga, zacząłem się szczerze modlić". Jednak w tych opowieściach o nawróceniu człowieka finansowego sukcesu brakuje dość istotnego elementu – bankructwa i zostawienia na lodzie ponad stu wierzycieli.

Sprawę dokładnie trzy lata temu opisała „GW" na podstawie akt z sądu gospodarczego. – *Tamta historia pokazuje doskonale, jak Robert kombinuje dla kasy i to samo robi dziś w polityce, ale kreując się na obrońcę narodowych wartości* – mówi osoba związana z Ruchem Narodowym.

W największym skrócie ta historia wygląda tak. Kiedy w 2008 r. na kontach małżeńskiej spółki zaczęły pojawiać się zaległości, to podzielili firmę, a nową o podobnej nazwie zarejestrowali tylko na Sylwię. I podpisali intercyzę. To podobno ograny numer: ktoś ma długi na zleceniach ze starej firmy, nad którą wisi komornik, to nowe zlecenia przyjmuje na drugą. Ale to nie wystarczyło na długo, bo i nowa spółka szybko przestała być wypłacalna. Jak opisali dziennikarze frontstory.pl, Bąkiewiczowie musieli zastawić dom w Pruszkowie i zwolnić pracowników. Potem zarejestrowali trzecią firmę. Pod koniec 2010 r., aby zabezpieczyć się finansowo, wnieśli pozew o rozwód bez orzekania o winie, a chwilę później o upadłość likwidacyjną ich firm. Dom w Pruszkowie przepisali na małoletnią córkę, a po rozwodzie urodziły im się jeszcze dwie.

20 stycznia 2016 r. sądowy wydział dla spraw upadłościowych, który zarejestrował ponad 150 (!) zgłoszeń od wierzycieli pruszkowskich spółek Roberta i Sylwii umorzył w całości zobowiązania upadłego Bąkiewicza. Od tej chwili nie musiał ich spłacać. Z akt sądowych, do których dotarła „GW", wynika, że miał co najmniej 6 mln zł długów. Sześć lat później dostanie od rządu PiS miliony do wydania.

Polityczna kariera Roberta Bąkiewicza układała się podobnie do tej w budowlance. W 2015 r. mocno inwestował w Obóz Narodowo-Radykalny. Jesienią, po deklaracji premier Kopacz o przyjęciu uchodźców, współorganizował w Warszawie manifestację „Polacy przeciw imigrantom". Jego znajomości z kibicami, a także z klubami „Gazety Polskiej", przydały się, by ściągnąć do Warszawy ok. 10 tys. ludzi. Potem takich marszy, w których Bąkiewicz przez megafon dyrygował okrzykami w stylu „Śmierć wrogom ojczyzny!", przeszło przez różne miasta w Polsce kilkanaście. Bąkiewicz został członkiem zarządu ONR.

Niedługo potem, w 2017 r., objął stery Stowarzyszenia Marsz Niepodległości – głównego organizatora obchodów 11 listopada. Szybko doszło do konfliktów, bo już w 2018 r. stowarzyszenie organizowało marsz na 100. rocznicę odzyskania niepodległości, w którą zamierzał się zaangażować rząd Mateusza Morawieckiego. – *Asertywnie chcieliśmy negocjować z rządem. Robert by im wszystko oddał* – tłumaczy uczestnik zdarzeń.

Wśród narodowców ostro recenzowano prezesurę Bąkiewicza: zdrajca. I to podwójny, bo byli współpracownicy zarzucali mu próbę przejęcia organizacji na własność – współkierowały nią Młodzież Wszechpolska, ONR i Ruch Narodowy – a także gotowość do sprzedania się Jarosławowi Kaczyńskiemu. Spór trwał do 2023 r. Dopiero wówczas stronnictwo antybąkiewiczowskie uzyskało większość i odsunęło go od kierowania stowarzyszeniem.

Jak słyszymy wśród narodowców, sprzątanie po Bąkiewiczu trwa do tej pory. – *Odzyskiwanie kontroli nad nieruchomościami zakupionymi przez Straż Marszu i dostępami do mediów społecznościowych, spłacanie długów. Nie wiem, czy niektóre sprawy nie ciągną się do dziś* – tłumaczy osoba znająca kulisy audytów. Marcin Białasek, członek zarządu Stowarzyszenia Marsz Niepodległości, publicznie stawia pytania o praktyki byłego prezesa: fikcyjny wynajem sprzętu, fikcyjne zatrudnienia czy wypłatę 200 tys. zł na zaliczki, które miały nie zostać nigdy rozliczone.

W 2018 r. Bąkiewicz pierwszy raz postanowił sprawdzić swoją polityczną popularność. Wystartował na prezydenta Pruszkowa, strasząc „napływem imigrantów, próbami wprowadzenia multikulturyzmu, zderzeniem cywilizacji". Proponował wyemitowanie przez Pruszków lokalnej waluty, za którą można by kupować jedynie w granicach miasta. Nie pomogło ani hasło „Nie bój się zmiany na lepsze", ani obecność znanego już Krzysztofa Bosaka na skromnej konwencji wyborczej. Bąkiewicza na prezydenta poparło 1180 osób – zaledwie 4 proc.

W tym czasie Bąkiewicz tworzy Media Narodowe – najpierw portal i profile w mediach społecznościowych, a od 2023 r. koncesjonowaną telewizję. Na ich pokład trafiają ci, z którymi opuścił zarząd ONR, Tomasz Kalinowski oraz Michał Jelonek, a także Paweł Kryszczak (obecny koordynator Roty Niepodległości). TV była finansowana z Funduszu Sprawiedliwości, który podlegał ministrowi Zbigniewowi Ziobrze. Od 5 czerwca do 30 listopada 2023 r. trafiło do niej w sumie 200 tys. zł. Nawet wtedy, gdy Bąkiewicz kandydował do Sejmu z list PiS w 2023 r., z przydziału ziobrystów. Rozmówcy POLITYKI przyznają, że MN były ważnym projektem, a jednocześnie symbolem konszachtów Bąkiewicza z PiS. Jednym z udziałowców telewizji został były senator PiS Waldemar Bonkowski. Politycy Ruchu Narodowego oceniają, że MN ostatecznie zostały „zaorane". A milionowe dotacje poznikały.

Ile Bąkiewicz tych dotacji dostał za rządów PiS, trudno policzyć. Ciągle na organizacje z nim powiązane płynęły jakieś pieniądze. Wiadomości ze skrzynki mailowej szefa KPRM Michała Dworczyka, opublikowane przez Poufną Rozmowę, potwierdzają, że PiS zawiązał z Bąkiewiczem polityczno-finansowy deal. Dworczyk dwa dni po pierwszej turze wyborów prezydenckich w 2020 r. (rozstrzygnęła, że w drugiej spotka się Duda z Trzaskowskim) miał ustalić z Bąkiewiczem warunki współpracy. ▶

eprasa.pl 6b8abdb715

▶ W zamian za organizację demonstracji przed warszawskim ratuszem i na szlaku kampanii Trzaskowskiego Bąkiewicz zażądał m.in. oddania jego ludziom stanowiska wiceszefa w Instytucie Dziedzictwa Myśli Narodowej. I tak zastępcą dyr. Jana Żaryna, odpowiedzialnym za Fundusz Patriotyczny, został Andrzej Turkowski, zaufany Bąkiewicza.

Straż Narodowa Bąkiewicza za 1,7 mln zł z Funduszu Patriotycznego nabyła w otwockim Soplicowie posiadłość o powierzchni 9 tys. m kw. ze stylizowanym dworkiem, budynkami gospodarczymi oraz pięcioma domkami letniskowymi. Wcześniej był to ośrodek wypoczynkowy położony w lesie na obszarze Mazowieckiego Parku Krajobrazowego. Kolejną dotację w wysokości 450 tys. zł Bąkiewicz otrzymał na remont posiadłości i wyposażenie, w tym w pompę ciepła i instalację do oczyszczania ścieków, jednak zamiast tego zakupiono „sprzęt do studia telewizyjnego i robienia relacji w plenerze". W budynku mieli zamieszkać uchodźcy z Ukrainy, których przy innych okazjach Bąkiewicz oskarżał, że otrzymują od państwa polskiego przywileje „zarezerwowane dla obywateli Polski". Z KPRM na pomoc uchodźcom wojennym w 2022 r. otrzymał 264 tys. zł.

Bąkiewicz był lub jest wciąż powiązany z kilkoma organizacjami. Jego dawni współpracownicy, którzy chcą pozostać anonimowi, mówią wprost o pralni grantów i karuzeli dotacyjnej. Powiązane z nim Andegavenum dostało 560 tys. zł z Funduszu Patriotycznego na dwa projekty: „Katolicka myśl społeczna: pomniki, przykłady, kierunki rozwoju dla Polski" i „Tradycja katolicka dla wszystkich: pomniki myśli i żywe przykłady". Jej prezes Wojciech Golonka zlecił sam sobie wykonanie części usług i zarobił 80 tys. zł. NIK uznała to za niedopuszczalne. Inne organizacje powiązane z Bąkiewiczem, które dostały pieniądze z Funduszu Patriotycznego, to m.in. Stowarzyszenie Straż Narodowa (prawie 2,5 mln zł), Stowarzyszenie Roty Marszu Niepodległości (ponad 680 tys.zł), Stowarzyszenie Patriotyczne Siedlce (910 tys. zł).

– *Dlaczego Bąkiewicz dostawał tyle pieniędzy? Bo PiS nie miał zmapowanego środowiska. Nikt Bąkiewicza wśród narodowców już dawno nie szanował* – tłumaczy polityk związany ze Stowarzyszeniem Marsz Niepodległości.

Byli koledzy patrzą na jego aktywność z politowaniem. Dziś spoiwem działalności Roberta Bąkiewicza jest Stowarzyszenie Rota Niepodległości. Nazwa nieprzypadkowo kojarzy się z bliźniaczo podobnym Marszem Niepodległości. – *Po rozłamie w ONR założył stowarzyszenie ONR ABC* – wspomina z rozbawieniem polityk Konfederacji. Podobieństw jest więcej, bo pod Rotę podlega Straż Narodowa (zbieżność ze Strażą Marszu Niepodległości). Organizację utworzono w 2020 r. w odpowiedzi na wezwanie Jarosława Kaczyńskiego, kiedy zaczęły się protesty kobiet po wyroku trybunału Julii Przyłębskiej. „Musimy bronić polskich kościołów za każdą cenę. Wzywam wszystkich członków PiS i wszystkich, którzy nas wspierają, do tego, by wzięli udział w obronie Kościoła" – apelował Jarosław Kaczyński w specjalnym oświadczeniu w październiku 2020 r., widząc, że fala protestów zagraża jego rządom. Grupy Bąkiewicza „broniły", co w przypadku lidera zakończyło się wyrokiem i ułaskawieniem przez prezydenta Dudę.

Strona Straży Narodowej informuje, że zrzesza ludzi, „którzy pragną stać na straży ładu wyznaczanego przez reguły prawa rzymskiego, etyki chrześcijańskiej i greckiego stosunku do prawdy". Na dole widnieje informacja o dofinansowaniu ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Funduszu Patriotycznego. Ostatnia aktywność to relacja z organizacji obchodów powstania warszawskiego w 2023 r. – dwa i pół miesiąca przed utratą władzy przez PiS.

Ciekawiej prezentuje się strona Roty, na której codziennie publikowane są materiały promujące Bąkiewicza, najnowsze projekty oraz wypowiedzi nieprzychylnych mu polityków PO i Lewicy. Aktualności są zdominowane przez doniesienia o Ruchu Obrony Granic. – *To mistrz autopromocji i sprawiania wrażenia, że porwał tłumy. Rotę prowadzi z dwoma kolegami* – twierdzi poseł Konfederacji, pytany, czy patrole Bąkiewicza stanowią polityczne zagrożenie. – *Jak organizowaliśmy Straż Marszu, to zmobilizował 20 osób. Dla porównania Młodzież Wszechpolska i Ruch Narodowy po 200.*

W środowisku narodowców mało kto ma do powiedzenia o nim coś pozytywnego. Dominuje opinia, że nie da się z nim współpracować i ma parcie na szkło. Konfederaci nie obawiają się konkurencji Bąkiewicza. – *Na granicy z Niemcami działają posłowie PiS, Konfederacja, grupy kibicowskie, Patrole Obywatelskie, grupy patriotyczne.*

Środowisko wolnościowców Sławomira Mentzena na hasło „Bąkiewicz" reaguje ziewaniem. Dla nich gra nie tylko w znacznie gorszej lidze, ale wręcz w inny sport. – *Człowiek mem z beznadziejnym wizerunkiem. Nikt go nie traktuje poważnie, bo nie ma zaplecza i przytula się z PiS. Jest głośny, ale Matecki też jest i co z tego?* – pyta poseł Nowej Nadziei. W partii aktywność Ruchu Obrony Granic nie jest tematem dyskusji, bo pisowskie próby oskrzydlenia Konfederacji oceniają jako „słabe". Zdanie na temat Bąkiewicza mają podobne do kolegów narodowców.

Członkowie Ruchu Narodowego nie chcą rozmawiać o Bąkiewiczu pod nazwiskiem. Tłumaczą, że tylko na to czeka, żeby zrobić sobie reklamę. Nie chcą mieć z nim nic wspólnego, bo zdradził prawicowe ideały (także atakiem na Straż Graniczną) szkodzi środowisku. Jednocześnie podkreślają, że nie wróżą mu wielkiej przyszłości. – *Kreujecie go w mediach na jakieś wielkie zagrożenie i symbol złych narodowców. A to jest po prostu oszust i demagog* – wyznaje oburzony narodowiec.

Ale dla prezesa Kaczyńskiego liczy się polityczny zysk i dlatego będzie inwestować w Bąkiewicza. Został ogłoszony bohaterem PiS, a 9 lipca wystąpił w Sejmie na posiedzeniu parlamentarnego zespołu Ruchu Obrony Granic, w którym zasiada wiceprezes PiS Przemysław Czarnek. Nasi rozmówcy z partii mówią, że jego głównym atutem jest to, że groźnie wygląda (a wiadomo, że prezes docenia postawnych mężczyzn) i nie ma hamulców. – *Większość ludzi z ROG to działacze PiS, to nasze zbrojne ramię. Bąkiewicz daje temu tylko twarz, a potem my damy mu wystartować do Sejmu* – mówi poseł PiS. Z badania pracowni Opinie24 sprzed tygodnia wynika, że wśród sekundujących działalności Bąkiewicza na granicy przeważają mężczyźni głosujący na Konfederację (61 proc.) i PiS (55 proc.) – *Nam wybory prezydenckie wygrali właśnie ci mężczyźni i Robert Bąkiewicz ma nam pomóc wyrwać Konfie choćby 2 czy 3 proc. w wyborach parlamentarnych w 2027 r.* – mówi ważny polityk PiS. I dlatego Bąkiewicz dostanie dobre miejsce na listach. Lepsze niż dwa lata temu w Radomiu.

ANNA DĄBROWSKA, MICHAŁ TOMASIK

eprasa.pl 6b8abdb715

POSZERZAMY HORYZONTY

Naukowe miesięczniki POLITYKI

Lipcowe numery w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

Prenumerata także z bezpłatną dostawą do wybranego

InPost Paczkomat 24/7

pulsar

eprasa.pl 6b8abdb715

Granica polsko-litewska, przejście Budzisko-Kalvarija

Szlak Północny

eprasa.pl 6b8abdb715

© DOMINIKA ZARZYCKA/NURPHOTO/GETTY IMAGES

Granica polsko-litewska to nowy front walki władzy z nielegalnymi imigrantami. W modzie i powszechnym użyciu jest tu ministerialny slogan: „Przejścia nie ma!”.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

7 lipca 2025 r. wróciły kontrole. Na parkingu po polskiej stronie, w Budzisku, stanął blaszany kontener i namiot Straży Granicznej. Pracują nowiutkie generatory prądu. Służby dbają o efekt wizualny, swoje radiowozy ustawiły na przejściu niemal wszystkie z nich. Z daleka widać niebiesko migające koguty policyjne.

Ruch z Litwy zwalnia, mundurowi kanalizują go w jedną wąską linię. Trzeba czekać. Żadnych wyrywek, sprawdzają wszystkich – nawet najmniejsze samochody z bagażnikami, w których nie zmieściłby się człowiek. Kontrole przeprowadzają głównie funkcjonariuszki, młode uśmiechnięte kobiety. Łagodzą obyczaje, gdy trafi się nerwus. Mówią: staramy się, takie mamy rozkazy.

Przyznają, że głównie spotykają się ze zrozumieniem ze strony podróżnych. Czasem tylko komuś się uleje – zaklnie, że traci czas na polityczne cyrki. Albo wybuchnie, że „wszystko przez ciapatych”. W podobnych sytuacjach należy profesjonalnie milczeć.

Liczby

Język rozpala się tym bardziej, im bliżej zwyczajnego obywatela pogranicza – ciapaki, hordy, dzicz, gwałciciele, darmozjady, złodzieje miejsc pracy. Już jak zwykle chłopcy z Konfederacji korzystają na fermencie – porozklejali na ulicach Suwałk i słupach w wioskach straszące ludzi plakaty, wzywają na wiec przeciwko imigrantom. Prościutki przekaz pod publikę, jak z bajki o ludożercach: Arab w turbanie wściekle wrzeszczy, Murzyn groźnie szczerzy zęby. Wiosną Suwałki protestowały przeciwko otwarciu w mieście Centrum Integracji Cudzoziemców, ulotki rozdawano nawet w kościele.

Jednak to nic nowego na wschodzie Polski – takie słowa i obrazy pojawiały się, kiedy władza PiS budowała zaporę na granicy polsko-białoruskiej, a uchodźcom odmawiano nie tylko praw do azylu, ale często także praw człowieka. Prezes Kaczyński sugerował nawet, że imigranci przenoszą groźne choroby. Tegoroczna opowieść antyimigrancka poszerzyła się jedynie o gwałcicieli – do obrony polskich kobiet przed domniemanym imigrantem gwałcicielem wzywał na wiecach wyborczych w miasteczkach wschodniej Polski bardzo popularny, zwłaszcza wśród młodych mężczyzn i chłopców, kandydat Konfederacji na prezydenta, Sławomir Mentzen.

Nowy jest też kierunek przybywania największych grup imigrantów do Polski. Już nie bezpośrednio dyktatorska Białoruś, a demokratyczna unijna Litwa, w której walutą jest euro. Władze polskie mówią na to Szlak Północny, dane z kontroli granicznych mają potwierdzać, że szlak istnieje. Straż Graniczna podała liczby po pierwszym tygodniu kontroli na granicy polsko-litewskiej: odprawiono 40 tys. osób; skontrolowano 19,5 tys. pojazdów; zatrzymano 42 osoby, w tym 34 imigrantów i 8 kurierów, którzy mieli ich wwieźć do strefy Schengen.

Domino

Tak zwany Szlak Północny istnieje od dawna. Wystarczy spojrzeć na tabele podlaskiej Straży Granicznej z ostatnich kilku lat, kiedy nie obowiązywały odgórnie zarządzone w lipcu 2025 r. kontrole na granicy z Litwą – setki zatrzymanych rocznie, imigrantów i kurierów. Dokładnie ten sam co dzisiaj system ▶

eprasa.pl 6b8abdb715

▶ szmuglowania ludzi do Unii. Z Afryki Północnej i Azji samolotami rejsowymi przylatują do Rosji lub na Białoruś, tam płacą pośrednikom od 2,5 do 4 tys. dol. za przerzucenie na Litwę lub Łotwę. Potem wkraczają kurierzy – najdrożsi podwożą imigrantów pod granicę polsko-niemiecką. Wśród kurierów bezpaństwowcy, Polacy, Ukraińcy, Syryjczycy, Hindusi, Pakistańczycy, Gruzini, Uzbecy, Łotysze, nawet Duńczycy i Izraelczycy. Szlak Północny to dochodowy nielegalny interes, ale byli i tacy kierowcy, którzy za darmo podwozili ciemnoskórych autostopowiczów w głąb UE.

Ludzie z miejscowości po polskiej i litewskiej stronie mówią dziś, że dobrze wiedzieli, że szmuglerski ruch nie ustaje ani na chwilę. Najbiedniejsi imigranci, tacy, których nie było stać na podwózkę pod niemiecką granicę, przekraczali tę litewsko-polską w pobliżu odludnych pieszych przejść, które funkcjonują jako szutrowe drogi wiejskie i nie są pilnowane. Szli przez lasy i pola, pojedynczo i grupami. Rolnicy z okolic litewskiej Lubawy i Radomina przyznają, że zdarzało im się sprowadzać wieczorem z łąk krowy, które już ktoś wydoił. Tak samo po polskiej stronie, w okolicach Puńska, Szypliszek, Poszeszupia – lokalne zagłębie rzeźników i masarzy – trafiały się nie tylko potajemne dojenia krów, ale i prośby ciemnoskórych ludzi o coś do zjedzenia i o lekarstwa.

Reszta zależała od tego, na jakiego człowieka trafili imigranci. Jedni przyznają, że żal im było człowieka i pomagali – najczęściej do przekazania jedzenia dochodziło w lesie po zmierzchu, żeby sąsiedzi nie widzieli. Ale potem widziało się goniące po okolicy furgonetki Straży Granicznej – oznaczało to, że któryś sąsiad doniósł na imigrantów. I tak rodził się strach – pomagający bali się, że pojmany nielegalny opowie mundurom, gdzie został nakarmiony. Obowiązywała cisza – o ciemnoskórych ani słowa. Głośni bywali jedynie ci, którzy powiadomili służby. Podkreślali dumę ze spełnienia obowiązku obywatelskiego wobec Polski.

Jednych i drugich łączyło to samo zdziwienie – dlaczego media rozpisują się wyłącznie o granicy polsko-białoruskiej, skoro na litewskiej przemyt ludzi odbywa się w podobnej skali. Dziś problem granic wschodnich Unii z punktu widzenia mieszkańca podpuńskiej wsi w Polsce i miasteczka Kalvarija na Litwie też sprowadza się do tej samej, życiowej konstatacji: zawsze wielki zwala na małego, a mały na mniejszego. Daje się to łatwo przełożyć na wielką geopolitykę: Niemiec wprowadził kontrole na granicy z Polską i nie wpuszcza imigrantów, więc Polak zarządził kontrole na granicy z Litwą i robi to samo. A Litwa już zdążyła przypisać odpowiedzialność za napływ migrantów do Europy mniejszej od siebie Łotwie. Rzeczywiście wielu zatrzymanych w Polsce nielegalnych to tacy, którzy uciekli z łotewskich ośrodków dla cudzoziemców bez czekania na rozpatrzenie swoich spraw i bez dokumentów.

Poranki

Przed dziewiątą rano pod zamkniętym jeszcze suwalskim centrum handlowym siedzą na ławkach jego pracownicy. Obok siebie paru białych i ciemnoskórych chłopaków. Milczą, gapią się w komórki. Ulicę dalej w grupce białych czekają na autobus dwie roześmiane czarnoskóre dziewczyny. Na starówce ciemnoskórzy rozpalają ogień w kebabowni, biała dziewczyna ze sklepu obok przyjaźnie macha im ręką – znają się z codzienności. W Suwałkach ciemnoskórzy – choć widoczni – giną w masie białych, malutka skala. Pomiędzy nimi słup z plakatem Konfederacji, na którym czarnoskóry szczerzy zęby, Arab chce zabijać, a wszyscy oni gwałcić.

Trakiszki, kontrola graniczna w pociągu z litewskiej Mockawy do Krakowa

W pięknym miasteczku Kalvarija po litewskiej stronie podobne widoki – odpalanie kebabu, rozmowy międzykolorowe na rogu ulicy. Malutka skala. To samo w Kownie, bo nie ma na świecie żadnej turystycznej ulicy bez kebabu i lawasza. Śniady chłopak wnosi towary do spożywczego. Śniada dziewczyna wskazuje kierunek zagubionym turystom z Niemiec. Ale w przygranicznych wsiach żadnego legalnego imigranta.

Po stronie litewskiej mniejsza niż w Polsce histeria antyimigrancka. Przed południem tłok i korek na granicy w polskim Budzisku, bo i remont drogi na Litwie, i polskie służby „trzepią" – jak mówią tirowcy z kolejki. Na Litwie tylko jeden strażnik graniczny w aucie. Po drodze do Kowna tylko jeden lotny patrol tamtejszych służb – zatrzymali do kontroli samochód na ukraińskich numerach, który wszystkie szyby ma przyciemnione, tak że zupełnie nie widać, co w środku.

Zdziwienie

Litwini byli zdziwieni decyzją polskich władz o wprowadzeniu kontroli granicznej. Mówił o tym publicznie szef tamtejszej Straży Granicznej i sam litewski premier Gintautas Paluckas. Z ich słów wynikało, że Polacy jakoby „zapomnieli" uprzedzić sąsiadów o ruchach, które podejmują. A przecież miesiąc wcześniej podpisywano strategiczne projekty współpracy między polskimi i litewskimi pogranicznikami w ramach unijnego programu Interreg (integracja regionów europejskich), z którego dostaną nowy sprzęt patrolowy. A zaledwie kilka dni wcześniej (3 lipca) w Sejnach spotykali się samorządowcy z sąsiednich miejscowości polskich i litewskich omawiać przebudowę lokalnych dróg międzygranicznych, które na razie są szutrowe.

Tymczasem na początku lipca polski premier Donald Tusk, wyjaśniając powody wprowadzenia kontroli, oznajmił dyplomatycznie, że „granica litewsko-białoruska nie jest jeszcze tak szczelna jak polska". A polski sekretarz stanu w MSWiA odpowiadający także za politykę migracyjną Maciej Duszczyk dodaje, że „wprowadzenie kontroli jest działaniem pragmatycznym, a nie politycznym".

Teraz już spokój na linii sąsiedzkiej i nawet z litewskich gazet nie da się wyczytać, że Polacy nie uprzedzili Litwinów o kontrolach. Da się natomiast wyczytać o współpracy służb obu krajów. Litwa ze swojej strony wysłała policjantów i strażników

© MICHAŁ KOŚĆ/FORUM, PODLASKI ODDZIAŁ SG

eprasa.pl 6b8abdb715

Funkcjonariusze Straży Granicznej wraz z żołnierzami Wojsk Obrony Terytorialnej na przejściu w Trompolach zatrzymali obywatela Ukrainy wraz z podróżującymi z nim cudzoziemcami z Somalii i Etiopii. Cudzoziemcy nie mieli dokumentów uprawniających do wjazdu i pobytu na terytorium RP.

granicznych do pilnowania granicy łotewskiej. Jednak ulice Kowna nie są tak układne jak politycy – ludzie, którzy słyszeli o tymczasowym przywróceniu granicy między Polską a Litwą, mówią, że Polacy znów się szarogęszą w regionie.

Bohaterowie

Granica polsko-litewska ma 104 km długości. Jest i Szlakiem Północnym przemytu nielegalnych imigrantów, i „przesmykiem suwalskim" uważanym za najsłabszy punkt UE i NATO w przypadku ataku wojennego Rosji, na przykład z obwodu królewieckiego. Do tego dochodzi obawa przed rosyjską dezinformacją, która może podbechtywać resentymenty między Polską a dawną radziecką Pribałtiką (Litwa, Łotwa, Estonia). Jednak mimo tego na polsko-litewskiej granicy nie spotyka się samozwańczych bojowych patroli obywatelskich z tzw. Ruchu Obrony Granic, jak na polsko-niemieckiej. Tamci już zostali wykreowani przez prawicowy matrix medialny i polityczny na polskich patriotów i bohaterów – bronią Polski przed Niemcami w wyimaginowanej wojnie, bo wyłapują cofanych z Niemiec nielegalnych imigrantów. Dziękuje im nawet Andrzej Duda, chociaż raczej wie, że do obrony granic Polska ma powołane służby, które nie noszą dresów, tylko mundury.

Tymczasem na froncie wschodnim „bohaterska" cisza, pracują tylko mundury. Rozbiór logiczny tego zjawiska, jeśli się w nie zagłębić, bywa porażający. Wystarczy pogadać z nastawionymi prawicowo mężczyznami, niekoniecznie młodymi, w miastach takich jak Suwałki czy Sejny. Ale ta rozmowa trwa też od dawna w sieci. Najświeższa jej odsłona objawiła się już po wprowadzeniu przez rząd kontroli na granicach polsko-niemieckiej i polsko-litewskiej. Na swoich facebookowych stronach każda ze służb zaangażowanych w kontrole poinformowała o tym w niemal tych samych słowach: „osiągamy gotowość", czyli damy radę. A poniżej zwyczajowe dialogi polsko-polskie internautów. Wynika z nich jedno: Polska ma święte prawo cofać na Litwę i Białoruś złapanych nielegalnych imigrantów, ale Niemcy nie mają żadnego prawa cofać takich samych imigrantów do Polski.

Któryś z internautów próbuje tłumaczyć, że prawo międzynarodowe w kwestiach migracyjnych jest identyczne dla wszystkich krajów i że Polska nie jest w żaden sposób uświęcona większym prawem niż inne kraje. Nie wierzą. Brnie dalej – podaje numery i paragrafy odpowiednich ustaw. Na chwilę zalega internetowa cisza. Ale potem już wszystko wraca do „bohaterskiej" normy – ten, co się tu mądrzy, to kłamca!

Ósmego dnia obowiązywania kontroli granicznych na wschodzie i zachodzie Polski Andrzej Duda uniewinnia Roberta Bąkiewicza od wyroku prac społecznych za atak na starszą kobietę, aktywistkę Strajku Kobiet. Bąkiewicz to inicjator nielegalnego Ruchu Obrony Granic. Duda namaszcza go na bohatera, wskazuje go za przykład innym prawicowym watażkom.

Dzień po ułaskawieniu Bąkiewicza przez Dudę w Wałbrzychu agresywni mężczyźni obrzucają racami hostel dla obcokrajowców i biją jednego z nich. Gdyby ktoś im powiedział, że istnieje także legalna migracja do Polski, nazwą go kłamcą.

Kontrole

Wystarczy zjechać na chwilę z drogi w pole i zatrzymać samochód, a już podjeżdża Straż Graniczna, pyta, czy „wszystko w porządku", i każe otworzyć bagażnik. Wszędzie są – w Ogrodnikach, drugim największym przejściu z Litwą, „trzepią" każdego bez wyjątku. Na kolejowym w Trakiszkach to samo, zaangażowała się też Służba Ochrony Kolei. Na malutkich przejściach w szczerym polu i lasach, na szutrach, siedzą w radiowozach i „typują" do zatrzymania. „Przejścia nie ma", mówią czasem w luźnej rozmowie słowami swojego szefa Tomasza Siemoniaka. Slogan wszedł w życie jak *no pasaran* (nie przejdą, nie przepuścimy) w czasie wojny domowej w Hiszpanii.

Granica lądowa Litwy z Białorusią, skąd przychodzą nielegalni migranci, ma długość 504 km. Łotewsko-białoruska to 176 km. Na obu stoją zapory – parkan z siatki od góry uwieńczony zwojami drutu kolczastego concertina (żyletkowy).

W ramach strefy Schengen prawo pozwala na wprowadzanie tymczasowo (na 30 dni) kontroli granicznych. Potem, po uargumentowaniu (powód „dostosowany do stopnia zagrożenia publicznego lub bezpieczeństwa państwa w związku z wystąpieniem poważnego zagrożenia nielegalną imigracją"), można przedłużać.

7 lipca w nocy, w pierwszych minutach obowiązywania kontroli na granicy polsko-litewskiej, wpadli pierwsi nielegalni imigranci – Łotysz przewoził w samochodzie czterech Afgańczyków. Nie zdążyli przed północą.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

eprasa.pl 6b8abdb715

Jaki syn, taki ojciec

Mężczyźni tak bardzo chcą być dziś nowoczesnymi ojcami, że nieraz spychają matki na boczny tor. Niechcący wchodzą w buty własnych ojców i budują nowy patriarchat.

ILUSTRACJA **ADELA PODGÓRSKA**

ZBIGNIEW BOREK

Syn wraca do domu i mówi: „Cześć, tato". Ojciec odwraca się od telewizora i pyta: „Gdzie byłeś?", na co syn odpowiada: „W wojsku". Stara jak świat anegdota trafnie opisuje dawny model ojcostwa. Tradycyjny ojciec zmiany pieluch się brzydził, na wywiadówki nie chodził, osobiście co najwyżej kibicował dziecku, gdy grało w piłkę. Skupiał się na finansowym utrzymaniu rodziny, w domu był najwyższą instancją, wyznaczał reguły, egzekwował zasady. Pielęgnację i budowanie emocjonalnej relacji z dzieckiem przypisywał matce, a potem był zdziwiony, że dziecko tak szybko urosło i nie odczuwa z nim głębokiego związku. Z takim ojcem dorastała większość mężczyzn obecnego pokolenia 30-, 40 - i więcej latków.

eprasa.pl 6b8abdb715

– *Gdy sami zakładają rodziny, chcą, żeby u nich było inaczej. Niektórzy angażują się w rodzicielstwo na „pełnej petardzie". Przejmują całkowitą kontrolę nad rodziną, nie liczą się ze zdaniem matki, a w ostatecznym rozrachunku odbija się to na obojgu rodzicach i dziecku* – mówi Marcin Grudzień, psychoterapeuta i ekspert Fundacji Share the Care (Podziel opiekę).

Nowa tożsamość

Zanim opowiemy o ojcach nadgorliwych czy nadopiekuńczych, warto podkreślić, że rodzinna orka to nadal domena kobiet. „Na kobietach wciąż spoczywa obowiązek organizacji życia rodzinnego – podejmowanie decyzji o posiłkach, sprawach szkolnych, dbanie o czystość" – czytamy w raporcie z projektu badawczego „Równość płci i jakość życia" Instytutu Socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego z 2015 r. Badania CBOS w 2020 r. wykazały, że 58 proc. mężczyzn chwali partnerski model, ale we własnej rodzinie stosuje go tylko 37 proc. „W aż 68 proc. rodzin z dziećmi w wieku 1–9 lat, w których oboje rodzice pracują, to matki w największym stopniu sprawują obowiązki opiekuńcze" – czytamy w raporcie „Praca a dom. Wyzwania dla rodziców i ich konsekwencje" (Polski Instytut Ekonomiczny, 2022 r.).

To nie jest bolączka wyłącznie polska. „Mężczyźni twierdzą, że robią i chcą robić więcej, ale bariery dla równego podziału – strukturalne, oparte na normach, indywidualne i finansowe – pozostają" – czytamy w raporcie „State of the World's Fathers 2023. Centering Care in a World in Crisis" (Stan ojców. Skupianie opieki w świecie w kryzysie) hiszpańskiej organizacji równościowej Equimundo. Badania w 17 krajach (jak USA, Meksyk, Portugalia, Irlandia, Australia) pokazują, że mężczyzn, którzy opiekują się dziećmi i innymi bliskimi, wciąż za mało wspierają pracodawcy oraz politycy. Zbyt mało chłopców dorasta, widząc swoich ojców w roli opiekunów – piszą autorzy raportu.

W Polsce zmiany w modelu ojcostwa zachodzą powoli. Na podstawie cytowanych wyżej badań Instytutu Socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego można nawet określić ich tempo: 20 proc. na każde pokolenie, bo co piąty badany częściej przypisywał poszczególne obowiązki domowe obojgu partnerom w rodzinie założonej przez siebie niż w tej, w jakiej się wychował. Jeśli chłopcy wychowują się w rodzinie praktykującej wzory równościowe, jako mężczyźni z reguły powielają je we własnej, ale ważna jest też presja społeczna i legislacja. Widać to na przykładzie urlopów rodzicielskich: w 2024 r. urlop rodzicielski wykorzystało 41,9 tys. mężczyzn, czyli 11 razy więcej niż w 2022 r., bo weszły w życie sprzyjające ojcom zmiany w prawie (urlop ojca stał się bardziej opłacalny i w części niezbywalny – nie można go przekazać matce). Trzy lata temu na urlop rodzicielski szedł co setny ojciec w Polsce, dziś 17 proc., podczas gdy w Hiszpanii z takiego urlopu korzysta co drugi ojciec, a w Finlandii 75 proc. Polscy ojcowie biorą ten urlop szczególnie chętnie latem, co oznacza, że przynajmniej część z nich traktuje to bardziej jako czas wolny niż realny okres budowania więzi z dzieckiem.

Jest więc jeszcze sporo do zrobienia, ale Karolina Andrian, prezeska Fundacji Share the Care, podkreśla, że mężczyzn coraz częściej widać razem z przyszłymi mamami u ginekologów i na porodówkach, a gdy dziecko przyjdzie na świat, także u lekarza czy na zebraniach w przedszkolu i szkole. Młodzi Polacy coraz rzadziej ograniczają się do roli „żywiciela rodziny", ojcostwo zmienia ich priorytety. Dowodzą tego spisane przez samych ojców historie, które Share the Care zebrała w ramach projektu „Facet na 100 PRO".

Marek ma trzy córki i syna, w wieku od czterech do dziewięciu lat, oraz dwie firmy. Kiedyś nie wciągał dzieci do swojego świata ani nie zaglądał zbytnio do ich życia. Zastawiał się żoną, sam uciekał w pracę. Podnosił głos, kiedy coś nie szło zgodnie z planem. „Czy chciałem powielać szkodliwe schematy z domu rodzinnego? Oczywiście, że nie. Czy to robiłem? Oczywiście, że tak" – opowiada. Wszystko zaczęło się układać dopiero, gdy zdał sobie sprawę, że dzieciom może ofiarować przede wszystkim swoją obecność.

„Staram się aktywnie słuchać i mieć otwarte uszy na to, co oni chcą mi pokazać" – napisał 32-letni Daniel o swoich synach: czteroletnim Dominiku i 18-miesięcznym Józiu. Mateusz jako tata Julii (córki z wyboru) i Zofii (córki biologicznej) uważa, że dzięki ojcostwu nauczył się mówić o swoich emocjach. Michał jest ojcem połowę swego życia. Ma pięcioro dzieci i żonę, która pracuje jako ratowniczka medyczna po 12, a bywa, że i po 24 godziny na dobę, kto jest więc w domu, ten ogarnia rodzinę. „Dziecko nie gryzie. Trzeba je przytulić, przewinąć, pobawić się z nim. To jest wykonalne także dla ojca" – podkreśla Michał. Paweł był na progu kariery adwokackiej, kiedy przyszła na świat Bogna. Zamiast rozwijać kancelarię, został urzędnikiem, by – jak to ujął – mieć czas i przestrzeń dla dziecka.

„Normalnie, to moja córka" – tak odpowiada 36-letni Jarek, gdy ktoś go pyta, jak sobie radzi z pięcioletnią Polą. Dla niego ojcostwo to nowa tożsamość, która definiuje go bardziej niż cokolwiek innego. – *Wielu mężczyzn, stając się ojcami, doświadcza przewartościowania życia. Bycie tatą na 100 proc. jest męskie* – komentuje Małgorzata Adamowicz z Fundacji Share the Care. A co dzieje się, gdy ojciec angażuje się na 150 czy 200 proc.?

Gry rodzinne

– *Przesadzić z ojcostwem można tak samo jak ze słodzeniem herbaty, tylko konsekwencje są znacznie poważniejsze* – mówi Jarek Kania, tata trzech córek, autor podkastu i bloga „Ojcowska strona mocy". Nikogo nie diagnozuje, ale w sieci dostrzega ojców, którzy „wiedzą lepiej", bo taką mają naturę albo wszystko chcą robić lepiej niż własny ojciec. Z takimi ojcami styka się też Marcin Grudzień, psychoterapeuta i ojciec trojga dzieci. Prowadzi warsztaty rozwojowe i grupy wsparcia dla mężczyzn, m.in. na temat ich relacji z dziećmi. – *Z moich obserwacji wynika, że nadopiekuńczość ojcowska najczęściej jest formą kompensacji. Jeśli chłopiec był przez ojca emocjonalnie zaniedbany, to nie wynosi z domu dobrego wzorca. Silna jest wtedy pokusa, żeby „wynagrodzić" swojemu dziecku to, czego się samemu nie dostało. Pojawia się też lęk, czy uda się być innym ojcem niż ten, którego się pamięta z dzieciństwa.*

Kamil ma ponad 30 lat. Jest ojcem dwóch chłopców, za których czuje się tak odpowiedzialny, że nie decyduje się na rozwód, choć jego związek od kilku lat jest fikcją. W zamian oczekuje, że „chociaż dzieci" spełnią jego oczekiwania. Z roku na rok widać, że nie spełniają, bo nieszczęśliwi rodzice rzadko mają szczęśliwe dzieci, ale Kamil tego nie zauważa i staje się jeszcze bardziej nadopiekuńczy, żeby jego starania wreszcie przyniosły skutek.

Daniel, niespełna 40-latek, wychował się w rodzinie, w której był obarczony ▶

eprasa.pl 6b8abdb715

▶ opieką nad dwoma młodszymi braćmi. Był jakby „trzecim rodzicem", a mama i tata winili go, gdy bracia skaleczyli się na podwórku albo nie odrobili lekcji. Jako ojciec Daniel niepokoi się, gdy jego dzieci biegają po schodach, ingeruje w spory między rodzeństwem, próbuje im dobierać znajomych, najstarszemu sugeruje, jakiej muzyki powinien słuchać. Urazy i niepowodzenia dzieci Daniel przypisuje sobie i szuka „metod naprawczych".

Nadopiekuńczy jest też Wojtek (wiek 40 plus). Wychowała go samotna matka. Opieka nad dziećmi kojarzy mu się z ciągłą kontrolą: musi wiedzieć, gdzie i z kim jego dzieci są, co robią, kiedy wrócą i dlaczego tak późno. Nie pasuje to dzieciom, ale też ich mamie i żonie Wojtka, która wychowała się w domu, gdzie było mnóstwo swobody, jako dziecko po osiedlu chodziła z kluczem na szyi. Wojtek nie pozwala, by „jego dzieci latały samopas jak ich matka", dla niej rozkładanie czerwonego dywanu przed dziećmi, jak to nazywa, jest bez sensu. Kłótnie o dzieci i ich wychowanie są więc na porządku dziennym.

– *Niektórzy mężczyźni rozpychają się łokciami, usiłując na nowo zdefiniować pojęcia ojcostwa, ale też męskości* – uważa Joanna Flis, psycholożka i psychoterapeutka. W swojej książce „Gry rodzinne" pisze, że w rodzinie każdy ma swoją rolę do odegrania. – *Dawniej ojciec uczył jazdy na rowerze, a matka zakładała dziecku kask. Ona się troszczyła o bezpieczeństwo, on miał wypuszczać dziecko w świat, wpajać odwagę, pozwalać na ryzyko, a teraz sam ma być kochający i opiekuńczy* – mówi Joanna Flis. – *Szkopuł w tym, że nikt mu nie powiedział ani nie pokazał, jak to się robi, a skoro nie nauczył się tego od własnego ojca, to naśladuje matkę, która tym częściej była nadopiekuńcza, im rzadziej ojciec bywał w domu.*

Strażnicy bramy

Nadopiekuńczy rodzic ma skłonność do kontrolowania wpływu drugiego rodzica na wychowanie dziecka i decyzje wychowawcze (to *parental gatekeeping*, czyli pilnowanie bramy do rodzicielstwa). Społecznie bardziej oswojona jest sytuacja, gdy „strażnikiem bramy" jest matka (*maternal gatekeeping*). Modelowy przykład: Anna i Michał są rodzicami półtorarocznego chłopca. Anna jest na urlopie rodzicielskim, spędza z dzieckiem cały dzień, Michał pracuje na pełen etat, często po godzinach. Kiedy Michał próbuje coś zrobić przy synku, Anna go poprawia: nie tak się go ubiera; daj, ja to zrobię szybciej; nie wiesz, że on nie może jeść miodu? Michał przestaje więc angażować się w opiekę nad synem, Anna narzeka, że „wszystko jest na jej głowie". Matka strażniczka krytykuje sposób, w jaki inni rodzice wychowują dzieci, we własnej rodzinie ustala wygórowane standardy, którym powinien sprostać ojciec, podważa jego wysiłki, umiejętności i autorytet, traktuje go jako pomocnika, a nie równego sobie rodzica.

Ojcowska odmiana tego zjawiska to *paternal gatekeeping*. – *Mężczyzna jest krytyczny wobec partnerki, nieustannie nadzoruje, co ona robi przy dziecku. Na każdym kroku recenzuje jej macierzyństwo, potrafi powiedzieć, że jest złą matką, a w skrajnych przypadkach przejąć jej rolę i odsunąć ją na boczny tor* – opisuje dr psychologii Kamil Janowicz z Uniwersytetu SWPS. W uniwersyteckim Centrum Badań nad Rozwojem Osobowości kieruje badaniami (objęły ponad tysiąc matek i ojców, w tym pary w okresie ciąży) nad strażnikami bramy w rodzinie. Raport z tych badań ma być gotowy jesienią 2026 r. Z dotychczasowych ustaleń wynika, że ojcowie „pilnują bramy" rzadziej niż matki. Sprzyja temu brak satysfakcji w związku czy wręcz otwarty konflikt z matką dziecka (jakość opieki bywa kartą przetargową). Ważną rolę odgrywa też neurotyzm (osobowościowa skłonność do przeżywania negatywnych emocji) i silny perfekcjonizm (stawianie partnerce wygórowanych oczekiwań, a później krytykowanie jej za to, że „nie dowozi"), a także silna identyfikacja z rolą ojca.

Taka identyfikacja zwykle ma pozytywne skutki: prowadzi m.in. do większego zaangażowania w wychowanie dzieci. Partnerka może to potraktować jako zagrożenie swojej pozycji jako matki i w efekcie próbować ograniczyć zaangażowanie mężczyzny, co z kolei może skutkować wzrostem jego kontroli i krytycyzmu. Mocno zaangażowany ojciec może się też spotkać z krytyką w rodzinie czy wśród przyjaciół, że „to nie jego rola". Raczej nie przyjmie tego do wiadomości, lecz spróbuje swoją pozycję w rodzinie jeszcze wzmocnić.

– *Paradoks polega na tym, że im bardziej chcemy być inni od własnych ojców, tym częściej powielamy ich schematy* – mówi psychoterapeuta Marcin Grudzień. Podaje przykład: gdy w dzieciństwie ojciec na ciebie krzyczał, zarzekasz się, że swojemu dziecku nigdy tego zrobisz i nawet jak się zezłościsz, to tego nie okażesz. Nie reagujesz nawet, kiedy dziecko nabroiło i należy mu się reprymenda (nie mylić z krzykiem), a potem jesteś zły, że nic z tym nie zrobiłeś. Tak spirala się nakręca, aż pewnego dnia wybuchasz i krzyczysz – całkiem jak twój ojciec, gdy byłeś mały. Jak twój własny ojciec (choć z krańcowo odmiennych pobudek) mylisz autorytarną władzę z autorytetem, nie słuchasz, co ma do powiedzenia twoja żona albo partnerka, nie potrzebujesz porad, podpowiedzi ani pomocy psychologa czy terapeuty, sam wiesz wszystko lepiej i wszystko robisz „dla rodziny".

Rozczarowani i wypaleni

Eksperci podkreślają, że granica między troską a nadopiekuńczością jest płynna, ale warto jej strzec, bo nadopiekuńczość jest formą przemocy psychicznej. I cierpi na tym cała rodzina. Sprawca, bo „stopa zwrotu z inwestycji" nigdy go nie satysfakcjonuje (dziecko nie jest „wystarczająco dobre"). Nadgorliwa matka reaguje na to bierną agresją, mówiąc dziecku z żalem: „tak bardzo się starałam, a ty niczego nie doceniasz". Nadgorliwy ojciec sięga po agresję czynną: werbalną, w skrajnych przypadkach fizyczną (prędzej wobec matki niż dziecka). Nadopiekuńczość prowadzi też do rodzicielskiego wypalenia: odczuwa się rozczarowanie sobą w roli rodzica, myśli się o sobie jako o rodzicu złym albo gorszym niż inni. Partnerka nadopiekuńczego mężczyzny cierpi bardziej niż partner nadopiekuńczej kobiety, bo frustrację potęguje presja rodziny i znajomych („Co z niej za matka, skoro dzieckiem ciągle zajmuje się ojciec?").

Najbardziej jednak cierpi dziecko. – *Jest pozbawione autonomii. Na skutek nadmiernej kontroli, braku zaufania i wyręczania we wszystkim nie uczy się samodzielności, traci wiarę we własne siły i możliwości, to zaś zaburza rozwój emocjonalny i społeczny* – mówi Marcin Grudzień. Dzieci nadopiekuńczych rodziców mają kłopoty z rozróżnieniem, co jest dla nich dobre, a co złe, bo nigdy nie podejmowały decyzji ani ryzyka. Gdy dorastają, trafiają na terapię, rodziny nie zakładają (bo nie wierzą, że się uda) albo usiłują ją zbudować „po swojemu". I mimowolnie powielają błędy własnych rodziców.

ZBIGNIEW BOREK

eprasa.pl 6b8abdb715

ILUSTRACJA MARTA FREJ

Korpociąg

EWA WILK

Współczesny świat w coraz większym stopniu jest we władaniu transnarodowych korporacji. Rzecz nie tylko w ekonomii i polityce. Monstra gospodarcze kształtują potrzeby, mentalność, relacje, aspiracje współczesnego człowieka. Uszczęśliwiają go. I miażdżą.

Korporacje narzuciły współczesnej cywilizacji reguły gry. Chodzi o maksymalizację zysku i minimalizację kosztów. Ta korpologika przenika całe życie gospodarcze i społeczne; kształtuje *modus operandi* w średnich i małych firmach, wciąga niczym magiczny korkociąg dziedziny tak – wydawałoby się – odległe od rynku jak edukacja, nauka, opieka medyczna, nie mówiąc już o wymianie informacji i myśli, czyli mediach. Rozniosła się niczym pandemia, zaraziła sobą świat. I pojedynczych ludzi.

Zniewolony wolny rynek

Prof. Janina Filek, filozofka, etyczka biznesu związana z krakowską Akademią Ekonomiczną, na łamach „Prakseologii", czasopisma filozoficznego Polskiej Akademii Nauk, zauważa, że siła wielkich korporacji zniewala własnych pracowników, swoich klientów, społeczności lokalne, rządy wielu krajów. „Wolne pozostają jedynie te podmioty, które reprezentują siłę, i to one narzucają zasady wymiany i reguły obowiązujące na rynku".

Podobny ton przenika właśnie wydaną książkę „Bóg Techy. Jak wielkie firmy technologiczne przejmują władzę nad Polską i światem" autorstwa Sylwii Czubkowskiej, wnikliwej publicystki zajmującej się cyfrorzeczywistością. Stawia ona tezę, że jesteśmy kolonizowani, również w sensie mentalnym, przez big techy, cybermagnatów, wszystkie te potęgi określane poprzez akronimy w rodzaju GAFAM (Google, Apple, Facebook, Amazon, Microsoft) albo FANGA (Facebook, Amazon, Netflix, Google, Apple). Wśród siedmiu hiperbogaczy tylko jeden – Saudi Aramco – działa poza branżą techno.

Łączna wartość sześciu cyfrowych liderów 18 razy przekracza PKB Polski i 3,3 razy PKB Niemiec. To za pośrednictwem produkowanych przez nie przedmiotów i świadczonych usług współczesny człowiek w coraz większym stopniu wykonuje banalne czynności życiowe: kupuje, zamawia jedzenie, rezerwuje bilety, płaci rachunki, wypożycza hulajnogę, przywołuje taksówkę, utrzymuje przyjaźnie, zdobywa partnerów, dowiaduje się faktów i przyswaja wierutne bzdury. Bez tych usług życie się staje, jeśli jeszcze nie niemożliwe, to co najmniej uciążliwe.

Naturalnie korpologika czy korpomentalność najskuteczniej wkręcają tych, którzy tam znajdują pracę. Nikt ▶

eprasa.pl 6b8abdb715

▶ dotychczas nie policzył, ilu Polaków pracuje w korporacjach w sensie ścisłym – szacunki wahają się między 10 a 35 proc. Prace biurowe wykonuje ponad 5 mln spośród nas, większość – można przypuszczać – w trybie korporacyjnym lub korpopodobnym. Największe firmy w kraju to m.in. Jeronimo Martins Polska (czyli Biedronka) i Lidl (30 tys. pracowników). Mimo że opowieści o korporacyjnym zniewoleniu, eksploatacji, uprzedmiotowieniu człowieka, o menedżerskim cynizmie płyną (głównie za pośrednictwem, a jakże, cyfrowej sieci) szerokim strumieniem, aż 35 proc. Polaków, jeśli miałoby wybór, tam właśnie pragnęłoby pracować. Mniej (24 proc.) wolałoby średnie przedsiębiorstwo, 9 proc. – małe, 7 proc. – start-up, a tylko 3 proc. chciałoby pozostać freelancerem. Reszcie pracodawca jest obojętny (badania firmy rekrutacyjnej Devire).

Poddajemy się temu korpociągowi masowo, dobrowolnie, mamieni stałością zatrudnienia i tzw. kulturą korporacyjną. Każda korporacja obowiązkowo taki akt strzelisty wytwarza, opisując swoje przedsięwzięcie jako raj „oparty na wartościach pracy zespołowej, różnorodności i moralnego postępowania, na wzmacnianiu udziału pracowników, zapewnieniu dostępu do inicjatyw związanych z różnorodnością, równością i inkluzywnością, a także zrównoważonym rozwoju i przestrzeganiu prawa...". Korporacyjnym propagandystom trudno odmówić biegłości w językowych manipulacjach, w wytwarzaniu nowomowy i natychmiastowym wpinaniu do owej „kultury" kolejnych modnych frazesów.

Obsesyjne popadanie w obsesje

Pod owymi komunałami kryje się twarda korporacyjna rzeczywistość, która niekiedy wygląda tak, jakby kpiła z owych deklaracji, była ich parodią, a każde patetyczne słowo trzeba by zastąpić jego antonimem. To rozdwojenie jaźni jest jednym z objawów korporacyjnej pandemii, jaka ogarnęła świat. Dr Piotr Kaczmarek-Kurczak, starszy wykładowca w Katedrze Przedsiębiorczości i Etyki w Biznesie Akademii Leona Koźmińskiego, mówi, że choroba ta zaczęła się w latach 80., a zamieniła w pandemię z początkiem XXI w.: – *Wirusem, który zaraził świat, stało się przekonanie, że chciwość jest dobra. Zyskowność przesłoniła nawet to, po co dana firma jest, co produkuje, w czym się specjalizuje. Sens wielu organizacji się rozmył. Wcześniej, zwłaszcza w latach 60., panowało przekonanie: „Skoro jestem w czymś dobry, to jestem też opłacalny". Teraz uwierzono w inny aksjomat: „Propaganda robi markę, marka robi kapitał".*

Pod jednym brandem światowi giganci potrafią dziś zatrudniać w 76 krajach ćwierć miliona pracowników wytwarzających czajniki i telewizory, części samochodowe i chemikalia, świadczących usługi w handlu, hotelarstwie i parkach rozrywki, budujących wysokościowce i produkujących fast food. Wszystko, w czym są widoki na zysk.

Z pozoru przeciwstawną do obsesji ultrarentowności koncepcją prowadzenia korporacji jest obsesja klienta, objaśnia dr Kaczmarek-Kurczak. Tu też liczy się zysk, ale podstawą biznesowego sukcesu ma być zaufanie klienta do firmy, do brandu, a zaufanie zbudowane jest na emocjach. Zatem rzetelne informacje o produkcie stają się mniej ważne od uczuć, jakie wzbudza marka. Nieco koloryzując: najlepiej, żeby potencjalny nabywca twoich wytworów tak bezwarunkowo cię pokochał, że zapłaci za daną rzecz czy usługę każde pieniądze i uzna ją za niezbędną tylko dlatego, że pochodzi z twojej ręki, ma twoją metkę i logo. Ty kreujesz potrzebę, ale klient wierzy, że zaspokajasz jego osobiste pragnienie, że „jest w centrum uwagi", jak głosi hasło pewnej instytucji medycznej.

I jedna, i druga, i dziesiątki innych mutacji „idei przewodnich" korpoświata przyniosły oczekiwany efekt (bilionowe zyski dla właścicieli i udziałowców) oraz skutki uboczne. Główne działanie niepożądane to stan psychiczny korpotrybików. Czyli ludzi. Coraz liczniejszych korpoofiar z poczuciem psychicznego zmiażdżenia.

Potrzeba niepotrzebnej roboty

Skąd ten stan się bierze? Wydaje się, że z hipokryzji, na jakiej oparty jest ten nowy, wspaniały świat. Weźmy eksponowane na sztandarach zaufanie, deklaracje zespołowej współpracy, wzmacniania udziału pracowników, różnorodności, promowania kreatywności. Czy wszystko to faktycznie jest budulcem wewnątrzkorporacyjnych relacji? Przeciwnie, ich codzienność wyznacza (znów: obsesyjna) potrzeba kontroli. Nawet entuzjaści zanurzeni w korpo po czubki głów potrafią narzekać na maniakalne tworzenie nikomu niepotrzebnych raportów, statystyk, zestawień. Na puste przebiegi, jakimi są bezustanne zebrania i narady. To dotyczy wyższych i średnich szczebli korporacyjnej hierarchii.

Ci, którym dane było zostać szeregowym pracownikiem, takim przy taśmie, takim od noszenia, ładowania, wkręcania tej samej śruby w ten sam otwór przez 10 godzin dziennie, doświadczają znacznie dotkliwszej rzeczywistości kontrolnej.

Sylwia Czubkowska przytacza rozmowy m.in. z działaczkami związkowymi, które obrazowo opowiadają o całkowitej dehumanizacji korposzeregowców: „Pracownik ma nad sobą algorytmy i menedżerów. A ci za zadanie mają dowożenie wyników. Niewola, totalna kontrola, kary w postaci notatek. Notatka za nieprzestrzeganie wymogu trzymania się poręczy podczas użytkowania schodów, pisemna wzmianka, że pracownik przy pracy odbiera telefon od rodziny. Upomnienie, nagana, a wszystko to może równać się zwolnieniu. By dostać 100 proc. wynagrodzenia, trzeba być perfekcyjnym. Nie jest ważne, że pracownik miał w tym miesiącu jakieś osłabienie fizyczne, problemy domowe albo przyszedł sezon na trudniejsze do spakowania produkty. Sztuczna inteligencja mówi, w jakim tempie ma pracować człowiek. I to jest okrutne, po prostu okrutne".

Ta kontrola wzmaga lęk przed zwolnieniem. Chroniczny i wszechobecny na każdym szczeblu. Uzasadniony, bo korporacje stosownie do rynkowych okoliczności przyjmują tysiące i równie lekką ręką ich redukują. Pandemia covidowa przydała temu zjawisku nowej dynamiki. Gdy szalała, korporacje szeroko otworzyły drzwi, kusząc telepracą. Gdy ustąpiła, jak wylicza Czubkowska, Meta zwolniła 21 tys. pracowników, Google – 12 tys., Intel – 15 tys., HP – 6 tys., Amazon – 27 tys. Jej rozmówczyni, menedżerka wysokiego szczebla, straciła pracę na tej fali w 2023 r.: „Miesiącami czekaliśmy na decyzję, kogo

eprasa.pl 6b8abdb715

wyrzucą, a potem wjechał czysty Excel i wycinano wszystkich, których uznano za zbytni koszt".

Dr Kaczmarek-Kurczak: – *W korporacyjnym kosmosie obowiązuje wzorzec, który zrodził się w XIX w. Człowiek jest traktowany jak wyposażenie firmy. W Polsce to jeszcze silniejsze niż gdziekolwiek. Gdy firma tonie, pracownik staje się balastem do wyrzucenia za burtę.*

Więc (obsesyjna) obawa o wypadnięcie z pokładu idzie pod rękę ze stałą koniecznością uzasadniania swojego istnienia, swej przydatności. Dr Kaczmarek-Kurczak mówi, że wyraziście to się ujawniło przy okazji popandemicznej dyskusji o telepracy. Sondaże prowadzone przez ekspertów wykazały, że najbardziej sceptyczni wobec niej są menedżerowie średniego szczebla. Pytani, dlaczego wolą biuro, mówili, że na żywo skuteczniej swe zespoły mobilizują, inspirują, stwarzają atmosferę. Dla psychologa czytelne jednak było, że chodzi o ich immamentne w korpo dwie potrzeby – kontroli i poczucia przydatności.

Fanatycznie fantastyczni

Dr hab. Sławomir Murawiec, psychiatra i psychoterapeuta, do którego trafiają ci wyrzuceni (dziś to większość jego pacjentów), pytany, czy istnieje coś takiego jak syndrom pokorporacyjny, odpowiada, że można o czymś takim mówić. To zaburzenia depresyjne, stany lękowe oraz bardzo charakterystyczny składnik – obwinianie samego siebie: nie dość się starałem, nie spełniłem oczekiwań, popełniłam jakiś błąd. Często się zdarza, że człowiek brutalnie wyrzucony za burtę nie chce niczego innego, jak powrotu na pokład. Tkwi w swej fanatycznej wierze w korporację. Murawiec, podobnie jak Czubkowska, używa metafory boga.

– *Wszystko, co czyni korporacja, jawi się tym osobom jako właściwe i wspaniałe. A Bóg nie może się mylić, więc całe rozpamiętywanie sytuacji człowiek kieruje przeciw sobie.*

W wywiadzie udzielonym pani jakiś czas temu powiedziałem, że kluczowe dla oceny pracowników zebrania korporacje rozmyślnie organizują nazajutrz po świętach, by pracownicy nie oddalili się od spraw firmowych. Przychodzi do mnie pacjent po lekturze tego wywiadu, mówi, że generalnie mam rację, lecz z tym „zaraz po sylwestrze" to już przesadziłem. Pytam, kiedy u niego było ostatnie takie zebranie? Odpowiada: „3 stycznia". Moi pacjenci zwykle mają słabą świadomość mechanizmów, którym byli poddawani.

Jednym z najsilniejszych jest kolonizacja całego życia pracownika, zatarcie granicy między czasem prywatnym a służbowym, by korporacja stała się tożsamością człowieka. Na rynku pojawiła się powieść obyczajowa „Korpo singielka", jedna z wielu szmir wedle schematu Bridget Jones. Ona – korporacyjna królowa chaosu, on – uosobienie korporacyjnej doskonałości. Ona – główna copywriterka, on – kierownik projektu, Apollo zesłany z góry. Nim dojdzie do eksplozji uczuć między dwojgiem, bohaterka oddaje się intensywnemu życiu erotycznemu, czerpiąc partnerki i partnerów z dostępnego kręgu korporacyjnego (m.in. szefowa, dwaj klienci jednocześnie, menedżer sadomasochista). Kompulsywny seks odbywa się w robocie, choć po robocie bohaterka też jest w robocie i zapija winem frustracje dnia, bo codziennie ktoś jest niezadowolony z jej dokonań – szefostwo bądź klient, przeważnie i szefostwo, i klient. Nikt nie podważa jej fenomenalnego talentu, jedynie komunikuje, że tym razem nie dość się postarała. Powierza się jej wszak wielkie strategie. Na przykład w kwestii nowej obieraczki do warzyw lub serii krawatów.

Zwolniona menedżerka w książce Czubkowskiej bynajmniej nie gniewa się na byłego pracodawcę: „Ja bardzo lubiłam to przedsiębiorstwo, widziałam wśród ludzi starania, by faktycznie poprawiać błędy, które robili, była też dobra atmosfera pracy i poczucie dużej sprawczości całej firmy". Rozmówczyni wiąże to z przychylnym klimatem dla korporacji w Polsce. „W takich Niemczech politycy są bardziej skoncentrowani na prywatności czy prawie pracy i są też dużo bardziej krytycznie nastawieni do cyfrowych korporacji". Czubkowska komentuje, że pewnie w Niemczech menedżerka tak łatwo nie straciłaby posady.

Leczenie ludzi z jakiegokolwiek emocjonalnego zauroczenia jest piekielnie trudne. A cóż dopiero z zauroczenia fanatycznego. Sławomir Murawiec: – *Moim pierwszy krokiem w terapii jest najczęściej poszerzenie pola widzenia pacjenta, by dostrzegł, że to, co mu się przydarzyło, nie jest jego winą, że zwolnienie grupowe wynikało z tzw. optymalizacji kosztów itd.* Jednocześnie trzeba człowieka wyciągać z poczucia zagubienia i bezradności, pomóc w odpowiedzi na dręczące pytanie: co innego mógłbym w życiu robić? Korpociąg wyciąga z nich wszelkie pozakorporacyjne zainteresowania, umiejętności, kompetencje. I gorzej: wciąga w chroniczne osiąganie celów, targetów, w stałą potrzebę sukcesu. Więc kiedy myślą o przyszłości, boją się, że się nie uda, nie będzie sukcesu. Psychiatra uczy ich przyzwolenia sobie na kilka prób bycia niefantastycznym.

Oporność i odporność

Skoro uwolnienie pojedynczego człowieka z korpociągu jest takie mozolne, to czy wyrwie się kiedyś z niego cała ludzka cywilizacja? Rzadko słychać w tej sprawie optymizm, ale dr Piotr Kaczmarek-Kurczak, patrzący na historię społeczną i gospodarczą jako ciąg przystosowań człowieka do nowych technologii, jest stosunkowo spokojny. Powiada, że dopiero teraz – gdy do naszego życia z impetem wchodzi sztuczna inteligencja, AI – powszechniej zdajemy sobie sprawę, w jak przełomowym momencie dziejów żyjemy. A on nastąpił nie dziś, nie rok temu, ale gdy pierwszy komputer stanął na biurku człowieka. Takie przełomy zawsze wywołują opory, zmiany, wstrząsy społeczne. I przystosowanie.

Badacz pokłada duże nadzieje w młodych generacjach, które krytycznie patrzą na zniewolenie swoich rodziców, a proponując siebie korporacjom i ich mniejszym mutacjom, starają się szukać równowagi między życiem zawodowym a prywatnym, śmielej kwestionują decyzje menedżerów, pytają: „Co ja z pracy będę mieć?" i chodzi im o pieniądze, ale nie tylko. Mają w sobie mniej bogo-korpo-bojnego strachu.

EWA WILK

Doradzamy, jak pracować z sensem, zyskiem i sukcesem w naszym Poradniku Psychologicznym „Ja my oni". Dostępny na **sklep.polityka.pl**

KUP TERAZ

eprasa.pl 6b8abdb715

Nie tylko w wypadku samochodowym można stracić zdrowie albo życie w kilka sekund. Wystarczy skoczyć na główkę. Brawura i brak wyobraźni znów zbierają w Polsce letnie żniwo. Mimo przestróg, co roku tak samo.

Skok i wyrok

PAWEŁ WALEWSKI

Jezioro Śniardwy, największy akwen Mazur, 21 sierpnia 1996 r. Łukasz Bednarski miał wtedy niespełna 18 lat. Stał na pokładzie wyczarterowanego jachtu, gotowy do skoku. Woda, jego żywioł od dziecka. Był z kolegami, płynęli z Pisza do Mikołajek, a teraz, na przesmyku między Jeziorem Mikołajskim a Śniardwami, zatrzymali się na chwilę. Chłopak wychowany na wodzie, syn kapitana żeglugi śródlądowej. Pływał, pomagał sterować barkami, skakał z pomostów, nabrzeży, dziobów łodzi – znał to uczucie, gdy ciało przecina taflę wody. Tego dnia chciał się tylko ochłodzić. Skok miał być jak setki innych – dwa kroki, wybicie, pionowe wejście w wodę, tzw. świeca. Idealnie wyćwiczony, perfekcyjny.

W ułamku sekundy, gdy leciał w dół, czas zwolnił. Łukasz czuł pęd powietrza, pewność siebie. Woda zamknęła się nad nim, a potem – puffff – cisza. Głucha, absolutna, jakby świat wstrzymał oddech. Oczy miał otwarte, widział mętne światło, ale coś było nie tak. Ciało, które zawsze słuchało jego rozkazów, odmówiło posłuszeństwa. Nie mógł się ruszyć. Unosił się w wodzie, machając bezradnie rękami, niezdolny przekręcić się, podnieść głowę, zaczerpnąć powietrza. Panika przyszła jak błyskawica: „Chyba się topię". Zaczął liczyć: raz, dwa, trzy, cztery, próbując oszacować, ile sekund tlenu mu zostało. Pięć, sześć, siedem... Przy dziesiątym uderzeniu serca usłyszał plusk. Ktoś złapał go w ramiona, wyciągnął na brzeg. Chłopcy, z którymi płynął, uratowali mu życie. Ale życie, które znał, właśnie się skończyło.

Łukasz nie wiedział, że ten skok na główkę – brawurowy, lecz dla niego rutynowy – zmieni wszystko. Uderzenie o mieliznę, której nie zauważył, złamało mu ostatni kręg szyjny C7. Odłamki uszkodziły rdzeń kręgowy. Nogi przestały działać, ręce straciły pełną sprawność, dłonie – precyzję. Od tamtej chwili przez blisko trzy dekady żyje na wózku inwalidzkim.

Jacek Czech też miał 18 lat, gdy 5 sierpnia 1994 r. stał nad zalewem nad Hańczą koło Staszowa, nadciągnęła burza i chciał skrócić drogę do samochodu, przepływając wpław na drugi brzeg. Był wysportowany, więc skok – tak naturalny dla kogoś, kto nie boi się wody – wydawał się oczywistym wyborem. W ułamku sekundy świat Jacka runął. Uderzenie o dno uszkodziło kręgosłup szyjny na poziomie C6–C7. Nie czuł nóg, rąk, nie mógł się ruszyć. – *Zobaczył mnie przypadkowy człowiek, który mnie wyciągnął* – wspomina. Ale życie, które odzyskał, nie przypominało już tego sprzed skoku.

Dwie godziny śpiączki, wybudzenie, chaos. Karetka woziła go po Polsce – Konstancin-Jeziorna, Międzylesie, Otwock – wszędzie brakowało miejsc. Wrócił do Staszowa, skąd dopiero po czterech dobach trafił na operację do szpitala górniczego w Bytomiu. Rdzeń kręgowy, choć nieprzerwany całkowicie, był poważnie uszkodzony. Ucisk trwał zbyt długo, by nie zostawić trwałych śladów. – *Ten skok był ostatni w moim życiu* – mówi po latach. – *Spowodował, że zostałem sparaliżowany*.

Sekunda, która łamie życie

W Polsce, krainie jezior i rzek, skoki na główkę pozostają śmiertelnie niebezpiecznym rytuałem młodości. Statystyki są nieubłagane: według danych Fundacji Integracja co roku kilkadziesiąt osób – głównie mężczyźni w wieku od 15 do 30 lat – doznaje wskutek nich urazów rdzenia kręgowego, z czego znaczna część kończy się trwałą niepełnosprawnością. – *To mężczyźni pełni energii, często przekonani o własnej niezniszczalności* – mówi prof. Beata Tarnacka kierująca Kliniką Rehabilitacji Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. – *Większość takich skoków jest spowodowana*

©SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 6b8abdb715

bezmyślnością i popisywaniem się – potwierdza pan Jacek.

Ale Łukasz Bednarski nie był lekkoduchem, który ignorował ryzyko. Rodzice nauczyli go pływać, gdy był jeszcze dzieckiem. Przed skokiem na Śniardwach myślał, że dobrze ocenił sytuację: jacht przepłynął przesmyk, co sugerowało wystarczającą głębokość. Nie wiedział, że łódź prześlizgnęła się nad mielizną na zaledwie 50 cm wody.

W szpitalu w Konstancinie, dokąd został przetransportowany helikopterem po wstępnej diagnozie, lekarze walczyli o stabilizację kręgosłupa. Operacja, kołnierz ortopedyczny – to dopiero początek. – *Proces rehabilitacji jest powolny i wymagający* – mówi prof. Beata Tarnacka. Po urazie odcinka szyjnego uszkodzony jest nie tylko rdzeń, ale też autonomiczny układ nerwowy, co prowadzi do problemów z oddychaniem, sercem, ciśnieniem, pęcherzem moczowym. Pionizacja – pierwszy krok do odzyskania samodzielności – zajmuje sześć tygodni. Próby siadania – następny miesiąc.

Ciało odmawia, umysł walczy

– *Nikt mi nie powiedział wprost, że będę siedział na wózku do końca życia* – wyznaje Łukasz. I może to dobrze, bo brutalna prawda mogłaby go złamać psychicznie. Z drugiej strony brak jasnej diagnozy prowadzi do złudnych nadziei i szarlatanerii obiecującej cudowne uzdrowienie. Po wypadku wrócił do rodzinnego Ciechanowa, zdał maturę dzięki nauczycielom, którzy przychodzili do niego do domu. Potem studiował pedagogikę specjalną, w końcu znalazł pracę w fundacji, gdzie pomaga innym osobom z niepełnosprawnościami. Ożenił się, zbudował życie, które – choć naznaczone ograniczeniami – jest pełne sensu. Ale trauma pozostaje. – *Czy obwiniam siebie o tę brawurę? Tak, i chyba zawsze będę* – przyznaje.

Jacek spędził na OIOM-ie w Bytomiu ponad miesiąc, walcząc o życie. Potem trafił do Rept Śląskich, gdzie zaczęła się żmudna walka o odzyskanie choćby cząstki sprawności. – *Leżałem i mogłem tylko patrzeć w sufit* – wspomina. Infekcje, osłabienie, brak ruchu – to codzienność pacjentów z urazami rdzenia. Usiadł na wózku dopiero po trzech miesiącach. Przez trzy lata ćwiczył po osiem godzin dziennie, by wzmocnić ciało, które odmówiło posłuszeństwa. – *Tak się zawziąłem* – mówi. Nie odzyskał sprawności palców, ale jego determinacja pozwoliła mu osiągnąć coś, co wydawało się niemożliwe: stał się pływakiem paraolimpijskim, zdobywając medale na mistrzostwach Polski, Europy i świata. Woda, która odebrała mu zdrowie, paradoksalnie stała się źródłem sukcesu. – *Kiedy płynę, czuję, jak moje ciało przenika ulga i radość. Mam wtedy satysfakcję, że mogę oderwać się od wózka*. Łukasz też nie stroni od wody: – *To dla mnie najlepsza forma rehabilitacji. Żona pilnuje wózka przy brzegu, a ja, nawet odbijając się rękami z pomostu, dalej lubię wskakiwać do jeziora, które oczywiście znam.*

Łukasz wierzy, że jego historia może być lekcją. – *Mam dużo szczęścia: do żony, przyjaciół, rodziny* – wylicza. Ale to szczęście nie cofnie tamtego dnia ani bólu i lat walki o normalność.

Brak wsparcia, brak przestróg

Prof. Beata Tarnacka, która od lat rehabilituje pacjentów po niefortunnych skokach do wody, podkreśla, że każdy przypadek jest inny, ale łączy je jedno: brak skoordynowanego systemu opieki. – *My w Polsce w ogóle nie mamy dla nich ścieżki* – mówi z frustracją. Tylko 20 proc. osób z urazami rdzenia trafia na rehabilitację neurologiczną, w porównaniu z 50–60 proc. po udarach. Ośrodki publiczne są przepełnione, prywatne – horrendalnie drogie. Pacjenci, którzy trafiają na rehabilitację, zazwyczaj są w stanie ją rozpocząć po czterech–sześciu tygodniach leżenia. A patrzenie w sufit to nie tylko fizyczna stagnacja, ale i psychiczne piekło.

Kluczowe są pierwsze dwa lata po urazie, gdy możliwe jest największe wyrehabilitowanie funkcji. Ale w Polsce po 16 tygodniach rehabilitacji pacjenci są odsyłani do domów. – *Właśnie wtedy powinni trafić w ręce fizjoterapeutów i korzystać z najnowocześniejszych metod* – podkreśla profesor. Brak ciągłości opieki zamyka wielu z nich w domach, na łasce rodzin, które często nie są w stanie udźwignąć takiego obciążenia. Koszty, zarówno emocjonalne, jak i finansowe, są ogromne. Rodziny muszą dostosowywać domy, walczyć o wózki inwalidzkie, podjazdy, opiekę. Łukasz wspomina, jak jego matka wywalczyła podjazd do mieszkania na parterze, jak musiała wykłócić się z lekarzem o lepszy wózek. – *Mówili jej: niech pani się cieszy, że syn oddycha samodzielnie* – pamięta słowa, które miały pocieszyć, a brzmiały jak wyrok.

Brak systemowego wsparcia to problem nie tylko medyczny, ale i społeczny. Matki lub żony przestają pracować, bo opiekują się dzieckiem lub mężem. Cała rodzina popada w kłopoty. W Szwajcarii tacy pacjenci mają wsparcie rehabilitantów w domu, co pozwala ich bliskim normalnie funkcjonować. W Polsce nie ma na to szans. Egzoszkielety, które mogłyby przyspieszyć rehabilitację, są dostępne, ale niewystarczające, no i nie każdy pacjent się do nich nadaje. – *Inwestujmy w tych młodych ludzi, którzy chcą walczyć* – apeluje prof. Tarnacka. W Niemczech dwa lata intensywnej rehabilitacji zwracają się przez dekady, bo pacjent staje się aktywny. Może czas pomyśleć w Polsce o stworzeniu jednego ośrodka, który obsługiwałby wszystkich takich chorych? Chodzi o pomoc kompleksową, a więc: neurochirurgów, neurologów, ortopedów, ale też urologów i seksuologów.

Psychiczne konsekwencje są równie ciężkie. – *Najpierw jest wyparcie: będę chodził, jest świetnie* – opowiada prof. Tarnacka. Niektórzy tkwią w nim latami. Bez wsparcia psychologicznego i medycznego nawet najsilniejsi się załamują. Jacek, który dziś spotyka się z młodzieżą w szkołach, wierzy w siłę edukacji. – *Gdybym zobaczył kampanię o konsekwencjach skoku na główkę, postępowałbym rozważniej* – mówi. Proponuje radykalne rozwiązania: – *Nad każdym akwenem powinien stać zużyty wózek z napisem „Skok to kalectwo”*. Prof. Tarnacka podziela jego zdanie: – *Bardzo mi brakuje kampanii przestrzegających.*

Ostatnią, bardzo sugestywną („Płytka wyobraźnia to kalectwo”), Fundacja Integracja zainaugurowała w 1995 r. Jej założyciel, zmarły w 2018 r. Piotr Pawłowski, w wieku 16 lat również niefortunnie skoczył do wody, doznając czterokończynowego porażenia. Przez blisko 30 lat wyprodukowano na potrzeby tej kampanii spoty telewizyjne i radiowe, tysiące plakatów, które pojawiały się na plażach, basenach i w ośrodkach wypoczynkowych, a materiały edukacyjne trafiły do ponad tysiąca szkół.

Obecnie przekaz jest zbyt słaby. Jak zauważa Łukasz, brakuje inicjatyw, które przemówiłyby do młodych ludzi ich językiem, przede wszystkim w mediach społecznościowych. – *Trzeba pokazać coś w stylu: „Chcesz siedzieć w pampersach, skacz”. Taki język, choć brutalny, mógłby kimś wstrząsnąć.*

I uratować mu życie. ■

eprasa.pl 6b8abdb715

Survival bez smartfonów

MARCIN PIĄTEK

W wakacyjnych wyjazdach zorganizowanych bierze w tym roku udział niemal 700 tys. dzieci. Jednak branża animatorów z obawami spogląda w przyszłość naznaczoną niżem demograficznym oraz humorami przewrażliwionych rodziców.

Helena, licealistka z Warszawy (druga klasa) na początku lipca wróciła z tygodniowego obozu żeglarskiego na Mamrach. – *Było super, mój najlepszy wyjazd. Mieliśmy na łódce megaekipę i choć to nie był kurs, przeszliśmy całe żeglarskie abecadło. Były obowiązki – sprzątanie pokładu, gotowanie, buchtowanie lin, ale też ogniska do późnej nocy, wspólne gry, a raz nawet sternik zgodził się wypłynąć z nami na wschód słońca. Za rok pojadę na dwa tygodnie. A w międzyczasie zrobię patent żeglarski, pewnie na Zegrzu.*

©SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 6b8abdb715

Mikołaj, lat 10, ze Szczecina: – *Byłem na obozie sportowym nad morzem. Dobrze, że trafiłem do sześcioosobowego pokoju, bo pierwszego dnia pokłóciłem się z kolegą z klasy i tylko z nim bym nie wytrzymał. Ale nowe chłopaki okazały się fajne. I nieźle grali w nogę.*

Świadomość wskoczenia w nowe, nieznane środowisko często budzi u uczestników obawy. Trzeba się dogadać w kolejce do łazienki, w kwestii podziału obowiązków, odnaleźć w nowej hierarchii. Psychologowie dziecięcy podkreślają: takie wyjazdy są na wagę złota, bo uczą komunikacji i współpracy, czyli kluczowych kompetencji społecznych, mocno zaniedbanych w obecnej erze cyfrowej samotności.

Ciężki kawałek chleba

W tym roku na wakacyjny wypoczynek zorganizowany wyjechało lub wyjedzie ponad 600 tys. dzieci do krajowych ośrodków i ok. 75 tys. za granicę. Największym organizatorem jest Związek Harcerstwa Polskiego – latem zapewnia wyjazdy dla 65 tys. dzieci. Za czołowego prywatnego gracza na rynku uchodzi podwarszawski Chris (27 tys. dzieci i młodzieży rocznie, w tym podczas wakacji 12 tys.). Krzysztof Alchimowicz mówi, że gdy zakładał firmę 30 lat temu, wzorował się na campach w stylu anglosaskim. Czyli: duży teren, młoda kadra, własny obiekt tylko dla uczestników, żadnego mieszania się z innymi gośćmi. Aktualnie pod szyldem Chrisa działa w kraju osiem baz. – *Taki obiekt jest jednak jak igła lewostronnie szyjąca – nadaje się tylko do określonego celu. Poza sezonem nasze miejscówki nie przyjmują gości. A trzeba je przecież utrzymywać, remontować, rozbudowywać* – mówi Alchimowicz.

Regułą w tej branży jest współpraca z właścicielami baz noclegowych. Lata kooperacji przełożyły się na specjalne ceny, ale i na wzajemne zaufanie i partnerstwo, które kwitną pod warunkiem, że rynek jest stabilny i przewidywalny. – *Rezerwacje obiektów na wakacje robi się już jesienią. Wtedy też dokonuje się przedpłat. No i teraz cała sztuka polega na tym, żeby te opłacone miejsca sprzedać* – mówi Maciej Pająk, szef biura Poszukiwacze Przygód z Gdańska.

Damian Gienerowicz z łódzkiego Harcturu (1600 uczestników wyjazdów wakacyjnych, głównie kierunki krajowe, ale ostatnio dobrze sprzedała się Czarnogóra): – *Rynek jest duży i bardzo rozdrobniony, działają też na nim firmy, dla których turystyka nie jest podstawowym rodzajem działalności, jak kluby sportowe czy szkoły językowe. Ale parę firm, które mocno szły w górę, już nie istnieje. Przeinwestowali, zbyt optymistycznie oceniając wakacyjny popyt. Wpłacili zaliczki, a nie znaleźli klientów.*

Maciej Pająk mówi, że najbardziej nerwowy był czas niedawnej rozbuchanej inflacji. – *Trudno było oszacować faktyczne koszty, a ceny rok do roku rosły nawet o 30 proc. Sprzedaż oferty wakacyjnej rusza zimą, nie było pewności, czy podane wówczas ceny zapewnią nam odpowiednią marżę. Poza tym wzrost kosztów życia mocno dał się we znaki rodzicom. Rezerwacji było mniej, a decyzję, czy wysłać dziecko na obóz, odkładano na później.*

Ostatnie branżowe obserwacje Gienerowicza są następujące: najlepiej zarabia się na sprzedaży wyjazdów zagranicznych. Jeśli chodzi o Polskę, mamy nadbałtycki paradoks: największa pogodowa niepewność (co szczególnie widać w tym roku), ale najtrudniej się tam wbić, czyli pozyskać do współpracy kolejny ośrodek. No i nad polskim morzem są najwyższe ceny. – *Co najmniej 300 zł więcej za jednego uczestnika w porównaniu z pobytami organizowanymi w górach czy na Mazurach* – mówi.

Ceny wyjazdów zależą od wielu czynników – miejsca, czasu trwania, programu, udziału w dodatkowych szkoleniach (np. żeglarskich) – i oscylują w granicach od niespełna 2 do grubo ponad 3 tys. zł. Bardzo konkurencyjna jest oferta wypoczynku organizowanego przez ZHP. – *Średnio trzeba zapłacić ok. 2 tys. zł za dwutygodniowy pobyt* – informuje Katarzyna Karolak, pełnomocniczka ZHP ds. Akcji Letniej i Zimowej – *Możemy sobie na to pozwolić, bo nasza kadra nie zarabia, prowadzi wolontariat w ramach służby instruktorskiej. Opłacamy tylko pracowników administracyjnych.* Ale na te kolonie i obozy nie można pojechać ot tak sobie, nie mając przedtem żadnej styczności z harcerstwem. – *Trzeba wcześniej przychodzić na zbiórki, poczuć, że harcerstwo to nie tylko wakacyjne przyjemności, ale też służba i zobowiązania* – dodaje Karolak.

Pod kontrolą i nie

Kontrolę nad wyjazdami grupowymi dla dzieci i młodzieży sprawuje Ministerstwo Edukacji Narodowej. Jej praktyczny wymiar sprowadza się do wizytacji przeprowadzanych przez pracowników lokalnych kuratoriów oświaty. Maciej Pająk: – *Jesteśmy na rynku od ponad 20 lat, jeździmy w te same miejsca, do których z reguły przyjeżdżają ci sami kontrolujący. My znamy ich wymagania, oni znają nasz standard, więc te wizyty to formalność.*

Wśród organizatorów narzeka się nieco na archaiczne przepisy regulujące dziecięco-młodzieżowy wypoczynek. Bo na przykład wciąż trzeba prowadzić dzienniki zajęć, a tam wpisać plan z góry. Zdarzało się już nakładanie mandatów za odkryty podczas kontroli brak szczegółowego programu, a tłumaczenie, że jest układany spontanicznie, z udziałem dzieciaków (które kochają mieć wpływ, czują się bardziej dorosłe), nie znajdowało zrozumienia. Zgodnie z aktualnymi regulacjami kierownicy wyjazdów muszą wykazać się trzyletnim stażem pracy dydaktyczno-wychowawczej, tymczasem organizatorzy często sami, na własną modłę, szkolą personel, preferują młodą kadrę (bo ma lepszy kontakt z dziećmi), a konieczność zaliczenia stażu bywa dla nich kłopotliwa.

Poza tym kontrolerzy często idą na łatwiznę, wizytując tylko miejsca zgłoszone. A tymczasem przydałoby się przyłożyć kuratoryjną lupę do wyjazdów niezarejestrowanych. Branża mówi, że wśród nich przodują kolonie organizowane przez parafie. I choć oczywiście nie można zakładać z góry, że zasady bezpieczeństwa uczestników są tam łamane, to dlaczego pozwala im się działać poza systemem? Czarną plamą są też wyjazdy zagraniczne – wymykające się nadzorowi z chwilą przekroczenia granicy.

Krzysztof Alchimowicz: – *Są na rynku firmy, które do kwestii regulaminu i dyscypliny mają bardzo luźne podejście. Kierownicy wyjazdów przymykają oczy na piwo, papierosy czy imprezy. Wydaje mi się, że z rozmysłem, bo wśród licealnej młodzieży wiadomości o tym, na którym wyjeździe można trochę poszaleć i posmakować dorosłości, szybko się rozchodzą. Czy rodzice o tym wiedzą? Dobre pytanie.*

Z żaglem i z aparatem

Walczy się nie tylko cenami, ale przede wszystkim programem. Rządzą wyjazdy tematyczne, które mają konkretne pasje rozbudzić bądź pielęgnować. Gotowanie, tańce, konie, żagle, teatr, obozy weterynaryjne lub artystyczne skrojone pod miłośników gier fabularnych czy atrakcji survivalowych. Do wyboru, do koloru. – *Ostatnio bardzo dobrze sprzedają się wyjazdy, które mają w planach dzień spędzony w dużych parkach rozrywki.*

Bogactwo oferty i nasycenie programu mają być przede wszystkim odpowiedzią na potrzeby rodziców, którzy płacą ▶

eprasa.pl 6b8abdb715

Krzysztof Alchimowicz, założyciel firmy Chris. Już 30 lat na rynku.

▶ i oczekują, że ich dziecko nie będzie się nudziło i wróci z nowo nabytymi umiejętnościami. Na obozach szkoleniowych nie ma żartów. Natalia, licealistka z Płocka, była w zeszłym roku na dwutygodniowym kursie żeglarskim. – *Nie polecam. To była końcówka czerwca, z jednej szkoły wpadłam w kolejną. Pobudka o 8, zbiórka, a potem wykłady z teorii i kartkówka z materiału, który był przerabiany dzień wcześniej. Jeśli ktoś nie zdał, miał bana na wychodzenie z łódki po zawinięciu do portu. Ja rozumiem, że żeglowanie to poważna sprawa, ale to było przegięcie, a że naszym sternikiem był komandor rejsu, nie było z nim żadnej dyskusji. Nie zdałeś – siedzisz na łódce. Jeśli to miała być motywacja, to na mnie i dwie koleżanki nie podziałała, na egzaminie teorię oblałyśmy. Jakiś głupi bunt nam się włączył na ten rygor* – opowiada Natalia.

Krzysztof Alchimowicz mówi: są obozy wypoczynkowe, z luźniejszą atmosferą, i szkoleniowo-sportowe, na których obowiązuje większa dyscyplina i plany trzeba zrealizować, choćby pogoda nie dopisywała. – *Trochę sobie żartuję, że jeśli chodzi o kompetencje twarde pozyskane przez dzieciaka, to równie ważna jak opanowanie sztagu czy zwrotu przez rufę jest umiejętność powlekania pościeli, bo powiem panu, że jest z tym problem* – śmieje się.

Generalnie od niedawna w branży zauważa się, że potrzeby i oczekiwania rodziców w temacie nasycenia programu atrakcjami oraz celami do zrealizowania zderzają się coraz mocniej z odczuciami dzieci, które przemęczone i przebodźcowane po roku szkolnym, ze szczelnie wypełnionym harmonogramem – wożone albo wysyłane na chiński, zajęcia teatralne, fortepian oraz judo – chciałyby się wreszcie trochę ponudzić i odpocząć.

Maciej Pająk: – *Zawsze byłem zwolennikiem obozów tematycznych. Ale w tym roku poszerzyliśmy program o wyjazdy pod hasłem: total reset. Bez presji, bez wymagań, bez fiksowania się na punkcie kształcenia i rozwijania umiejętności dzieci. Po prostu: niech pobędą wśród rówieśników i odpoczną. To nie znaczy, że na takich obozach nic się nie dzieje, ale to dzieci współdecydują o planie dni. Sprzedały się świetnie.*

Alchimowicz: – *Mam wrażenie, że dowodem potrzeby skupienia i wyciszenia jest popularność naszych obozów fotograficznych. Wydawać by się mogło, że teraz, gdy każdy ma aparat w smartfonie i może nim kliknąć taką liczbę zdjęć, że zawsze coś z nich wybierze, nauka sztuki fotografowania nie znajdzie odbiorców. A jednak. Poza tym na naszych campach dla młodszych dzieci hitem są bazy leśne, nieco oddalone od miejsc pobytowych, gdzie uczestnicy, pod dyskretnym nadzorem opiekunów, mają czas wolny i coś tam sobie dłubią, konstruują, wymyślają przeróżne zabawy. Ale z drugiej strony – z 12 tys. dzieci, które biorą udział w naszych campach, połowa dobrowolnie wybiera udział w dodatkowych zajęciach.*

Zdrowe/lekkomyślne

Branża dziecięco-młodzieżowej turystyki zorganizowanej jest niezwykle wrażliwa na szersze zjawiska społeczne. Największa obawa dotyczy niżu demograficznego oraz przewrażliwienia rodziców, coraz częściej decydujących się na wychowanie jednego dziecka. No bo jak to? Powierzyć na dwa tygodnie w obce ręce, a jeśli zatęskni, nie odnajdzie się w grupie, będzie odstawało na zajęciach sportowych, kuchnia mu nie podpasuje? Lepiej niech jedzie do babci.

Niedawno w mediach społecznościowych hitem był filmik-żart Joanny Koroniewskiej i Macieja Dowbora. Dzwonią w sprawie wyjazdu zorganizowanego dla dwójki dzieci. I pytają: czy mają państwo jeszcze jakieś miejsca? Obojętnie jaka tematyka, szachy, kajaki, struganie kijka, mogą leżeć po prostu, nie mamy żadnych oczekiwań, może być namiot, barak, catering bez znaczenia, żadnych luksusów, one zupki chińskie bardzo lubią... W branży krążą opowieści o takich rodzicach mających, w zależności od interpretacji, podejście zdrowe/lekkomyślne. To jeden biegun postaw: – *Nie czytają regulaminu, nie zdają sobie sprawy, że muszą dowieźć dziecko na miejsce zbiórki, nie wiedzą, gdzie właściwie obóz jest zlokalizowany* – mówi Damian Gienerowicz.

Biegun drugi: praktykujący permanentną kontrolę. Dzwonią, bo zaniepokojeni zobaczyli na wrzucanych w mediach społecznościowych zdjęciach z wyjazdu, że dzieciak się nie uśmiecha. Albo trzy dni chodzi w tej samej bluzie. Że oni by chcieli pomówić z kimś od aprowizacji, żeby się upewnić, czy faktycznie dostaje na śniadanie te naleśniki z nutellą, bo nic innego nie jada.

– *Kiedyś zadzwoniła do naszego kierownika pewna mama. I mówi, że ona na stronie internetowej stacji narciarskiej, na obrazie z kamer, dojrzała, że jej córka jest nieodpowiednio ubrana. Więc interweniuje* – śmieje się Damian Gienerowicz. Krzysztof Alchimowicz: – *Zdecydowana większość rodziców to rozsądni ludzie, ale margines przewrażliwionych rośnie. Próbują zdalnie sterować pobytem dziecka, dopytując, czy na pewno zjadło, wyspało się i nosi czapkę.*

Jeśli kontrola, to przez telefon. Nierozstawanie się dzieci ze smartfonem podczas wyjazdu rodzi nieporozumienia na linii uczestnicy – organizatorzy. – *Dziesięć lat temu wprowadziliśmy zasadę, że telefony są deponowane i przekazywane dwa razy w tygodniu, na godzinę, celem zdania relacji mamie i tacie. Odcięcie od rodzicielskiego nadzoru pobudza dzieciaki do samodzielności. Większość rodziców przystaje na takie warunki, ale zdarzają się też tacy, którzy drugi telefon dają po kryjomu albo dosyłają w trakcie campu* – opowiada Alchimowicz.

Jeszcze ostrzejsze reguły obowiązują na wyjazdach organizowanych przez ZHP – tam też obowiązuje tryb „beztelefonowy", zresztą w leśnej głuszy i tak trudno o zasięg. – *Powtarzam rodzicom, że niepokojący nie jest brak kontaktu, ale właśnie gdy ktoś z kadry dzwoni. Bo to może oznaczać, że z dzieckiem jest jakiś problem* – mówi Katarzyna Karolak.

Z ZHP, jeśli chodzi o liczebność, wieje akurat optymizmem, mimo demograficznych przeszkód. Przed pandemią było 102 tys. członków, ostatnio odnotowano wzrost do 115 tys. Powstają listy rezerwowe dla chętnych, z powodu braku odpowiednich zasobów kadrowych. – *Mamy wrażenie, że to dzieci pokolenia młodych rodziców, którzy kiedyś zachłysnęli się wirtualnym światem i uzależnili od smartfonów, ale z czasem dostrzegli zagrożenia i teraz starają się uchronić przed nimi swoje dzieci. Upatrują w harcerstwie przestrzeni, w której buduje się kompetencje społeczne, kształtuje postawy, nawiązuje bliskie relacje* – dodaje Karolak. A latem w pakiecie dzieci dostają obozowy bezsmartfonowy oldskul: palenie ognisk, budowanie szałasów, pierwszą pomoc, czytanie mapy, nocowanie w lesie i nawet strzelanie z łuku, co w komercyjnym świecie nazywa się wstępem do survivalu.

MARCIN PIĄTEK

© ARCHIWUM

eprasa.pl 6b8abdb715

Przepraszam, kto tym kieruje?

Są w gospodarce obszary znajdujące się w gestii kilku ministerstw i takie, za które nie odpowiada nikt. Skutek w obu przypadkach jest podobny – chaos i brak odpowiedzialności. Ma to zmienić przygotowana w koalicyjnych bólach rekonstrukcja rządu. Radzimy powściągnąć optymizm.

JOANNA SOLSKA

Przedsiębiorcy jak refren powtarzają: nikt z nami nie rozmawia. Po słynnym wystąpieniu premiera Donalda Tuska na giełdzie, gdy zaprosił do współpracy przy deregulacji Rafała Brzoskę, wydawało się, że to się zmieni. Premier obiecał wtedy regularne spotkania z biznesem, ale nie udało mu się tej obietnicy dotrzymać. Więc jeśli nie premier, to może chociaż wicepremier – proponują organizacje biznesowe. Ktoś taki jak kiedyś Leszek Balcerowicz, Jerzy Hausner czy Grzegorz Kołodko – rządowy szef od gospodarki, ktoś, kto stworzy strategię, a funkcja wicepremiera pozwoli mu koordynować działania poszczególnych resortów. Na razie jest to wołanie na puszczy, więc Henryka Bochniarz, twórczyni Konfederacji Lewiatan, uważa, że samo łączenie resortów sytuacji nie poprawi. Nie rozumie też, dlaczego premier od razu po wyborach 15 października nie powołał nawet ciała na wzór Rady Gospodarczej, składającej się z osób, które gospodarkę rozumieją i mogłyby tę strategię przygotować. A skutki braku strategii widać jak na dłoni.

Priorytety gospodarcze rządu powinny uwzględniać oczekiwania społeczeństwa, jasno przecież formułowane: poprawa publicznej opieki zdrowotnej, niższe ceny energii i rachunki za utrzymanie mieszkania i wreszcie budowa tańszych mieszkań na wynajem. Obecna struktura rządu, ▶

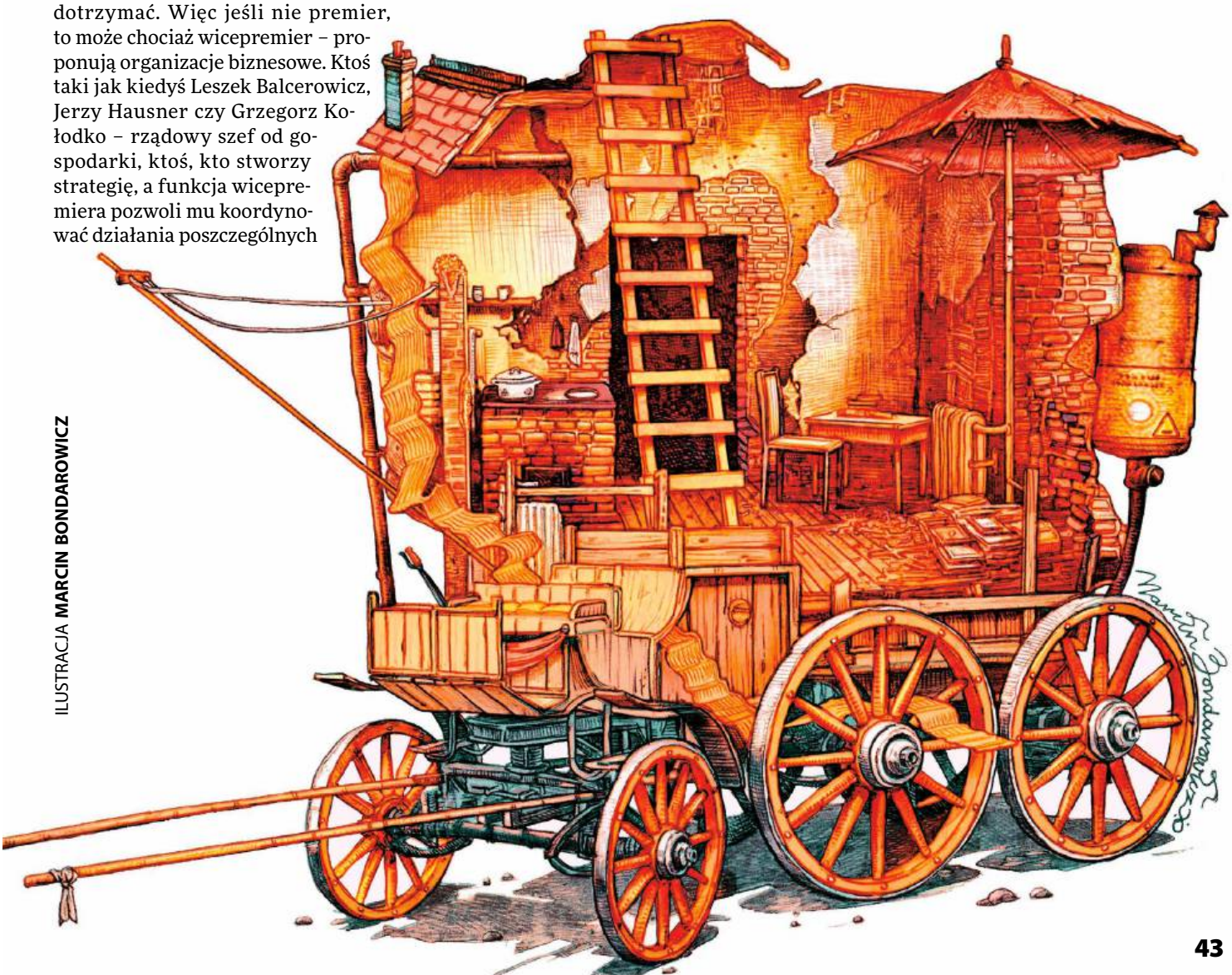

ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ

eprasa.pl 6b8abdb715

▶ odziedziczona po poprzednikach, nie daje możliwości realizacji żadnego z nich. Nawet takiego, przy którym sukces wydaje się na wyciągnięcie ręki. Przećwiczmy to na przykładach.

1 Tańsze leki?

W czasie naszej niedawno zakończonej unijnej prezydencji odnieśliśmy sukces, który jednak nie odbił się wielkim echem w społeczeństwie. Udało się wynegocjować krótszą ochronę patentową na leki innowacyjne, co nie było łatwe. Po nas prezydencję objęła Dania, jej koncern farmaceutyczny Novo Nordisk (twórca globalnego hitu, czyli leku na odchudzanie Ozempic), największym strumieniem zasilający krajowy budżet, na nowej unijnej regulacji sporo finansowo traci, Dania nie należy więc do zwolenników krótszej ochrony patentowej. Zyskują na niej kraje takie jak Polska, która większość budżetu na refundację przeznacza na drogie leki innowacyjne.

Polscy producenci farmaceutyków wiedzą, na jakie leki ochrona się kończy i co moglibyśmy już wytwarzać u siebie. Do kogo w rządzie mogą się udać po ewentualne wsparcie, żeby potrzebną produkcję uruchomić jak najszybciej?

– *Na pewno nie do ministra zdrowia, ten resort nie dysponuje żadnymi środkami na inwestycje* – mówi Krzysztof Kopeć, prezes Polskiego Związku Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego. Do Ministerstwa Rozwoju i Technologii też nie ma sensu się zgłaszać, w tej sprawie nie będą kompetentni. W 2019 r. rząd PiS utworzył Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej, przekształcając resort inwestycji i rozwoju. Miało się zajmować rozdziałem środków z KPO, ten adres wydaje się najwłaściwszy. Przedsiębiorcy skarżą się jednak, że rozpatrywanie wniosków w tym ministerstwie trwa coraz dłużej, a potem i tak słyszą, że unijne pieniądze trzeba wykorzystać do końca 2026 r., więc jeśli nie zaczną produkować nowego leku do tej pory, to niech nie zawracają głowy. Może więc Narodowe Centrum Badań i Rozwoju albo Agencja Badań Medycznych? Po aferach z czasów rządów PiS tam także boją się podejmować decyzje.

Farmacja to przecież przemysł, więc może pomoże Ministerstwo Przemysłu? Powstało już w czasach rządów koalicji 15 października, jakby w odpowiedzi na uznanie przez Unię rozwoju przemysłu za priorytet Wspólnoty. W Polsce w przemyśle powstaje duża część PKB, prawie 30 proc., zatrudnia ponad 3 mln osób. Ale Ministerstwo Przemysłu, wbrew swojej nazwie, nie powstało w celu rozwoju przemysłu. Siedziba na Śląsku miała dowartościować region, a zadaniem jego szefowej Marzeny Czarneckiej była głównie renegocjacja umowy społecznej, jaką w imieniu rządu PiS zawarł ze związkami górniczymi wicepremier Sasin. Wyszło tyle, że kopalnie węgla kamiennego będą wydobywać go jeszcze przez wiele lat, a dopłaty do wydobycia będą rosły. Złośliwi mówią, że ministerstwo w Katowicach służy tylko temu, żeby górnicy nie przyjeżdżali protestować do Warszawy.

2 Tańsza energia?

Kiedy energia zacznie tanieć? Na to pytanie nie jest w stanie odpowiedzieć w rządzie nikt, chociaż za energię odpowiada aż kilka ministerstw. Żadne nie czuje się zmuszone do obniżania kosztów produkcji. Zdaniem Joanny Maćkowiak-Pandery, szefowej Forum Energii, powodem jest brak strategii transformacji energetycznej. – *Od 15 lat żaden rząd jej nie pokazał, nie wiemy, jaki będzie miks energetyczny ani kto za jego realizację będzie odpowiadał.* Nie ma więc komu rozliczyć kolejnego ministra finansów z decyzji, że pieniądze uzyskane z handlu prawami do emisji CO_2 zamiast na transformację energetyczną idą na transfery społeczne.

Odpowiedzialności za ceny energii nie czuje Ministerstwo Klimatu i Środowiska, które w swojej gestii – formalnie – ma także produkcję energii, bo wielkie państwowe spółki energetyczne są pod nadzorem MAP (Ministerstwa Aktywów Państwowych). Więc MKiŚ odpowiada raczej za energię ze źródeł odnawialnych. Też nie do końca, bo wąskim gardłem są przyłącza do sieci. MKiŚ nie ma wpływu na to, kto i kiedy otrzyma decyzję o przyłączeniu farmy fotowoltaicznej do sieci. To inny kolega – Polskie Sieci Elektroenergetyczne. Więc gdyby nawet w strategii, której nie ma, zapisano, że w 2027 r. będzie tyle i tyle prądu z OZE, to Ministerstwa Klimatu rozliczyć z tego nie można. A PSE nadzoruje pełnomocnik rządu ds. infrastruktury Wojciech Wrochna. On też odpowiada za budowę elektrowni atomowej. Jedynym sukcesem MKiŚ mogła być nowelizacja tzw. ustawy wiatrakowej, ale i ona utknęła w konsultacjach. Więc w sprawie obniżenia cen energii Ministerstwo Klimatu zrobiło tylko tyle, że zgłosiło wniosek o ich zamrożenie dla gospodarstw domowych. Koszty produkcji będą nadal zamiatane pod dywan.

Może więc właściwym adresatem pytania, kiedy energia zacznie tanieć, jest Ministerstwo Aktywów Państwowych? To resort stworzony przez PiS w 2019 r. jako kolejna wersja Ministerstwa Skarbu Państwa. MAP sprawuje nadzór właścicielski nad największymi spółkami kontrolowanymi przez państwo, a więc także paliwowo-energetycznymi: Orlenem, PGE, Eneą. To w tym resorcie ich zarządy dyskutują i zatwierdzają swoje strategie rozwoju. Wydawałoby się, że celem tych strategii powinna być także transformacja energetyczna i coraz niższe ceny energii. Jeszcze w czasie rządów PiS przekonaliśmy się, że niekoniecznie. MAP najbardziej interesowało polityków jako łup polityczny, superatrakcyjne miejsce do zarabiania dla kolegów partyjnych i jako pomocne narzędzie finansowania poza budżetem pomysłów politycznych. Z kasy, jaką zarabiały wielkie spółki. Można ją było wytransferować do różnych fundacji, ale też przekupić wyborców przed wyborami. Klasycznym przykładem jest nieuzasadnione ekonomicznie obniżenie cen paliw na stacjach Orlenu tuż przed wyborami w 2023 r.

Co się zmieniło po 15 października 2023 r.? Z pewnością spółkami Skarbu Państwa zarządzają bardziej profesjonalne zarządy. Ale demokratyczna władza także potrzebuje pieniędzy, po które może sięgnąć do kasy spółek kontrolowanych przez siebie. Więc Orlen w 2024 r. sfinansował częściowo zamrożenie cen energii. Żeby spółki wykonywały polityczne zlecenia, muszą zarabiać. Na liście priorytetów nowej koalicji nie zmieściło się więc ograniczanie ich monopolistycznej pozycji. Minister Jakub Jaworowski chwali się, że dywidenda od wielkich spółek będzie w tym roku aż o połowę wyższa, niż planowano. To świetna wiadomość dla ministra finansów, a dla obywateli?

– *Wielcy producenci energii nie są zainteresowani obniżaniem jej cen* – uważa Joanna Maćkowiak-Pandera. Nie wymusza tego na nich prywatna konkurencja, której w zasadzie nie ma. A właściciel, czyli MAP, podobnie jak inni akcjonariusze, zainteresowany jest tym, żeby spółki zarabiały jak najwięcej. Dlatego pytanie, kiedy prąd stanieje, pozostaje bez odpowiedzi. Nie ma osoby, która orientowałaby się w zawiłościach rynku energii, wartego

eprasa.pl 6b8abdb715

rocznie 200 mld zł, ani w skali nieprawidłowości i marnotrawstwa. Nikt w rządzie tego nie ogarnia.

3 Tańsze mieszkania?

W sprawie budowy tanich mieszkań na wynajem w koalicji 15 października panuje zgoda, są potrzebne. Problem w tym, że każdy koalicjant ma swój pomysł na realizację tego postulatu, każda partia chce dostać od rządu na to pieniądze, żeby to ona mogła się pochwalić wyborcom, że „dowiozła". Pomysły poszczególnych resortów się wykluczają.

– *Zamiast większej liczby tanich mieszkań mamy żenującą przepychankę* – zauważa prof. Paweł Wojciechowski związany z Instytutem Finansów Publicznych. Koalicja Obywatelska obiecała kredyt 0 proc. na zakup mieszkania od deweloperów. Ostro sprzeciwiły się jej pomysłowi Lewica oraz obie partie nieistniejącej już Trzeciej Drogi, uważając, że jest korzystny tylko dla deweloperów i spowoduje wzrost cen nowych mieszkań. Każdy z koalicjantów miał swój pomysł na mieszkalnictwo – odmienny. Razem nie tworzyli spójnego programu.

Zdaniem Lewicy problem braku mieszkań dla młodych rozwiąże ustawa o maksymalnych marżach na kredyty hipoteczne. Krzysztof Paszyk, minister rozwoju i technologii z PSL, chociaż przeciwny kredytom koalicji, sam też chciał wyszarpać z budżetu dopłaty na Kredyt na Start. Żeby nie wspierać deweloperów, miał być przyznawany tylko na zakup mieszkań na rynku wtórnym. Pomysł został wyśmiany, gdyż dzięki niemu wzięcie zaczęłyby mieć mieszkania stare, nieefektywne ekonomicznie. Kolejny pomysł Paszyka – Klucze dla Młodych – pochłonąłby z budżetu już 2,5 mld zł, ale resort nie opracował nawet projektu ustawy.

O największe pieniądze na tanie mieszkania walczy Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, ministra funduszy i polityki regionalnej z ramienia Polski 2050. Partia Hołowni przejęła po Adamie Bielanie Krajowy Zasób Nieruchomości, powołany właśnie do budowy tanich mieszkań na wynajem. W czasach rządu prawicy KZN wprawdzie nie wybudował niczego, ale pieniądze na budowę mieszkań żywiły działaczy partii Bielana, ulokowanych w terenowych zarządach SIM (Społecznych Inicjatyw Mieszkaniowych). Obecnie w tych zarządach media doszukały się wielu działaczy partii Hołowni.

SIM-y od początku ich istnienia pochłonęły już kilka miliardów złotych publicznych dotacji. Ostatnio Sejm przegłosował, że do 2030 r. dostaną kolejne 10 mld zł. Na razie społecznych mieszkań ciągle nie ma. KZN sukcesami się nie chwali. I co najważniejsze, nikt nie jest w stanie powiedzieć, ile te mieszkania będą naprawdę kosztowały. To znaczy, jaki będzie prawdziwy koszt ich budowy, do którego trzeba przecież doliczyć koszty funkcjonowania zarządów SIM, które same niczego nie budują. Pytanie, czy priorytetem rządu ma być wydanie jak największych pieniędzy na budowę „tanich" mieszkań, czy też poprawa sytuacji mieszkaniowej młodych rodzin?

Gdyby po rekonstrukcji powstało centrum gospodarcze rządu, składające w całość resortowe puzzle, odpowiedzi na powyższe pytania powinny być oczywiste. Przy obecnej strukturze rządu oczywisty jest brak odpowiedzi.

JOANNA SOLSKA

REKLAMA

POLITYKA

PODKASTY I WIDEOKASTY

słuchaj i oglądaj

polityka.pl/podkasty

youtube.com/@PolitykaPL

eprasa.pl 6b8abdb715

Julia dwa

Atutem nowej premier Ukrainy Julii Swyrydenko są dobre relacje z ludźmi Donalda Trumpa, potrafi się z nimi dogadać i nie podnosi im ciśnienia.

PAWEŁ RESZKA, ALBINA TRUBENKOVA

Julia Swyrydenko jest drugą po Julii Tymoszenko kobietą w historii, która pokieruje ukraińskim rządem. W wojennych warunkach cudów raczej nie zdziała. Jednak przetasowanie na szczycie ma dać wyczerpanym Ukraińcom nadzieję, że wreszcie coś się zmieni na lepsze.

Mówi się o niej, że zawsze była prymuską dążącą uparcie do celu. Pracowita, cicha i łagodna. – *Tyle że prymusi mają dobrą pamięć i potrafią głęboko chować urazy. Gdy mogą, trzymają konkurentów na dystans zaostrzonego ołówka* – mówi jeden z ukraińskich urzędników. Dowodem na prawdziwość tych słów może być los wicepremier Olhi Stefaniszyny. Nie wchodzi do nowego rządu, bo między nią a Swyrydenko nie było chemii.

Obie polityczki są jednak skazane na współpracę. Stefaniszyna na razie zostanie pełnomocniczką prezydenta ds. rozwoju współpracy ze Stanami Zjednoczonymi. A w najbliższej perspektywie – o czym już poinformował Wołodymyr Zełenski – ma być ambasadorką w Waszyngtonie. Z kolei dobra chemia z ludźmi Trumpa była jednym z powodów, dla których Zełenski zdecydował awansować Swyrydenko. Ważnym zadaniem nowej szefowej rządu będzie ocieplenie relacji z Ameryką, która jest kluczowym sojusznikiem i dostawcą uzbrojenia. A Trump głównym rozmówcą Władimira Putina.

Za plecami. Dotychczasowy szef rządu Denys Szmyhal był bezbarwny, mało medialny. Dzięki temu utrzymał się na stanowisku ponad pięć lat, co jest w ukraińskiej polityce rekordem. Szmyhal był też rekordzistą w liczbie spekulacji na temat jego dymisji. Od lat, szczególnie w czasie wakacji, media informowały, że to już „lada chwila". Jednak nic się nie działo. No prawie nic, bo jednak Wołodymyr Zełenski i Andrij Jermak (szef biura prezydenta i główny kadrowy) lubią dokonywać roszad. – *Zauważmy, że z pierwszego składu rządu z 2020 r. pozostało tylko dwóch ludzi: sam Szmyhal i minister transformacji cyfrowej Mychajło Fedorow* – mówi POLITYCE ukraiński politolog Wołodymyr Fesenko.

Prymuska ma dziś ledwie 39 lat, ale już od dawna czekała na swoją szansę, tuż za plecami Denysa Szmyhala. Pierwszą wicepremier i szefową resortu gospodarki została jeszcze przed inwazją, w listopadzie 2021 r. Ekonomistka, skończyła z wyróżnieniem Kijowski Narodowy Uniwersytet Handlu i Ekonomii. Następnie wróciła do rodzinnego Czernihowa. Była szefową przedstawicielstwa Czernihowa w chińskim mieście Wuxi. Udało jej się wówczas ściągnąć inwestora, który postawił w regionie fabrykę włókien polimerowych – Swyrydenko weszła do szefostwa spółki.

Jej pierwsze kroki w polityce nie były udane – w 2015 r. bez sukcesu startowała z listy Petra Poroszenki do Rady Miasta. Znalazła posadę w administracji obwodowej, podobno pracowała 24 godziny na dobę, by w Kijowie dostrzeżono jej zaangażowanie. Do stolicy wróciła w 2019 r. – została ósmą zastępczynią ministra gospodarki. Jej szef Tymofij Myłowanow, były wiceprezes banku centralnego, podobno nie lubił długich narad u Zełenskiego i wysyłał w zastępstwie Julię, a ta zawsze była przygotowana i chętna do odpowiedzi. Zwróciła na siebie uwagę Andrija Jermaka. Pracowała u niego przez rok. I to był prawdziwy przełom w karierze.

Protegowana. Jermak – prawnik, specjalista od prawa autorskiego – jako szef Biura Prezydenta ma wspierać doradczo i organizacyjnie głowę państwa. Na tym w zasadzie powinna się kończyć jego rola. Jednak dzięki zaufaniu Zełenskiego przejmował kolejne obszary: politykę kadrową, sprawy międzynarodowe, negocjacje z Rosją. Dobierał sobie lojalnych współpracowników i skutecznie eliminował konkurentów. Odpowiadało to Zełenskiemu, który chciał, by to w siedzibie prezydenta zapadały kluczowe decyzje. Rząd i parlament sprowadzał powoli do roli instytucji niezbyt potrzebnych.

Swyrydenko wyczuła to doskonale. Zdobyła zaufanie Jermaka i stała się jego ulubienicą. Na posiedzeniach miała się zjawiać z notesem, gdzie zapisywała główne myśli swojego szefa i prezydenta. W 2021 r. mimo młodego wieku została szefową resortu gospodarki, a przede wszystkim pierwszą zastępczynią premiera.

Prawdziwym testem była sprawa sankcji wobec byłego prezydenta Petra Poroszenki. Poroszenko to lider opozycji i zagorzały krytyk Zełenskiego. Sankcje pozbawiają go nagród i odznaczeń państwowych, zamrażają kapitał i uniemożliwiają wyjazd za granicę. Ich wprowadzenie pod pretekstem, że stanowi on zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa, było dość karkołomne od strony prawnej i pachniało polityczną hucpą. Pod wnioskiem nie chciał się podpisać ani premier Szmyhal, ani szef SBU. Obowiązek ten wzięła na siebie Swyrydenko.

– *Wykazała się stuprocentową lojalnością* – komentuje politolog Jewhen Magda. I dodaje, że premier, która podpisuje wszystko, co podsunie jej biuro prezydenta, może być użyteczna. Na przykład w sytuacji gdy trzeba będzie zaakceptować jakieś trudne i niepopularne w społeczeństwie porozumienie z Rosją.

Petro Poroszenko z przekąsem komentował teraz, że Swyrydenko wykonywała rozkazy i została nagrodzona posadą premiera. Lider opozycji dodał, że jej nominacja w sumie niewiele zmienia: – *Do tej pory premierem był „Jermak w koszuli", a teraz jest nim „Jermak w spódnicy".*

Mariana Bezugła, deputowana z prezydenckiej frakcji Sługa Narodu (znana z tego, że nie stroni od mocnych wypowiedzi), oceniła to dość podobnie: – *Jermak przestraszył się i schował za kobietą. Ale to właśnie on będzie faktycznym premierem. Szkoda, bo mógłby bez pośredników stać się silnym szefem rządu.*

Mimo lat działalności publicznej Swyrydenko nie była bohaterką skandali korupcyjnych. Dopiero niedawno zarzucono jej, że pobiera wysokie wynagrodzenie (równowartość 6 tys. dol. miesięcznie) za wykłady w Kijowskiej Szkole Ekonomii kierowanej przez Tymofieja Miłowanowa, jej byłego szefa. Miłowanow podkreślał, że to rynkowa stawka dla tak dobrego fachowca. Jednak media wyciągnęły, że inni wykładowcy nie dostają aż takich sum. W internecie natychmiast pojawił się żart, że Zełenski zaczyna w końcu spełniać swoje przedwyborcze obietnice o podwyżkach pensji w oświacie.

Wszystko to trudno nazwać aferą, szczególnie w warunkach ukraińskich, gdzie klasa polityczna tradycyjnie jest mocno skorumpowana i co chwila wybucha kolejny skandal. Nowa premier deklaruje posiadanie niewielkiego majątku: 35-metrowe mieszkanie w Kijowie i 74-metrowe w Czernihowie. Udział w mieszkaniu rodziców i działka po teściach. Skromne oszczędności i BMW X3 z 2016 r. należące do męża. Małżonek jest biznesmenem. Mają córkę Sofię. Poza tym niewiele więcej wiadomo, bo Julia Swyrydenko strzeże prywatności. ▶

© GENYA SAVILOV/AFP/GETTY IMAGES

eprasa.pl 6b8abdb715

▶ **Negocjatorka.** Oprócz lojalności i pracowitości Swyrydenko ma jeszcze jeden atut. – *Bardzo dobrze sprawdziła się w negocjacjach dotyczących umowy surowcowej. Trump chciał zrobić z nas wiecznych dłużników, ale mu się nie udało. Swyrydenko nawiązała dobry kontakt z sekretarzem skarbu Scottem Bessentem, a on jest dziś jedną z kluczowych postaci w otoczeniu prezydenta USA* – mówi nam Wołodymyr Fesenko.

To ona miała skłonić Bessenta do kompromisu, uzgodnienia poprawek. Zadanie było trudne, rozmowy toczyły się w napiętej atmosferze. W powietrzu wisiała groźba całkowitego wstrzymania pomocy wojskowej i wywiadowczej przez USA, co mogło doprowadzić do załamania się frontu.

Wołodymyr Zełenski obwieścił zmianę premiera poprzez media społecznościowe. Napisał, że oczekuje gruntownego odświeżenia pracy rządu. Formalnie popełnił *faux pas*, bo wszystko powinno być poprzedzone dymisją poprzedniego premiera i parlamentarnymi konsultacjami. Opozycja zareagowała gniewem: „Zełenski zachowuje się jak monarcha, który nie uznaje parlamentu za organ konstytucyjny".

Opinia jest taka, że Julia Swyrydenko jest premierem, ale rządzić będzie Andrij Jermak, szef biura prezydenta.

Oczywiście formalności potem dopełniono, ale prezydent osiągnął to, co chciał – jeszcze raz pokazał dobitnie, że o wszystkim, co się dzieje w ukraińskiej polityce, decyduje sam. Jednocześnie głosowanie nad nowym rządem w Radzie Najwyższej pokazało, że Zełenski ma coraz mniejsze zaplecze w parlamencie. Frakcja prezydencka Sługa Ludu (231 posłów) oddała na nowy rząd tylko 201 głosów. I gdyby nie poparcie deputowanych z innych frakcji, nie byłoby gabinetu Swyrydenko.

Nowa premier już na spotkaniu z głową państwa złożyła obietnice ograniczenia biurokracji, likwidacji zbędnych instytucji, ochrony przedsiębiorczości, a także koncentracji wydatków publicznych na armii i odbudowie kraju. Wszystko to brzmiało jak katalog zaklęć. Ładnych, lecz trudnych do realizacji w warunkach wojny.

Choć jedną z obietnic dotyczącą ograniczenia biurokracji udało się pani premier chociaż częściowo zrealizować już pierwszego dnia. Jej rząd liczy jedynie 16 ministrów. Zadeklarowała też, że jednym z pierwszych zadań będzie podniesienie emerytur powyżej minimum socjalnego. W nowym rządzie nie będzie resortu jedności narodowej. Miał on zajmować się m.in. nakłanianiem Ukraińców do powrotu do kraju. Ale nie miał dużych sukcesów, tym bardziej że jego dotychczasowy szef Oleksij Czernyszow sam nie chce wrócić z zagranicy, wiedząc, że w kraju czekają go zarzuty korupcyjne. Resorty gospodarki, rolnictwa, ekologii zlepiono w jedno megaministerstwo.

Ministerstwo strategicznych gałęzi przemysłu połączono z ministerstwem obrony. Całością pokieruje niedawny premier Denis Szmyhal. To akurat ważne, bo ten resort pochłania największą część budżetu i jest kluczowy dla przetrwania Ukrainy. Szmyhal może go objąć niejako z marszu. Uśmieszek komentatorów budzi przesunięcie ministra energetyki na posadę szefa w resorcie sprawiedliwości. Ale – jak widać – dobry urzędnik może mieć kompetencje w różnych dziedzinach. Szefem dyplomacji pozostanie Andrij Sybih, ministrem spraw wewnętrznych Ihor Kłymenko, a ministrem finansów Serhij Marczenko.

Co się zmieni? Kiedy Zełenski ogłaszał zmianę premiera, na Ukrainę kolejny raz leciały rosyjskie drony i rakiety. W zasadzie nic nowego. Bomby spadają tu od ponad trzech lat. Jedyna różnica: ostatnie naloty są wyjątkowo zmasowane. Regułą jest kilkaset dronów nadlatujących z różnych kierunków. To za dużo, by obrona przeciwlotnicza mogła powstrzymać wszystkie. Coraz częściej dolatują więc do celu. Cierpi Kijów – najlepiej bronione miasto w kraju, a także miejsca odległe od linii frontu i do tej pory uchodzące za względnie bezpieczne, jak Czerniowce, Łuck, Lwów czy Winnica.

Rosja atakuje miasta, ale i morale obrońców. Pokazuje, że ciągle ma duży, a nawet coraz większy potencjał uderzeniowy (fachowcy uważają, że liczba używanych do ataków dronów może wkrótce przekroczyć tysiąc dziennie). Z frontu dochodzą niedobre wiadomości – ukraińska armia powoli się cofa. Walki przeniosły się już do obwodu dniepropietrowskiego. Wojskowe znaczenie tego faktu nie jest wielkie, ale propagandowe całkiem spore.

Nowy rząd w tej sytuacji to substytut wyborów, które w czasie wojny nie są możliwe. Dla części Ukraińców to może być nadzieja na zmiany, których wyczekują, zmęczeni, zubożali, niepewni przyszłości. Natomiast dla Wołodymyra Zełenskiego to ruch konieczny. Zmaga się ze spadającym poparciem i rosnącą presją społeczną z jednej strony; z drugiej – jego możliwości są ograniczone. Jedną z niewielu kart, jakie ma dziś do dyspozycji, jest przetasowanie na szczytach władzy. – *Obywatelom tę historię sprzeda się jako zmianę, nowy impuls, ale w rzeczywistości nie należy się spodziewać zbyt wielu zmian* – mówił Radiu Swoboda znany politolog Ihor Rejterowycz.

Nową premier czeka trudne zadanie. Niewiele da się zrobić, gdy na głowę spadają bomby, a utrzymanie frontu zależy m.in. od pomocy coraz bardziej grymaśnych sojuszników. Z punktu widzenia obozu prezydenckiego zmiana ma na celu konsolidację władzy. Zełenski i Jermak wiedzą, że ich popularność się kurczy i muszą stawiać na pewnych zawodników.

Pytanie, czy Swyrydenko nie zechce za jakiś czas odegrać samodzielnej roli? Ma energię, doświadczenie i dobrą pozycję do tego, by zawalczyć o największą stawkę. Analogia nasuwa się sama. Pierwszą kobietą na czele ukraińskiego rządu była Julia Tymoszenko, która przez dziesięciolecia odgrywała najważniejsze role w polityce. Swyrydence jeszcze do tego daleko – jej poprzedniczka miała wielkie zaplecze finansowe i polityczne. Julia dwa ciągle jest samotna, ale nabiera rozpędu.

PAWEŁ RESZKA, ALBINA TRUBENKOVA

© GIAN EHRENZELLER/EPA/PAP

eprasa.pl 6b8abdb715

Obywatel pod kluczem

Wprowadzenie w Chinach cyfrowych dowodów tożsamości to fatalna wiadomość dla dysydentów. A dla prezydenta Xi Jinpinga krok do uczynienia z danych o obywatelach osobnej gałęzi gospodarki.

© CFOTO/FUTURE PUBLISHING/GETTY IMAGES

MARCIN ŻYŁA

Najdonośniejsze wydarzenie tego roku w internecie przeszło niemal niezauważone. 15 lipca w Chinach wprowadzono – na razie dobrowolny – cyfrowy dowód osobisty. Z pozoru to żadna rewolucja. Osobiste identyfikatory ułatwiające kontakt z administracją i korzystanie z opieki zdrowotnej funkcjonują od lat m.in. w Wielkiej Brytanii, Estonii czy Polsce (u nas w formie podpisu elektronicznego). Komisja Europejska zamierza wdrożyć technologię weryfikacji wieku, która ograniczy nieletnim dostęp do pornografii i mediów społecznościowych. A działający w Indiach system Aadhaar sprawił, że państwo „dostrzegło" miliony obywateli izolowanych przez ustrój kastowy.

Jednak chiński system jest inny. Według władz w Pekinie ma zapobiegać wyłudzeniom i wyciekom danych osobowych. Połączony z ogólnokrajowymi metodami śledzenia obywateli – osławionym systemem tzw. zaufania społecznego (m.in. punkty za dobre zachowanie) oraz policyjną chmurą danych – zacieśni kontrolę nad obywatelami. A co najważniejsze: z danych osobowych o 1,4 mld Chińczyków ma uczynić finansowy i rynkowy zasób dla państwa.

Dane pod kontrolą

Od minionego wtorku każdy Chińczyk i Chinka mogą przystąpić do programu Cyberspace ID. W zamian za udostępnienie skanu twarzy i podstawowych danych otrzymają identyfikator, za pomocą którego zalogują się do większości stron internetowych. Zamiast każdorazowo udostępniać dane Google czy eBay i wymyślać kolejne hasła, oddadzą je raz – swojej władzy.

Wejście państwa w rolę pośrednika między dostawcami usług i użytkownikami sieci budzi kontrowersje. – *Nowy* ▶

eprasa.pl 6b8abdb715

▶ *system służy równocześnie bezpieczeństwu użytkowników i potencjalnie ich ściślejszej kontroli* – uważa Jessica Batke, analityczka portalu China File oraz współautorka ogłoszonego pod koniec czerwca raportu o chińskiej cenzurze internetu. – *Każdy kraj powinien dbać o ochronę danych swoich obywateli. Jakkolwiek by to zabrzmiało, jako Amerykanka zazdroszczę Chińczykom, że ich państwo poważnie o tym myśli. Z drugiej strony władze w Pekinie będą miały odtąd dostęp do danych, z których skorzystają wedle uznania. Prawdziwe pytanie brzmi zatem: przed kim bardziej obywatele potrzebują ochrony – przed władzą polityczną czy korporacjami?*

Agata Kaźmierska, dziennikarka zajmująca się nowymi technologiami, współautorka książki „Co to będzie? Krótki przewodnik po końcach świata", dodaje: – *Wprowadzenie cyfrowych dowodów to ciąg dalszy procesu, który zaczął się w Chinach wiele lat temu. Punktowy system zaufania społecznego oraz dane zbierane przez służby nie były do tej pory w pełni zintegrowane. Chiny walczą jednak także z największą w świecie falą cyfrowej przestępczości. A stawka jest duża, bo dane osobowe są tu powiązane z biometrycznymi. Te zaś w epoce rozwoju sztucznej inteligencji zyskują na wartości.*

Cyfrowe dowody tożsamości mają ograniczyć oszustwa podczas płatności mobilnych, które stanowią 89 proc. wszystkich transakcji dokonywanych przez Chińczyków. Państwowa agencja prasowa Xinhua nazywa je tarczami, które w kontakcie z firmami prywatnymi zapewnią internautom anonimowość. Po zalogowaniu do dowolnego serwisu internetowego jego administrator nie zobaczy danych użytkownika – jedynie ciąg cyfr, liter i znaków.

Jednak użytkownika wciąż zidentyfikują służby.

Ustawienia prywatności

I właśnie w tym tkwi główny problem. Dysponując prywatnymi kluczami do profili Chińczyków w sklepach internetowych czy serwisach społecznościowych, władzom będzie łatwiej śledzić dysydentów i członków mniejszości. Policja i administracja zyskają precedensową wiedzę o obywatelach, którą da się wykorzystać do uciszania krytyków. Cyfrowe dowody osobiste pozwolą też na blokowanie dostępu do określonych treści konkretnym osobom lub grupom. Łatwo sobie np. wyobrazić, że Ujgurzy – członkowie 12-milionowej mniejszości muzułmańskiej prześladowanej przez chińskie władze – zostaną pozbawieni dostępu do stron o ich kulturze i historii.

Cyfrowe dowody uszczelnią system zaufania społecznego, w którym dotąd nie wypracowano nawet ujednoliconych reguł dotyczących nadawania numerów identyfikacyjnych ocenianym podmiotom. Np. w mieście Rongcheng w prowincji Szantung są to odpowiedniki polskiego numeru PESEL, natomiast we wsiach w prowincji Guizhou, gdzie oceniane są całe gospodarstwa domowe, identyfikatorem są współrzędne geograficzne.

– *To prawda, że promowane przez rząd rozwiązania ułatwiają życie jej chińskim użytkownikom. Ale odbywa się to kosztem ich prywatności, a władzy umożliwia kontrolę* – mówi Laura Edelson, profesor informatyki z Northeastern University w Bostonie, od lat opisująca praktyki Pekinu w sieci. Zwraca też uwagę na dodatkowy aspekt: – *Cyfrowe dowody tożsamości wpływają na zachowanie użytkowników, bo jasno sygnalizują, że ktoś inny wie, co robią w sieci. To zniechęca do wyrażania opinii i prowadzi do autocenzury.*

Wizja Jinpinga

Cyfrowe dowody tożsamości – pilotażowy program, którego powodzenie niemal na pewno nakłoni władze do wprowadzenia obowiązku ich posiadania – symbolizują też nowy pomysł na chińską gospodarkę. Dane mają odtąd stanowić jeden z jej filarów, na równi z tradycyjnymi usługami, przemysłem czy wydobyciem surowców.

Już w 2015 r. Rada Państwa wezwała do stworzenia ogólnochińskich baz danych o ludności, przedsiębiorstwach i zasobach naturalnych kraju. Dwa lata później prezydent Xi Jinping mówił o potrzebie „promocji pogłębionej integracji internetu, big data i sztucznej inteligencji z gospodarką w dotychczasowym kształcie". Wkrótce rząd ogłosił, że najważniejsze dane osobowe obywateli powinny pozostać w „cyfrowych granicach" kraju.

Bardziej niż przejaw izolacjonizmu mógł to być wyraz chińskiej przenikliwości. To właśnie dane pobudzają dziś gospodarkę i decydują o potencjale kraju. Zasoby cyfrowe znaczą więcej niż materialne. „Uber nie posiada samochodów, Facebook nie tworzy treści, a Airbnb nie dysponuje

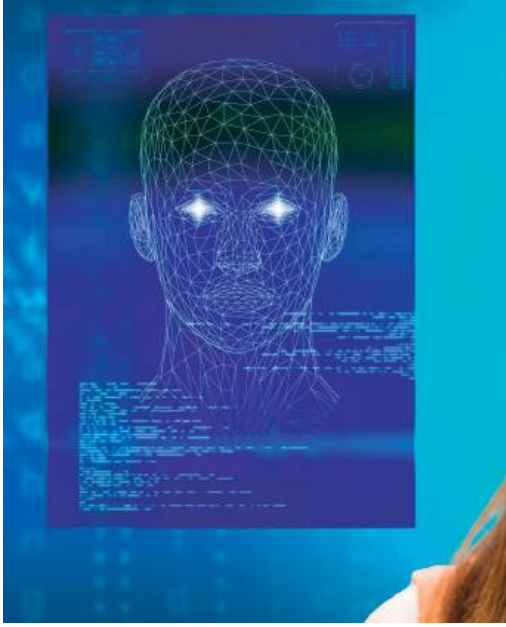

nieruchomościami" – powtarza w swoich wystąpieniach Tom Goodwin, dziennikarz i obserwator megatrendów. Zarabia się na informacji o użytkownikach.

Potwierdzają to statystyki: w pierwszej szóstce największych korporacji świata ostała się tylko jedna firma obracająca tradycyjnym surowcem: saudyjski gigant naftowy Aramco.

Dane, którymi dzielimy się w sieci, są często sprzedawane dalej bez naszej zgody. Od afery z firmą Cambridge Analytica – która zebrane na Facebooku informacje o użytkownikach sprzedawała politykom przed kampaniami wyborczymi – upłynęło zaledwie siedem lat, choć wydaje się, jakby to była cała epoka.

I choć internet jest wciąż globalny, podejście do danych ciągle zależy od regionu. Liberalne Stany Zjednoczone w 1996 r. wyłączyły firmy cyfrowe z klauzuli odpowiedzialności za publikowane treści, co sprawia, że pozostają bezkarne w sytuacji wycieku danych użytkowników. W Europie jest odwrotnie: RODO sprawiło, że to dostawcy treści i usług są odpowiedzialni za informacje o nas. Przyszłość internetu rozstrzygnie się jednak w Azji: w Indiach oraz przede wszystkim w Chinach, gdzie na co dzień z sieci korzysta ponad miliard ludzi.

To bardzo specyficzny rynek informacji. Chiński cyfrowy wielki mur blokuje dostęp do niektórych treści z zagranicy, ale nie jest zupełnie szczelny. W dostępie do informacji o własnych obywatelach – również o tych omijających wielki mur – rząd w Pekinie opierał się dotąd na współpracy z krajowymi gigantami, zwłaszcza serwisami Alibaba i WeChat, które chętnie brały udział systemie „punktów społecznych", nagradzającym

© TZIDO SUN/SHUTTERSTOC

eprasa.pl 6b8abdb715

Dysponując prywatnymi kluczami do profili Chińczyków w sklepach internetowych czy serwisach społecznościowych, władzom będzie łatwiej uciszać krytyków, śledzić dysydentów i członków mniejszości.

pożądane zachowania i nawyki obywateli – ale dzielić się danymi osobowymi już nie chciały.

Konkurencja dla gigantów

Pekin musiał coś z tym zrobić, bo wie, że stawką w wyścigu o dane osobowe są setki miliardów dolarów. A dane osobowe są warte tyle, ile ekonomiczny potencjał kraju. Gigantyczna populacja Chin, jej koncentracja w kilku regionach oraz aktywność Chińczyków w internecie sprawiają, że powstaje tam ogromna ilość danych osobowych.

Co więcej, to właśnie kontrola danych i internetu umożliwiła władzom stworzenie chińskiej konkurencji dla internetowych gigantów z Doliny Krzemowej, które zdominowały internet poza granicami Chin – to nie udało się nawet Władimirowi Putinowi. Chiny są jedynym państwem, które zaproponowało alternatywę, a Alibaba, Baidu czy Tencent podbijają już rynki za granicą. Ścisła kontrola treści sprawia też, że podmiotom z zagranicy trudno jest wpływać poprzez internet na chińską politykę.

Chiński biznes internetowy obawia się jednak, że pozbawienie go dostępu do danych o użytkownikach uszczupli zasoby firm, a w przyszłości zmniejszy ich innowacyjność. – *To nieprawda. Chińskie przedsiębiorstwa będą wciąż dysponowały potężną ilością danych, a cyfrowe dowody osobiste nie wpłyną szybko na tę sytuację* – mówi Agata Kaźmierska. – *Informacje o aktywności Chińczyków w sieci są wciąż rozproszone. I nieprędko przestanie się tu używać tradycyjnego numeru identyfikacyjnego, np. do zamawiania jedzenia przez internet. Duża część aktywności obywateli w sieci była i tak powiązana z systemem zaufania społecznego. A firmy jako depozytariuszki danych po prostu się nie sprawdziły. Wycieki – także informacji biometrycznych – zdarzały się zbyt często.*

Dla Jessiki Batke z portalu China File najciekawsze jest to, że wprowadzając cyfrowe dowody, rząd w Pekinie de facto wycofuje się z dotychczasowej zasady współpracy z firmami. – *Nawet w chińskim systemie koszty administrowania danymi oraz odpowiedzialność za nie wyraźnie obciążały działalność przedsiębiorstw. Teraz te koszty spadną, bo cały system zostanie scentralizowany. A władze otrzymają cenny zasób danych. Nie jest też tak, że firmy pozostaną całkowicie „ślepe" – wciąż będą mogły identyfikować klientów na podstawie adresu IP czy kont Apple.*

Pytanie tylko, czy gromadzenie danych osobowych przez państwo faktycznie sprawi, że będą one bezpieczne. Trzy lata temu hakerzy wykradli szanghajskiej policji dane o miliardzie obywateli – i usiłowali sprzedać je w sieci.

Za cyfrowym murem

Władzom Chin udało się to, co jeszcze przed dekadą wydawało się niemożliwe. Skutecznie wydzieliły „swoją" część internetu i wprowadzają w niej własne zasady. Autorki wspomnianego raportu o cenzurze w chińskiej sieci zatytułowały go „Locknet" – w wolnym tłumaczeniu: „Sieć pod kluczem". Twierdzą, że kontrola nad internetem wykracza tu poza cyfrowy chiński mur. I że do pewnego stopnia chińskiemu systemowi przyglądają się nawet liberalne demokracje.

To prowadzi do jeszcze jednego pytania: skoro w świecie gwałtownie wzrasta koncentracja kapitału i tzw. władzy ekonomicznej, a siedem amerykańskich big techów, od Apple do Tesli, jest kontrolowanych przez wielkie korporacje zarządzające kapitałem, to czy rozwiązanie chińskie nie sprawdziłoby się w demokracjach? Może gdyby praworządne państwo kontrolowało nasze dane osobowe, bylibyśmy mniej narażeni na ich bezprawne wykorzystanie?

Tu na przeszkodzie stoją psychologia i inne postrzeganie prywatności w Chinach. „Sam termin »prywatność« był interpretowany jako coś wstydliwego, a nawet skandalicznego. Chińskie powiedzenie mówi: Jeśli nie chcesz, żeby inni o czymś wiedzieli, to przede wszystkim tego nie rób" – piszą w przekrojowym opracowaniu Xiaomei Zhai i Qiu Renzong z Chińskiej Akademii Nauk Medycznych w Pekinie.

Czy chińskie standardy związane z cyfrową tożsamością i cenzurą mogą więc być narzędziem nadzoru także poza Chinami? Czy grozi nam coś, gdy robimy zakupy na portalu Alibaba? – *Na razie nie, ale wprowadzeniu cyfrowych dowodów tożsamości w Chinach przyglądam się z obawą* – mówi Laura Edelson z Northeastern University. – *Myślę, że nowego systemu nie zaprojektowano z myślą o cenzurze, lecz w celu usprawnienia funkcjonowania w sieci. Niestety, ich efektywność musi pociągnąć za sobą ograniczenie prywatności i wolności słowa. W Chinach te wartości nie są priorytetowe.*

Dla Jessiki Batke kluczowe pytanie brzmi: czy chcemy, aby rząd miał dostęp do wszystkich naszych kont w mediach społecznościowych? W zachodnich demokracjach liberalnych jest to wciąż nie do przyjęcia.

MARCIN ŻYŁA

eprasa.pl 6b8abdb715

Manipulacje przy reinkarnacji

XIV Dalajlama skończył właśnie 90 lat. I choć nie wybiera się jeszcze w zaświaty, chińscy komuniści już dziś chcą zapanować nad jego kolejnym wcieleniem.

ADAM SZOSTKIEWICZ

© ELKE SCHOLIERS/GETTY IMAGES

Urodziny Dalajlamy obchodzono z radością, ale i z niepokojem, jak potoczy się sprawa Tybetu, gdy jego obecny przywódca duchowy odejdzie. Dalajlama zapowiedział, że dożyje 130 lat, co może nieco uspokoiło lojalnych wobec niego Tybetańczyków, ale już nie Pekin. Chińskie władze chcą mieć swojego dalajlamę. Taki lojalny wobec komunistów przywódca duchowy Tybetu domknąłby propagandowo i politycznie system kontroli Chin nad „krainą śniegu".

Marionetka Pekinu na tym stanowisku to czarny scenariusz dla obecnego Dalajlamy i tybetańskiej diaspory. Ktoś taki zacierałby pamięć o XIV Dalajlamie i jego pokojowej walce o prawa narodowe i kulturowe Tybetańczyków, uhonorowane przyznaniem mu pokojowego Nobla. Jeździłby po kraju i świecie, tak jak Czternasty, ale nie żeby promować sprawę Tybetu, lecz przekonywać, iż dopiero pod rządami chińskich komunistów Tybet wyszedł z epoki feudalnej teokracji i wkroczył w nowoczesność, której symbolem jest linia kolejowa Pekin–Lhasa. Bo gdy władze chińskie mówią o „modernizacji", tybetański rząd na uchodźstwie w Indiach mówi o „kolonizacji" Tybetu.

Rejon Himalajów odgrywa kluczową rolę w rywalizacji Chin z Indiami. Mają tam swoje interesy także Rosjanie i Amerykanie. To ogromne terytorium (1,2 mln km kw.) zamieszkiwane przez niewielki (4 mln) naród z historią dłuższą niż wiele innych państw, lecz dziś pozbawiony własnego. Delhi uznaje Tybet za część Chińskiej Republiki Ludowej, nie ma oficjalnych stosunków dyplomatycznych z tybetańskim rządem na uchodźstwie, ale od ponad 60 lat udziela Dalajlamie i uchodźcom z Tybetu schronienia.

Na uroczystości urodzinowe 6 lipca w Dharamsali, głównym ośrodku życia tybetańskiego w Indiach, stawili się lokalni i państwowi dygnitarze, a premier Narendra Modi wysłał do Dalajlamy list gratulacyjny. Pekin uroczystość skrytykował, a Indie stąpają tu po kruchym lodzie, bo zależy im na utrzymaniu dobrych stosunków z Chinami. Łatwo sobie wyobrazić ostrą reakcję Pekinu, gdyby – czego Dalajlama nie wyklucza – jego nową inkarnację lamowie znaleźli właśnie w Indiach.

Ta święta tradycja ma kilkaset lat. Wyrasta z buddyjskiej wiary w reinkarnację, czyli cykl narodzin, śmierci, ponownych

eprasa.pl 6b8abdb715

narodzin itd. Można się z niego wyzwolić dzięki naukom Buddy i ich praktykowaniu. Zdarzają się jednak przypadki osób już „przebudzonych", dojrzałych duchowo, które ślubują, że będą niosły pomoc mniej zaawansowanym, a cierpiącym. Za taką osobę uważa się Tenzina Gjaco, XIV Dalajlamę, pierwszego w hierarchii lamów ze szkoły „żółtych czapek", dziś najbardziej wpływowej w tybetańskim buddyzmie.

Według ich mistrzów duchowych kolejni dalajlamowie są inkarnacjami Awalokiteśwary, Buddy współczucia. Mogą sami wybrać czas i miejsce swej inkarnacji, przygotować zawczasu odpowiednie instrukcje dla lamów, którzy wyruszą na poszukiwanie reinkarnowanego. Taka jest wykładnia przyjęta w diasporze, wśród Tybetańczyków lojalnych wobec XIV Dalajlamy i wśród zachodnich sympatyków jego walki o tożsamość Tybetu. Jeden z nich, hollywoodzki aktor Richard Gere, który od lat wspiera Dalajlamę, był na urodzinach razem z synem. Podczas uroczystości, pochyliwszy się nisko, ucałował „prostego mnicha" w rękę.

Zdjęcie z tej sytuacji – na tle planszy z podobiznami Dalajlamy, Mahatmy Gandhiego, Martina Luthera Kinga, Nelsona Mandeli i św. matki Teresy z Kalkuty – obiegło w mig światowe media. Plansza to przesłanie – dalajlama należy do uniwersalnej cywilizacji praw człowieka. Na wszelki wypadek uroczystość ochraniali jednak funkcjonariusze służb indyjskich.

Stany Zjednoczone przez dekady zimnej wojny popierały moralnie i finansowo Dalajlamę i sprawę Tybetu w ramach promocji praw człowieka i powstrzymywania ekspansji komunizmu. Jednak tej wiosny prezydent Donald Trump kazał obciąć o prawie 90 proc. federalną pomoc amerykańską dla zagranicy. Cięcia uderzyły też w tybetański rząd na uchodźstwie, który stracił ok. 22 mln dol., czyli połowę swojego budżetu. Pod znakiem zapytania stanęła przyszłość wielu projektów, w tym Tybetańskiej Biblioteki Cyfrowej.

Na budżet tybetańskiego rządu składają się transze amerykańskie (40–50 proc.) i indyjskie (ok. 10 proc.), darowizny organizacji pozarządowych i dobrowolne składki diaspory. Zrobił się więc problem, choć Marco Rubio, sekretarz stanu w administracji Trumpa, wysłał do szefa rządu list z zapewnieniem, że sprawa Tybetu nie znika z agendy zagranicznej USA, a pomoc będzie kontynuowana. Być może, ale odejście XIV Dalajlamy raczej nie poprawi kondycji finansowej rządu tybetańskiego. Trzeba szukać nowych źródeł przychodów.

I tak wracamy do wolnej reinkarnacji. Paradoks polega na tym, że właśnie dlatego, iż XIV Dalajlama stał się rozpoznawalnym na całym świecie symbolem i wcieleniem sprawy Tybetu, zastąpienie go przez osobę mniej charyzmatyczną może tej sprawie zaszkodzić. A z pewnością poszerzy chińskie pole do działania. Jednocześnie tybetańska diaspora może się zradykalizować. Szczególnie że kompromisowy i pokojowy program XIV Dalajlamy – „środkowa droga" między niepodległością i autonomią – nie przyniósł spodziewanego rezultatu.

Obecny przywódca ChRL Xi Jinping stawia na centralizację i wielkochiński nacjonalizm. Nie ma mowy o eksperymentach z demokracją samorządową, jakiej pragnąłby Dalajlama. A dzięki reformatorskiej postawie tego ostatniego Tybetańczycy w diasporze (ok. 150 tys., połowa w Indiach) wybrali demokratycznie swój rząd i parlament na uchodźstwie, co ewidentnie uwiera Chińczyków. Dziś portrety XIV Dalajlamy w kontrolowanym przez Chiny Tybecie są zakazane. Demonstracje jego zwolenników – pacyfikowane. Niepokorni mnisi – represjonowani. A ci, którzy na znak protestu dokonują samospaleń – przedstawiani fałszywie jako ofiary antychińskiej propagandy tybetańskich separatystów i samego Dalajlamy.

Wszystko to dzieje się w sytuacji, gdy międzynarodowa pozycja Pekinu jest coraz silniejsza. A w takich okolicznościach sprawa Tybetu – bez niezależnego i rozpoznawalnego dalajlamy – może szybko zniknąć z globalnych mediów i polityki. Dlatego Pekin z góry odrzuca inkarnację wskazaną zgodnie z linią XIV Dalajlamy. Zrobi wszystko, by jak najprędzej po jego śmierci posłuszni komunistom lamowie w Tybecie wskazali inkarnację po myśli chińskich władz.

Już raz tego próbowali. 30 lat temu chodziło o panczenlamę, drugiego w hierarchii „żółtych czapek". Tytuł dalajlamy, „lamy o mądrości jak ocean", pojawił się w XVI w. Tytuł panczenlamy oznacza „wielkiego uczonego". Obaj czuwają nad przekazem wiary, są otaczani wielkim szacunkiem przez wyznawców i „współpracują" w sprawie reinkarnacji. Gdy XIV Dalajlama na wieść o śmierci ówczesnego panczenlamy wysłał do Tybetu potajemną misję rozpoznawczą w sprawie reinkarnacji zmarłego, Chińczycy postanowili pokrzyżować mu plany.

Wskazanego następcę, kilkuletniego chłopca, aresztowali. A z tzw. złotej urny wylosowano pod chińskim nadzorem nazwisko „prawidłowej" inkarnacji. Po chłopcu pierwotnie wskazanym przez lamów ślad zaginął. A panczenlama wybrany przez Chińczyków udziela się publicznie w tradycyjnej buddyjskiej szacie, chwaląc pekińską politykę. I zapewne taką metodą Chińczycy będą chcieli wskazać swego dalajlamę po śmierci Czternastego.

Obecny Dalajlama odrzucił procedurę złotej urny. Przypomniał, że jego poprzednik został rozpoznany jako inkarnacja swojego poprzednika na podstawie przepowiedni, technik wróżbiarskich i wizji lamów, ale bez udziału Chińczyków. Ostrzegł przy tym, że to niedopuszczalne, żeby chińscy komuniści – odrzucający religijną tradycję buddyzmu tybetańskiego, włącznie z samą koncepcją reinkarnacji – ingerowali w tak ważne dla Tybetańczyków kwestie.

W 2023 r. próbowano skompromitować XIV Dalajlamę, wykorzystując filmik, na którym prosi pragnącego się do niego przytulić małego chłopca, by pocałował go w usta i „possał język". Zdarzenie wywołało krytykę ze strony organizacji broniących dzieci przed wykorzystywaniem seksualnym. Dalajlama przeprosił chłopca, jego rodzinę i wszystkich zbulwersowanych. Duchowni buddyjscy tłumaczyli, że chodziło o tradycyjną w kulturze tybetańskiej formę powitania, okazania szacunku i przyjaznego nastawienia. A także o niewinny żart.

Dalajlama naraził się także na krytykę, gdy zażartował, że gdyby jego następcą była kobieta, to powinna być bardziej atrakcyjna. I kiedy oświadczył, że Europa nie może być dla muzułmanów czy Afrykańczyków, tylko dla Europejczyków.

Wpadki retoryczne zdarzają się prawie każdemu liderowi politycznemu czy religijnemu. Momentalnie podchwytują je i nagłaśniają do swoich celów ich przeciwnicy. Nie inaczej jest w przypadku XIV Dalajlamy, który od dziesięcioleci jest przecież na celowniku Pekinu, bo nie dał się zwasalizować. Pytanie, czy uda się to również jego następcy. ■

eprasa.pl 6b8abdb715

Malowana rzeka

MAREK OSTROWSKI

Najpierw aktualność. Od początku lipca, po wielu latach kosztownego oczyszczania wody, Paryżanie mogą pływać w Sekwanie na trzech kąpieliskach. Za spełnienie tej obietnicy mer Anne Hidalgo okrzyczano polityczką „chodzącą po wodzie". I zapomniano jej czarne karty: kolosalne zadłużenie Paryża, korki i brud na ulicach. Sekwana była ważną częścią widowiska otwarcia i zamknięcia igrzysk olimpijskich w zeszłym roku, ale potem znów wystąpiły problemy i dopiero teraz można naprawdę powrócić do dewizy Paryża na herbie miasta: *Fluctuat nec mergitur* – chybocze się, ale nie tonie.

Sekwana to odwieczna oś, kręgosłup Paryża. Najpierw ludzie osiedlili się na Île de la Cité – wyspie, którą rzeka chroni, obmywając jej brzegi. Stoi na niej właśnie odbudowana katedra Notre Dame, szpital Hôtel Dieu i Sainte Chapelle, czyli Święta Kaplica, perła gotyku, zbudowana dla przechowania korony cierniowej Chrystusa. Obok nad rzeką wznosi się Luwr, a kawałek dalej, naprzeciwko dawny dworzec kolejowy Gare d'Orsay, przerobiony na tak cenione dziś muzeum. Rzeka dzieli miasto na Rive Droite (prawy brzeg) i Rive Gauche (lewy brzeg). Ten prawy to portfel miasta – są tu siedziby banków, giełda i centra biznesowe, podczas gdy lewy brzeg to jego dusza – z Sorboną, Panteonem i Dzielnicą Łacińską.

Trzeba koniecznie przepłynąć po rzece statkiem. Patyna kamiennych brzegów rzeki i jej mosty – w tym ten najbardziej okazały, imienia cara Aleksandra III – jest nie do podrobienia. Spacer brzegami Sekwany w Paryżu to podróż przez całą historię, sztukę i klimat stolicy Francji. W 1991 r. nabrzeża Sekwany

wpisano na listę światowego dziedzictwa UNESCO za harmonijny związek architektury i krajobrazu.

Ale Sekwana to nie tylko Paryż. To także Rouen, stolica Normandii. Na starym rynku stoi tam krzyż – dokładnie w miejscu, gdzie 30 maja 1431 r. spalono na stosie Joannę d'Arc, dziś świętą i patronkę całego kraju. Co za refleksja nad polityką Kościoła! Owszem, trybunał kościelny skazał Joannę pod wpływem Anglików i jej proces był w dużej mierze polityczny. Ale i religijny,

© SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 6b8abdb715

Francję najlepiej oglądać z nurtu Sekwany – płynąc statkiem, a ostatnio nawet wpław. Cały splendor odbija się w jej wodach.

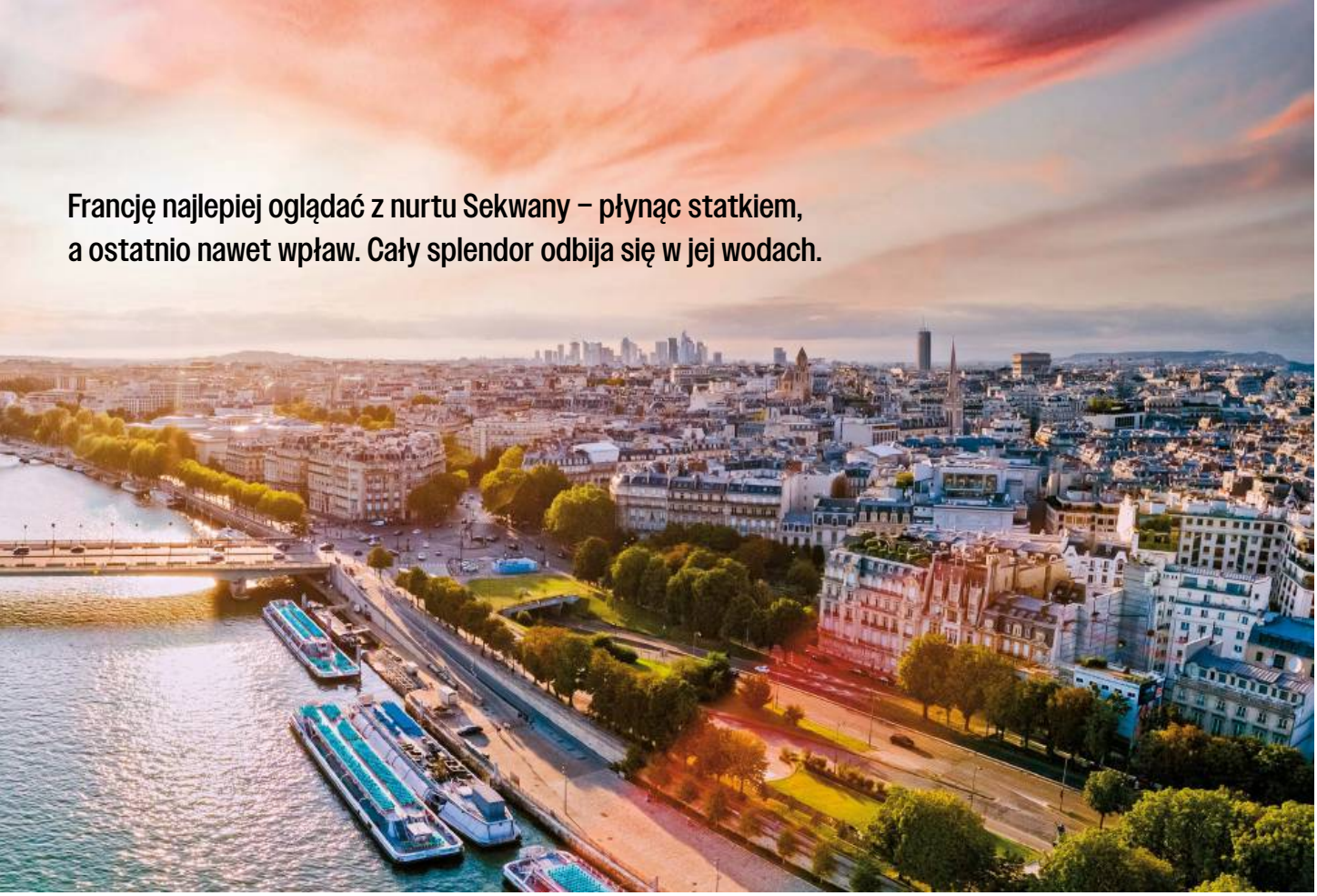

Sekwana dzieli Paryż na Rive Droite (prawy brzeg) – portfel miasta, i Rive Gauche (lewy brzeg) – jego duszę.

Obok: **dawny dworzec kolejowy Gare d'Orsay, dziś słynne muzeum, na lewym brzegu rzeki.**

bo uznano ją za heretyczkę: słyszała rzekomo głosy świętych. Z czasem Kościół zaczął jednak akceptować podobne wizje u innych kobiet, np. Teresy z Ávili.

Joanna d'Arc łamała średniowieczne normy genderowe – nosiła męskie stroje, dowodziła wojskiem, a jej autorytet wynikał z bezpośredniego „porozumienia z Bogiem", z pominięciem hierarchii kościelnej. Joannę zrehabilitowano jeszcze w XV w., ale jej kanonizacja w XX w. pokazuje, że Kościół może adaptować postaci historyczne do współczesnych potrzeb. I że również ta instytucja nie jest nieomylna. Droga od heretyczki do świętej stawia też pytanie, czy Kościół naprawdę uznał swoją winę, czy tylko wykorzystał Joannę jako symbol, łącząc religijny kult z patriotyzmem?

Z patronką Francji łączy się też nieistniejący już kościół Saint-Vincent, który padł ofiarą alianckich bombardowań w 1944 r. Na szczęście część jego słynnych XV-wiecznych witraży przetrwała, ponieważ zostały wcześniej zdemontowane i ukryte. Teraz zyskały drugie życie w zbudowanym po wojnie kościele św. Joanny d'Arc. Przyjrzyjcie mu się uważnie. Ma dach niby z płomieni – to aluzja do męczeńskiego stosu.

Koniecznie też wejdźcie do siedziby sądu w Rouen, Palais de Justice. Ten imponujący gotycki budynek to jeden z najważniejszych zabytków miasta. Jak to świadczy o pozycji niezależnej władzy! To blisko roueńskiej katedry Notre-Dame, uwiecznionej w całym cyklu obrazów Claude'a Moneta. Rouen jest ściśle związane z Sekwaną: stoi tam most Gustawa Flauberta, najwyższy zwodzony w Europie. Francja nie byłaby Francją, gdyby konstrukcji inżynierskich nie nazywano imionami pisarzy.

Z Rouen w stronę Hawru na długości niemal 100 km Sekwana podąża do oceanu meandrami i mokradłami, przez lasy, bagna, klify i łąki. To od pół wieku park Zakoli Sekwany. Wspaniałe krajobrazy i nie tylko sama przyroda, lecz także wiele malowniczych wiosek, majestatycznych opactw i zamków o bogatej historii. „Wybierz się na piechotę, na rowerze lub łodzią" – głosi reklama parku. Honoré de Balzac wkłada w usta jednego ze swych bohaterów patrzących na Sekwanę zdanie: „Bóg jest wielkim pejzażystą". A jeśli nie Bóg, to malarze. ▶

eprasa.pl 6b8abdb715

▶ **W epoce, kiedy w Paryżu o sławę walczyło więcej malarzy na kilometr kwadratowy niż gdzie indziej na świecie, Sekwana zrodziła impresjonizm** – najchętniej oglądany styl malarstwa. Armia jego amatorów pracowała nad brzegami tej rzeki. Monet mówił: „Sekwana nie jest tłem, ona sama jest tematem – jej światło, mgła, ruch wody". Pierre-Auguste Renoir w liście do przyjaciela pisał: „Nad Sekwaną kolory żyją. Każda godzina, każdy dzień to nowy obraz". I jeszcze Rousseau, Sisley, Pissarro, Turner...

Woda oddawała istotę impresji, wrażenia. Impresjoniści traktowali światło jako głównego bohatera obrazu, a Sekwana – jako naturalne lustro – pozwalała im badać rozszczepienie kolorów i efekt migotania. Pokazywali, że to samo miejsce, np. słynny most w Argenteuil, wygląda inaczej o różnych porach dnia. Impresjonizm był więc nie tylko stylem, ale też nowym sposobem widzenia świata, gdzie ulotne światło i jego odbicia stawały się ważniejsze niż realistyczne detale.

Obrazy takie jak „La Seine à Argenteuil", „Le Pont de Chatou" czy „The Banks of the Seine at Champrosay" nie tylko dokumentowały pejzaż, ale również utrwaliły atmosferę wolności, beztroski i zachwytu nad naturą, tworząc symboliczny most między sztuką a codziennością. I – uwaga – to nie jest tylko historia. Wiele z tych namalowanych miejsc oczywiście się zmieniło, lecz często zachowało ten sam klimat i barwy, dzisiejszy wrażliwy turysta może doznać tych samych wrażeń, co artyści sprzed półtora wieku.

A dlaczego akurat tam? Impresjoniści odrzucali malarstwo studyjne na rzecz pleneru, co wymagało łatwego dostępu do pejzaży.

Argenteuil, Bougival, Chatou leżały blisko Paryża (dojazd koleją zajmował pół godziny), ale oferowały wiejski spokój, ogrody i rzekę. Monet wręcz zamieszkał na jakiś czas w Argenteuil; kwitło tam żeglarstwo i życie towarzyskie, co dostarczało tematów (obraz „Regaty w Argenteuil").

Bougival i Chatou miały przystanie, tawerny zakotwiczone na rzece, jak słynna La Grenouillère (po polsku żabiarnia), którą malowali Renoir i Monet. Argenteuil i okoliczne osady były jeszcze wówczas wsiami lub małymi miasteczkami, gdzie wynajem domów i pracowni był znacznie tańszy niż w centrum stolicy. Turysta nie może dziś liczyć na to samo.

A tezę, że ten sam obiekt inaczej wygląda w różnych porach dnia, najlepiej przestudiować w Giverny. To kultowe miejsce: dom i ogród Moneta. Wielki malarz mieszkał tam i tworzył przez 43 lata. Obok „lądowego" ogrodu jest też ogród wodny, ze słynnym stawem z nenufarami czy liliami wodnymi. Ogród Moneta – eksplozja kolorów – to również w dużej mierze dzieło artysty. Malarz interesował się ogrodnictwem, zatrudniał ogrodników, kupował tematyczne książki, sprowadzał rośliny, sam je sadził i pielęgnował.

Sekwanie nie szczędzili pochwał również poeci. Rzeka była odbiciem stanu ich ducha. Guillaume Apollinaire (właściwie: Wilhelm Apolinary Kostrowicki) w słynnym wierszu pisał: „Pod mostem Mirabeau płynie Sekwana i niejedna miłość...". Paul Verlaine w „Chanson d'automne" („Jesienna piosenka") pisał o melancholii, a w tle tych słów pobrzmiewa obraz szarych wód Sekwany. To jeden z najbardziej rozpoznawalnych tekstów francuskiej poezji XIX w. „Chanson d'automne" była wielokrotnie tłumaczona na polski, od Staffa, poprzez Grochowiaka, Ważyka, Zofię Boyé, aż po Wirpszę – każdy nadał mu nieco inny ton i rytm.

Fragment tego wiersza alianci wykorzystali jako sygnał radiowy z Londynu dla francuskiego ruchu oporu przed inwazją w D-Day, 6 czerwca 1944 r. Pierwszy wers – „Długie łkania skrzypiec jesieni" – nadany pięć dni wcześniej oznaczał, że inwazja jest bliska i że ruch oporu powinien być w gotowości. Hasło do działania, nadane wieczorem 5 czerwca 1944 r., potwierdzało lądowanie w ciągu 48 godzin, a sabotaż, niszczenie niemieckich linii komunikacyjnych i mostów, ma się rozpocząć natychmiast.

Gigant francuskiej literatury Wiktor Hugo też podziwiał Sekwanę, nadawał jej znaczenie filozoficzne: „Sekwana płynie jak czas – nigdy nie wraca, zawsze niesie ze sobą nasze wspomnienia". Z jego życiem i rzeką wiąże się także osobista tragedia. Ukochana córka Hugo Léopoldine zginęła w katastrofie na Sekwanie

© SHUTTERSTOCK, BE&W (2)

eprasa.pl 6b8abdb715

Sekwana to nie tylko Paryż. To także Rouen, stolica Normandii.

Po prawej: **roueńska katedra Notre-Dame na jednym z cyklu obrazów Claude'a Moneta.**

Po lewej: **regaty w Argenteuil uwiecznione przez Moneta.**

w Villequier. Jacht, na którym płynęła z mężem, wywrócił się, czy to z powodu szkwału, czy cofki, czyli docierającej tam fali przypływowej z morza, tzw. *mascaret*, która wpływała w górę rzeki, tworząc niebezpieczne zawirowania. Mascaret jest obecnie rzadszy z powodu regulacji rzeki, ale w XIX w. był groźnym zjawiskiem, fale sięgały nawet 2–3 m. W kościele w Villequier znajduje się grób Léopoldine. Hugo, pogrążony w żałobie, przestał pisać na kilka lat, a potem stworzył m.in. „Nędzników", gdzie wątek utraty dziecka ma osobisty wymiar.

Pisarz i poeta poświęcił córce jeden ze swoich najsłynniejszych liryków, pełen ciszy, tęsknoty i rytuału pamięci. Mój przyjaciel, nauczyciel z Normandii, zachęcał uczniów, by uczyli się go na pamięć. To opis corocznej pielgrzymki pisarza na grób córki w Villequier. „Jutro, o brzasku, kiedy dnieje wieś – wyruszę. Widzisz, wiem, że na mnie czekasz. Pójdę przez las, przez górę...".

Z Villequier z biegiem rzeki już niedaleko do estuarium Sekwany, gdzie u jej ujścia do oceanu na prawym brzegu leży Hawr, a na lewym – malowniczy port Honfleur. Oba warte podróży. Hawr, drugi po Marsylii nad Morzem Śródziemnym największy port Francji, trafił na listę UNESCO. Nie dlatego, że to stare średniowieczne miasto (bo takiego już tam prawie nie ma), tylko wręcz przeciwnie – za wyjątkową powojenną odbudowę w duchu modernizmu.

We wrześniu 1944 r. alianci, borykający się z niedostatecznym postępem wojsk po D-Day, bombardowali Hawr, by wyprzeć Niemców. Miasto zostało poważnie zniszczone, a historyczne centrum przestało istnieć. Rząd francuski zlecił odbudowę wybitnemu architektowi i teoretykowi modernizmu Augustowi Perretowi. Uważał żelbet za „nowy kamień" – materiał godny monumentalnej, eleganckiej architektury. Zaprojektował nowoczesne miasto z żelbetu, z regularnym układem szerokich ulic i funkcjonalnymi budynkami. Zachował przy tym humanistyczny wymiar – przestrzenie publiczne, place, światło, zieleń. Ciekawy jest też kościół św. Józefa z wieżą przypominającą latarnię morską, wysoką na 107 m.

Polecałem tu podróż od Paryża w dół Sekwany. A przecież Sekwana jest też ciekawa od Paryża w górę rzeki, aż do źródeł w Burgundii. Można o tym bez końca. Ale w sumie kreślę tu obraz nieco idylliczny. Trzeba przypomnieć Napoleona, który powiedział: „Hawr, Rouen i Paryż są jednym miastem, którego Sekwana jest główną ulicą". W epoce cesarza rozpoczęły się prace modernizacyjne w owej pięknej dolinie Sekwany: prostowano i pogłębiano koryto, zmniejszano liczbę zakoli, kopano kanały, budowano tamy i śluzy. Dzięki temu rejs między Paryżem i Hawrem stał się szybszy i bardziej wydajny.

Sekwana jest dziś bardziej żeglowna, lecz straciła obszary zalewowe i część ekosystemów. Opisany wyżej park Zakoli Sekwany powstał w 1974 r. właśnie po to, aby chronić starorzecza, mokradła i siedliska ptaków wędrownych, m.in. kormoranów i czapli. Od końca XX w. prowadzone są prace częściowo przywracające naturalny charakter rzeki. Tu wracam do kąpieli – z powodu silnego skażenia wody i intensywnej żeglugi pływanie w Sekwanie było bezwzględnie zakazane od 1923 r. Przez sto lat! Stopniowo więc nowoczesność przybiera inny kształt.

Ale uwaga: Sekwana ciągle pozostaje jedną z najbardziej zanieczyszczonych dużych rzek w Europie. Chodzi zwłaszcza o polichlorowane bifenyle (PCB), które są trwałymi zanieczyszczeniami organicznymi. Władze Francji podjęły ogromne wysiłki, aby poprawić jakość wody, według różnych szacunków wydano na to ponad miliard euro.

Wisła i Odra mają podobne problemy z zanieczyszczeniami przemysłowymi. Ren, Dunaj i Tamiza też borykają się z mikroplastikami, pestycydami i farmaceutykami, ale są lepiej monitorowane i mają mniejsze problemy z PCB. Może rzeczywiście inne rzeki cieszyły się większymi względami niż Sekwana, ale na pewno nie miały za sobą tylu malarzy i poetów.

MAREK OSTROWSKI

eprasa.pl 6b8abdb715

Po nitce

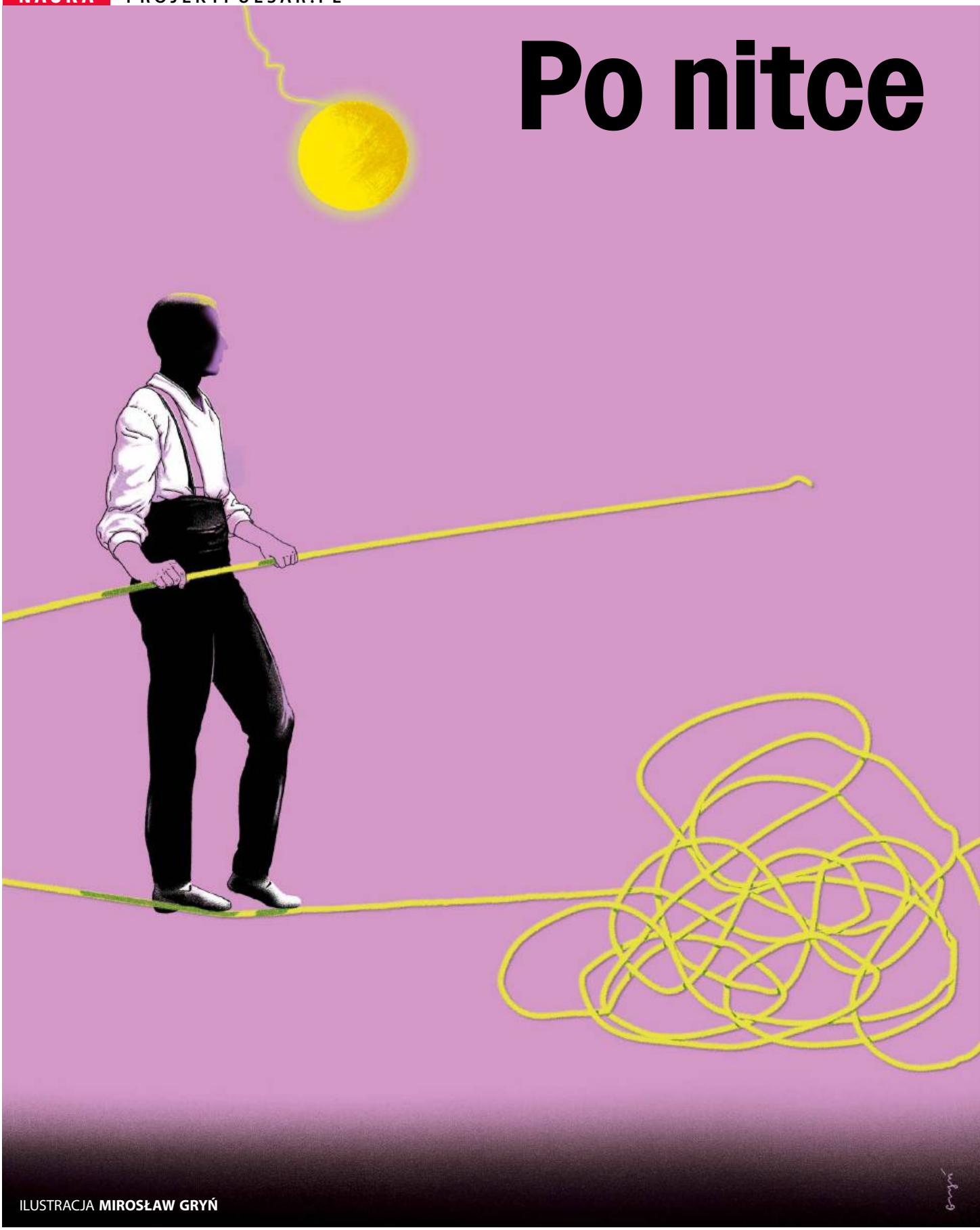

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

eprasa.pl 6b8abdb715

do szczęścia

Co zrobić, żeby poczuć zadowolenie z życia? W razie poważnych wątpliwości – cokolwiek. Rozmowa z prof. Łukaszem Kaczmarkiem, psychologiem z UAM, specjalistą od pozytywnych emocji.

KASPER KALINOWSKI: **– Został pan redaktorem naczelnym „Journal of Happiness Studies", wiodącego czasopisma poświęconego problematyce szczęścia. Gratulacje!**

ŁUKASZ KACZMAREK: – Dziękuję! To dla mnie ogromne wyróżnienie. Kilkanaście lat temu nie byłem pewien, czy uda mi się coś opublikować w czasopiśmie, które przyjmuje jedną na dwadzieścia zgłoszonych prac. Gdybym usłyszał wówczas, że będę miał możliwość objęcia sterów i decydowania o kierunku rozwoju tego periodyku, poprosiłbym, żeby mnie ktoś uszczypnął. „Journal of Happiness Studies" został stworzony i był rozwijany przez wybitnych specjalistów w obszarze szczęścia: Eda Dienera, Ruuta Veenhovena, Alexa Michalosa i Antonellę Delle Fave. Ma bardzo mocne wskaźniki bibliometryczne pokazujące, że publikowane w nim prace wywierają duży wpływ na dalszy rozwój dyscypliny. Przejmuję więc pałeczkę nie bez drżenia rąk. To też wyróżnienie dla krajowej nauki i mojej instytucji. Guzik z napisem „accept" będzie znajdował się teraz w Polsce, a dokładniej – w Poznaniu.

Sporo osobistego szczęścia, ale i spora odpowiedzialność.

Jest duża presja, aby utrzymać wysoki poziom czasopisma. Mówi się, że w niektórych artykułach naukowych autorzy rozwiązują problemy, jakich nikt nie ma. Jednym z moich zadań jest to, aby ukazywały się tylko te prace, które wnoszą coś realnie nowego i wartościowego.

Opublikowano już co najmniej kilkadziesiąt prac naukowych, w których znajdowały się frazy typowe dla ChatGPT, bezmyślnie przeklejane przez autorów. Czy sztuczna inteligencja zmienia proces powstania publikacji, recenzowania i redagowania?

To proceder najłatwiejszy do wykrycia, więc pod pewnym względem najmniej groźny. Jako redaktor oraz autor parokrotnie miałem podejrzenia graniczące z pewnością, że recenzje, które otrzymałem, zostały wygenerowane przez AI (na marginesie: kłopotliwa sprawa, ale jeśli chodzi o treść, wcale nie były złe...). Mam świadomość, że proces redakcyjny może się zasadniczo zmienić. Jesteśmy na początku rewolucji. AI to skalpel. Można robić nim niesamowite rzeczy, ale łatwo się skaleczyć. Najlepsze połączenie to inteligencja ludzka plus sztuczna. Najgorsze – próba maskowania drugą braku pierwszej.

Kiedyś AI będzie sama pisać teksty, a następnie je recenzować?

Dynamika rozwoju AI jest ogromna, więc wybieganie w dalszą przyszłość to tylko spekulacje. Cel psychologii to rozwikłanie tajemnicy, jaką jest człowiek. Jeżeli powstaną narzędzia, które będą nas przybliżać do tego celu, to trzeba je rozważnie zaadaptować. Na podobnej zasadzie nikt nie prowadzi już analiz statystycznych ręcznie. Wielu naukowców nie do końca rozumie, na czym polegają te obliczenia. Wszystko opiera się na zaufaniu. A rola naukowca sprowadza się do wyboru odpowiednich testów i ustawień oraz naciśnięcia przycisku „start". Myślę, że niedługo uda się wypracować systemy wytrenowane na danych naukowych z wieloetapowym systemem weryfikacji. Ciekawie będzie wrócić do tej rozmowy za pięć lat.

Psychologia to szeroki obszar badawczy. Nie można jej zawęzić do pytania, czy człowiek czuje się szczęśliwy, czy nie.

Można i nie można. Nie można, ponieważ rzeczywiście pytania o szczęście ludzie nie zadają sobie zbyt często. Robią to na ogół dopiero wtedy, kiedy zaczynają być nieszczęśliwi. Podobnie jest ze zdrowiem. A niezależnie od tego, czy sobie zadają takie pytanie, czy nie, to często twierdzą, że i tak niewiele mogą w zakresie szczęścia zrobić – albo się jest szczęśliwym, albo nie. Umiarkowani optymiści twierdzą, że jedyne, co można zrobić, to zrozumieć przyczyny. Człowieka charakteryzuje tzw. tendencja do negatywności. Nasza świadomość to detektor trudności. Rzadko się aktywizuje, dopóki nie natrafimy na przeszkodę lub ból.

Szczęśliwi jesteśmy więc nieświadomie?

W pewnym sensie tak. Niekiedy ten brak świadomości i koncentracji na sobie jest wręcz kryterium definicyjnym szczęścia. W przypadku tzw. optymalnego doświadczenia, znanego szerzej jako *flow*, ludzie są tak zaangażowani w działanie i tak skoncentrowani na tym, co robią, że zapominają o sobie i o całym świecie. I to bardzo miłe uczucie. Na początku badano ten proces u artystów, którzy zanurzają się w procesie twórczym, ale później zaobserwowano, że *flow* i *microflow* pojawiają się praktycznie w każdym obszarze życia.

Ale *flow* to chyba niekoniecznie szczęście? Zresztą wielu artystów postrzegamy raczej jako osoby nieszczęśliwe, skonfliktowane.

Wchodzimy w bardzo ważny obszar tego, co według psychologii jest szczęściem. I tutaj można je zdefiniować wymijająco: człowiek jest szczęśliwy wtedy, kiedy uważa, że jest szczęśliwy.

Podobnie jak inteligencja jest tym, co mierzą testy na inteligencję?

Tak. Dla psychologów pojęcie inteligencji jako takiej ma drugorzędne znaczenie. Na ogół patrzy się na nią jak na konstrukt złożony z różnych przejawów czy też aspektów inteligencji. I dopiero opisując każdy z nich, tworzymy pełniejszy obraz inteligencji człowieka. Podobnie, przyglądając się temu, czym jest szczęście, możemy to uszczegółowić. Na ogólnym poziomie szczęście jest tym, co stanowi końcowy cel ludzkiego dążenia. Cel sam w sobie. Nie chodzi mi tutaj tylko o ostateczny cel egzystencji, ale również o lokalne motywy naszych codziennych działań. Mówi się, że szczęście to ostateczny środek płatniczy. Wypłata w czymś, ▶

eprasa.pl 6b8abdb715

▶ za co niczego innego nie chcemy kupować. Jeżeli żyjemy świadomie i rozumnie, to wszystko, co robimy, do czegoś prowadzi i kiedy pójdziemy po nitce do kłębka i zobaczymy, co jest na końcu, to tym na ogół jest szczęście.

Czy to znaczy, że wszystkie nasze działania muszą prowadzić do szczęścia?

Niekoniecznie, ale niektóre cele można uznać za ostateczne, czyli takie, które już niczemu więcej nie muszą służyć, żebyśmy uznali, że to o to właśnie chodziło. Na przykład pozytywne emocje. Wiele rzeczy robimy po to, żeby je poczuć. Ale kiedy ich doświadczamy, to nie myślimy już o tym, że przeżywamy je w jakimś celu. To już jest cel sam w sobie. To już jest kłębek. Podobnie satysfakcja z życia, kolejny fundament szczęścia. Wiele rzeczy robimy, żeby być zadowolonym z życia, ale nie zastanawiamy się już nad tym, dlaczego chcemy być zadowoleni z życia. To cel sam w sobie.

To się wydaje bardzo proste, a mimo to wielu ludzi nie osiąga tego celu. Nie ma pojęcia, dlaczego nie są szczęśliwi i co mieliby właściwie robić, żeby być.

Bo proste jest zdefiniowanie samego szczęścia. Jako zadowolenie z życia w całości i z poszczególnych jego obszarów oraz korzystny bilans emocjonalny, czyli dużo pozytywnych emocji i mało negatywnych. To aspekt hedonistyczny. Do tego trzeba dodać tzw. aspekt eudajmonistyczny. Hedonista chce czuć się w określony sposób. A eudajmonista chce być określonym typem człowieka i chce, żeby jego życie miało określony kształt, niezależnie od tego, jakie są tego koszty emocjonalne czy poczucie codziennej satysfakcji. Centralną kategorią w takim podejściu jest poczucie sensu. Możemy mieć poczucie sensu pomimo braku satysfakcji z życia i niekorzystnego bilansu emocjonalnego. Może być to życie oparte na poświęceniu, kiedy człowiek nawet cierpi w imię realizacji jakiejś wizji świata lub siebie jako osoby.

Czy szczęście można analizować? Czy nie jest czymś nieuchwytnym?

Do uchwycenia szczęścia niezbędne jest zbudowanie odpowiedniej teorii. Jeżeli dobrze ujmiemy sam przedmiot, to możemy go już oglądać z różnych stron. I nie tylko metodami racjonalnej refleksji, która jest domeną filozofów. Możemy stosować wszelkie metody dostępne w psychologii, takie jak badania kwestionariuszowe, niekiedy na ogromną skalę, czy też eksperymenty psychologiczne w ściśle kontrolowanych warunkach.

Tylko czy temat szczęścia nie jest już wyeksploatowany? Jak sam pan wspomniał, refleksja nad nim toczy się od tysięcy lat.

Nie jest, ponieważ tę siatkę pojęciową nakładamy na coraz nowsze zjawiska, np. nowe technologie, takie jak media społecznościowe czy też wspomniana już sztuczna inteligencja. Takie zjawiska często przedstawiane są jako coś, co ma ludzkość uszczęśliwić. Często jednak okazują się bardziej złożone, niż to się początkowo wydaje, i wymagają zbadania, jakie ich aspekty są rzeczywiście korzystne, a jakie wręcz przeciwnie.

W przypadku AI zderzają się dwie skrajne wizje. Z jednej strony pozwala snuć opowieści o krainie powszechnej szczęśliwości, gdzie maszyny przejmują pracę, a ludzie otrzymują dochód gwarantowany. Z drugiej – stawia nas nad egzystencjalną przepaścią. To prawda, toczy się dyskusja, jak zdefiniować i jak przeprowadzić proces dostosowania AI do potrzeb człowieka. Określa się to angielskim słowem *alignment*. Jak sprawić, żeby dzięki osiągnięciom technologicznym ludzie stawali się szczęśliwsi? To nowe obszary badawcze, a refleksja o ludzkim szczęściu staje się znów jednym z centralnych tematów psychologii.

Czy są jakieś obszary dzisiejszych badań, które mogą wydawać się szczególnie odkrywcze? Czy udaje się wykazać coś, czego zwykły człowiek nie wie?

Dla mnie najciekawsze są badania nad interwencjami psychologicznymi, które mogą sprawić, że ludzie stają się szczęśliwsi. Często są to zestawy prostych ćwiczeń, które ułatwiają nabycie odpowiednich nawyków. Angażują różne procesy psychologiczne, o których wiemy, że mocno rezonują z ludzkim szczęściem. Oparte są na mocno amerykańskim podejściu do tematu. Zamiast się zastanawiać, czy w ogóle można coś zrobić, żeby być szczęśliwszym, po prostu zróbmy to i zobaczmy, jakie będą skutki.

Pragmatyzm amerykański ma obecnie złą prasę.

Ale w nauce często się sprawdza. Europejczycy niekiedy mają problem z przejściem do fazy działania. Nic nie jest tak praktyczne jak dobra teoria, ale my czasem na teoriach poprzestajemy.

Bardzo znane i skuteczne są ćwiczenia pomagające rozwijać uważność, czyli *mindfulness*. To współczesna nomen omen reinkarnacja filozofii buddyjskiej, ale w dużej mierze również stoicyzmu. Podobne efekty daje również praktykowanie wdzięczności, która jest nie tylko miłym uczuciem i wypełnia umysł pozytywnymi myślami, ale i pociąga za sobą dobre następstwa społeczne. Wdzięczność tworzy spiralę wzajemnej życzliwości. Bardzo pouczające są dla mnie również wyniki badań aktywizmu. Nie koncentrują się one na tym, co mielibyśmy robić, tylko na tym, żeby rzeczywiście to robić. Żeby wyrwać się z bierności i dążyć do tego, co uznajemy za wartościowe. Skończyliśmy niedawno realizację projektu kierowanego przez dr hab. Agnieszkę Bojanowską, w którym patrzyliśmy na bardzo żywe obecnie zjawisko aktywizmu.

Aktywizm jako droga do szczęścia?

My badaliśmy aktywizm osobisty, czyli zwiększenie zaangażowania w realizację własnych wartości. Jak to się mówi: nie słowa, tylko czyny. Zachęcaliśmy ludzi, aby w większym stopniu realizowali wyznawane wartości, robili coś na ich rzecz. Efekty w zakresie wzrostu szczęścia były praktycznie takie same jak przy praktykach *mindfulness*. Nie tylko wzrosły pozytywne aspekty, ale i rozładowały się negatywne emocje. Jednakże te działania nie tylko przynosiły korzyści samym uczestnikom badań, ale też – jak można przypuszczać – mogły coś dobrego wnieść do świata, skoro oparte były na wartościach. To chyba najbardziej konstruktywna forma dążenia do szczęścia, ponieważ niesie w sobie mocny ładunek moralny. Może sprawiać nie tylko, że czujemy się dobrze, ale też mamy poczucie, że jesteśmy dobrym człowiekiem.

ROZMAWIAŁ KASPER KALINOWSKI

Dr hab. **Łukasz Kaczmarek** jest profesorem psychologii na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Kieruje Zakładem Psychologii Społecznej. Twórca Laboratorium Psychofizjologii UAM: Positive Gaming & Streaming. Zajmuje się m.in. korzyściami z doświadczania pozytywnych emocji w różnych kontekstach, od relacji intymnych po gry komputerowe. Redaktor naczelny „Journal of Happiness Studies". Współpracuje z Uniwersytetem Stanforda. Prowadzi na YouTube kanał Psychologia & Gaming.

© ŁUKASZ CYNALEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 6b8abdb715

„Łączka" na warszawskich Powązkach. Spośród wydobytych tu szczątków 200 osób zidentyfikowano 80 ofiar stalinizmu.

Laboratoria pamięci

Jeszcze niedawno identyfikacja ofiar z masowych grobów była grą przypadku. Dziś to wyrafinowana operacja naukowa. Ale precyzja ma swoją cenę.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Wiosną tego roku w dawnej wsi Puźniki na Podolu ekshumowano szczątki 42 osób. W większości kobiet i dzieci zamordowanych w lutym 1945 r. podczas pacyfikacji wsi przez oddziały UPA. Zostały one pochowane na obrzeżu nekropolii w zbiorowej mogile sanitarnej. Wykopaliska były pierwszym od lat przykładem współpracy polsko-ukraińskiej w tej delikatnej dziedzinie. Archeolodzy, antropolodzy i genetycy z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego (PUM) w Szczecinie, IPN oraz ukraińskiej grupy „Wołyńskie Starożytności" wydobyli szczątki, pobrali i zabezpieczyli próbki DNA. W mogile znaleziono 172 przedmioty, w tym medaliki i krzyżyki wskazujące, że ofiary były pochodzenia polskiego. Kluczowe dla ustalania ich tożsamości będą jednak badania wykorzystujące DNA krewnych pomordowanych.

Po raz pierwszy sięgnięto po tę metodę podczas wykopalisk na „Łączce" na Powązkach, czyli w kwaterze, w której pochowano ofiary powojennego reżimu komunistycznego, m.in. generała Augusta Fieldorfa i rotmistrza Witolda Pileckiego. Była to wówczas na poły oddolna inicjatywa, bo wielu krewnych pomordowanych dobrowolnie oddało swój materiał genetyczny. Mało kto wierzył w sukces, gdy jednak po trzech miesiącach udało się zidentyfikować trzy pierwsze osoby, wszyscy się przekonali, że jest to możliwe. Dziś spośród 200 szczątków tam znalezionych znana jest tożsamość 80 osób, w tym Hieronima Dekutowskiego „Zapory", Danuty Siedzikówny „Inki" czy Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki". Sukces „Łączki" otworzył drogę do dalszych projektów.

W 2012 r. prof. Andrzej Ossowski z PUM, odpowiadający za badania genetyczne na „Łączce", wdrażając standardy identyfikacji stosowane w Disaster Victim Identification (patrz ramka), zaczął tworzyć Polską Bazę Genetyczną Ofiar Totalitaryzmów (PBGOT). Dziś jest w niej ok. 2500 profili z materiału kostnego oraz taka sama liczba próbek porównawczych, dzięki którym udało się dokonać ok. 200 identyfikacji. Drugi zbiór, Baza Materiału Genetycznego (BMG), zaczął być gromadzony, gdy w 2016 r. w IPN powołano Biuro Poszukiwań i Identyfikacji. Bardzo przyspieszył prace opracowany przez FBI na potrzeby kryminalistyki program CODIS, który porównuje wyniki profilowań materiału kostnego ofiar i DNA potencjalnych krewnych. Dzięki niemu spośród 2500 szczątków z ponad 1 tys. stanowisk udało się ustalić tożsamość 278 osób.

Obydwie te bazy stale rosną, także dlatego, że badacze znacznie aktywniej zaczęli poszukiwać najbliższych krewnych znajdowanych ofiar. Odzew był spory, ale identyfikacja to nadal żmudny proces, bo nie zawsze udaje się uzyskać najlepszy materiał dający pewność. Dlatego IPN czasami też pobierał próbki z grobów rodziców, z dobrym skutkiem, ale zdarzało się też ▶

© EWA TYLUS/IPN

eprasa.pl 6b8abdb715

▶ ustalać nieznane nawet najbliższym powiązania rodzinne, jak adopcje czy zdrady. – *Nadal jednak nie udało się namierzyć szczątków gen. Fieldorfa i rot. Pileckiego, co może wiązać się z tym, że część kwatery na „Łączce" zniszczono i z ok. 350 pochowanych tam osób znalezionych jest ok. 200 ciał* – mówi prof. Ossowski.

Pomimo że BMG i PBGOT funkcjonują osobno, uzupełniają się, tworząc jeden z ważniejszych systemów identyfikacji ofiar totalitaryzmów XX w. w Europie. Ponieważ większość znajdowanych szczątków pozostaje anonimowa, badacze zbierają i zabezpieczają materiały genetyczne osób, które potraciły bliskich w różnych sytuacjach, licząc, że z czasem znajdą dopasowanie. Przykładem jest Huta Pieniacka, dziś na terenie Ukrainy, gdzie w 1944 r. UPA zamordowała 1100 Polaków. Zawczasu zgromadzono materiał genetyczny od bliskich wielu z nich. W przyszłości, gdy uda się doprowadzić do prac ekshumacyjnych, może pomóc w ustaleniu tożsamości zamordowanych. Na razie może się to udać w Puźnikach.

Rewolucja technologii

Dzięki odzewowi krewnych pomordowanych puźniczan prof. Ossowski ma materiał umożliwiający identyfikację 61 z ok. 100–120 zaginionych. Na razie ekshumowano pochowanych w jednej mogile – reszta ofiar trafiła do grobowców rodzinnych, część do jeszcze jednego grobu masowego, który czeka na namierzenie, a byli i tacy, których ciała spłonęły w domach i być może ich szczątki pochowano w pobliżu pogorzelisk. Badacz podkreśla, że sytuacja w Puźnikach jest łatwiejsza niż na „Łączce", ponieważ tam poza ofiarami komunizmu leżeli też zbrodniarze wojenni i zwykli przestępcy, a w Puźnikach, w wyeksplorowanym grobie, są tylko ciała zamordowanych w nocy z 12 na 13 lutego 1945 r. – *Z drugiej strony, w odróżnieniu od badań na Powązkach, brakuje nam materiału genetycznego najbliższych zmarłych osób, jak dzieci czy wnuki, ponieważ zginęły tam całe rodziny. Musimy więc korzystać z DNA zstępnych krewnych – dalszych kuzynów i ich dzieci. Baza danych będzie zatem dużo bardziej skomplikowana i musimy sięgnąć po niestosowaną dotąd metodę – genealogię genetyczną, polegającą na analizie dużych fragmentów genomu.*

Zazwyczaj porównuje się kilkadziesiąt miejsc (locusów) w genomie, ale w tym wypadku będą ich tysiące. Identyfikacja jednej ofiary, np. matki, pozwoli jednak zidentyfikować dzieci, które z nią leżą. To nic, że w przypadku tych pierwszych można badać tylko tzw. mitochondrialne DNA (dziedziczone po kądzieli). Na „Łączce" był to problem, ponieważ ówczesne analizy mtDNA były znacznie mniej zaawansowane, ale dziś stosuje się analizę całego genomu mitochondrialnego, dzięki której udaje się uzyskać więcej informacji genetycznych.

Gdy przeprowadzano ekshumacje w Charkowie, Miednoje i Katyniu na początku lat 90. XX w., badania genetyczne dopiero raczkowały, a kości, które zalegały od 1940 r. w wilgotnej glebie, były w fatalnym stanie. Dziś sekwencjonowanie nowej generacji daje takie możliwości, że być może identyfikacja byłaby możliwa. – *Coraz częściej w przypadku szczątków z czasów drugiej wojny światowej i młodszych udaje się pozyskać dobrej jakości materiał DNA. Zdarzyło się, że mieliśmy fragment kości udowej stanowiący 5 proc. szkieletu i doszło do identyfikacji* – informuje prof. Ossowski.

Mimo to, gdy patrzy na wydobyte z grobów szczątki, nie od razu jest w stanie powiedzieć, czy na pewno uda się z nich uzyskać całe DNA. To może się okazać dopiero w laboratorium, bo czasami w doskonale zachowanych szkieletach są inhibitory (jak produkty rozkładu roślin czy substancje chemiczne), które uniemożliwiają wyizolowanie materiału genetycznego. Czasem zaś kości są w opłakanym stanie, mimo to bez problemu udaje się go wyekstrahować. W grobach masowych dochodzi do znacznie szybszego rozkładu materiału genetycznego, co sprawia, że klasyczny proces PCR (łańcuchowa reakcja polimerazy), służący do namnażania fragmentów

Puźniki, zachodnia Ukraina. Ze zbiorowej mogiły ofiar UPA ekshumowano szczątki 42 osób.

© VLADYSLAV MUSIIENKO/PAP

Przywrócić tożsamość

Disaster Victim Identification (DVI) to standaryzowana procedura identyfikacji ofiar masowych katastrof (zamachów terrorystycznych, trzęsień ziemi czy wypadków lotniczych), opracowana przez Interpol w latach 80. XX w. po tym, jak w 1977 r. na Teneryfie rozbił się samolot, co ujawniło brak spójnych metod identyfikacji. Według opracowanych w 1989 r. wytycznych DVI składa się z czterech etapów: zbierania danych o zaginionych (np. dokumentacji medycznej, danych dentystycznych, próbek DNA), badań szczątków (m.in. profili genetycznych, zdjęć, odcisków palców), dopasowania danych *ante mortem i post mortem* oraz formalnej identyfikacji. Dziś procedura opiera się na czterech filarach: odciskach palców, danych dentystycznych, analizie DNA oraz informacjach dodatkowych, takich jak cechy szczególne ciała, ubranie czy przedmioty osobiste. Ta interdyscyplinarna metoda pozwala przywracać tożsamość zmarłym i przynieść rodzinom poczucie sprawiedliwości.

eprasa.pl 6b8abdb715

DNA, nie wystarcza i trzeba sięgnąć po nowsze metody, jak w Puźnikach.

Nawet jeśli genetyka w ostatnich latach niezwykle poszła do przodu, nie oznacza to, że nie ma już żadnych problemów. Choćby dlatego, że osoby pracujące w terenie mogły źle zabezpieczyć próbki. Specjaliści doskonale wiedzą, że inaczej należy postępować z tymi pozyskanymi z kości zalegających w wodzie, a inaczej z leżących w ziemi lub masowym grobie. Od razu są w stanie podjąć decyzję, czy trzeba je zamrozić, osuszyć, przechować w 4 st. C czy w temperaturze pokojowej. Choć procedury są ściśle określone (rękawiczki, maseczki, kombinezony), w laboratorium i tak powinny być profile genetyczne wszystkich osób pracujących przy wykopaliskach, by znać źródło współczesnych kontaminacji.

Kluczowy jest sposób pozyskania materiału. W idealnym modelu cały proces – od wydobycia, poprzez zabezpieczenie, aż po analizę – prowadzi jeden doświadczony zespół. Materiał pobiera się natychmiast po odsłonięciu kości, w warunkach laboratoryjnych, a następnie poddaje odpowiednim procedurom i transportuje w kontrolowanej temperaturze do badania. Jeśli kość poleży miesiąc w pudełku w złych warunkach, często jest nie do użycia.

Romantyzmu kres

W Puźnikach nad całym procesem czuwa 50-osobowy zespół archeologów, antropologów, techników i genetyków z PUM, który dysponuje doskonale wyposażonym laboratorium, mogącym analizować zarówno klasyczne markery STR (*short tandem repeats*), jak i wykonującym pełne sekwencjonowanie całych genomów mitochondrialnych oraz dużych fragmentów DNA jądrowego. – *Przywiezione materiały już badamy i pierwszych wyników można się spodziewać pod koniec tego roku. Ponieważ ludzie chętnie powierzają swój materiał genetyczny instytucjom naukowym jak nasza, mam nadzieję, że będą pojawiać się kolejni krewni ofiar skłonni oddać swoje DNA, co umożliwi więcej identyfikacji* – zapowiada prof. Ossowski.

Olbrzymi rozwój genetyki ma swoje plusy i minusy. Badacze mogą dokonywać identyfikacji przy ograniczonej ilości danych genetycznych, dysponując materiałem porównawczym od dalszych krewnych, ale to wiąże się z większymi kosztami, bo wytwarzane są olbrzymie ilości wrażliwych danych. Akredytowane laboratoria, jak to na PUM, potrzebują do ich przechowywania potężnych serwerów i narzędzi chmurowych, nie mówiąc o komputerach o potężnej mocy i zespołach bioinformatyków i matematyków, którzy będą je opracowywać.

– *Jeszcze niedawno cała nasza wiedza mieściła się na dysku terabajtowym, dziś potrzebujemy go na dane jednego pacjenta. Oznacza to, że choć technika staje się coraz bardziej precyzyjna, koszty, zamiast maleć, ciągle rosną* – przyznaje genetyk, ale zaznacza, że warto je ponosić, bo zdarza się, że dzięki jednemu badaniu zamykana jest sprawa kryminalna, która bez DNA ciągnęłaby się przez lata. – *Czasy romantycznej genetyki bezpowrotnie się skończyły, potrzeba dużych zespołów i wieloprofilowych laboratoriów z własnym zapleczem bioinformatycznym i sprzętem do sekwencjonowania nowej generacji. Poza tym potrzebne jest zaufanie. Nie tylko wśród naukowców, ale też rodzin, które powierzają nam pamięć o swoich bliskich.*

Archeologia współczesności

IPN, który wydobywa szczątki w różnych miejscach, co roku uzyskuje kilkadziesiąt identyfikacji. Byłoby ich zapewne więcej, gdyby prowadzono więcej prac ekshumacyjnych. Fundacja Wolność i Demokracja, która pełniła funkcję koordynatora projektu, trzy lata temu wystąpiła do władz ukraińskich z prośbą o zgodę na ekshumację w Puźnikach, w styczniu tego roku uzyskała ją od ministerstwa kultury Ukrainy, a badaniem – logistyką i finansowaniem – zajęło się nasze Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. To jednak wyjątek, a nie reguła, zwłaszcza w obliczu toczącej się wojny z Rosją.

W dodatku nie wiadomo, czy rzeczywiście priorytetem państwa jest rozkopywanie grobów, gdy nie wszyscy potomkowie zmarłych są zainteresowani szukaniem kości ofiar. Bliżej im tym samym do tradycji żydowskiej, wedle której nie należy zakłócać spokoju zmarłych. Tym bardziej że dla wnuków, prawnuków i dalekich krewnych pomordowanych osoby zmarłe w latach 40. i 50. XX w. są już tylko opowieścią, a nie realnym wspomnieniem. Według nich pamięć nie zawsze potrzebuje kości.

Dla wielu jednak odzyskane po dekadach milczenia imię jest niezbędne, by oddać zmarłym sprawiedliwość. Według Alfreda Gonzáleza-Ruibala, hiszpańskiego archeologa i autora „An Archaeology of the Contemporary Era", ekshumacje stanowią „gest polityczny i etyczny". W tym sensie archeologia współczesności – ta najbliższa, bolesna i wciąż żywa – to przywracanie nieobecnych. Badania DNA nie są zatem wyłącznie narzędziem naukowym, lecz formą cichej sprawiedliwości.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Nie jesteśmy wyjątkiem

Choć w Polsce powstały jedne z najnowocześniejszych systemów identyfikacji ofiar totalitaryzmów, a badania finansowane są przez państwo, nie tylko u nas próbuje się przywracać nazwiska tym, którzy zostali zepchnięci do bezimiennych dołów śmierci. W Hiszpanii od lat trwają ekshumacje ofiar wojny domowej i reżimu Franco. Przez dekady groby ofiar frankizmu były ignorowane, a cierpienie przemilczano. Dopiero społeczne żądanie prawdy i stanowczość potomków zmusiły władze do działania, choć do dziś proces ten budzi kontrowersje. Tamtejsi badacze pobierają DNA od rodzin i porównują je z materiałem ze szczątków wydobytych z masowych grobów. Projekty są często rozproszone, zależne od władz lokalnych i od aktualnych nastrojów politycznych.

Za prekursora można uznać Argentynę, która w 1984 r. – zaraz po „brudnej wojnie" junty wojskowej z lat 70. – powołała Argentyńską Grupę Antropologii Sądowej. Jej członkowie, m.in. amerykański antropolog Clyde Snow, zastosowali pionierskie metody identyfikacji genetycznej i osteologicznej. Wykorzystano je potem w krajach byłej Jugosławii, w której Międzynarodowa Komisja ds. Osób Zaginionych (ICMP) zidentyfikowała ponad 20 tys. ofiar. W Bośni, Chorwacji czy Kosowie w dużej mierze za pieniądze międzynarodowych darczyńców łączono archeologię oraz nowoczesną genetykę. Na Litwie, w Estonii, a ostatnio także w Ukrainie prowadzi się prace przy grobach ofiar czystek stalinowskich. Tu także sięga się po genetykę, choć zwykle skala działań jest mniejsza, a procedury są mniej zinstytucjonalizowane.

eprasa.pl 6b8abdb715

Ogłupianie na śniadanie

Czy amerykańscy badacze rzeczywiście dowiedli, że ChatGPT niszczy mózg? Na tym wdzięcznym przykładzie podpowiadamy, jak odsiewać pseudonaukowe mity od faktów.

MARTA ALICJA TRZECIAK

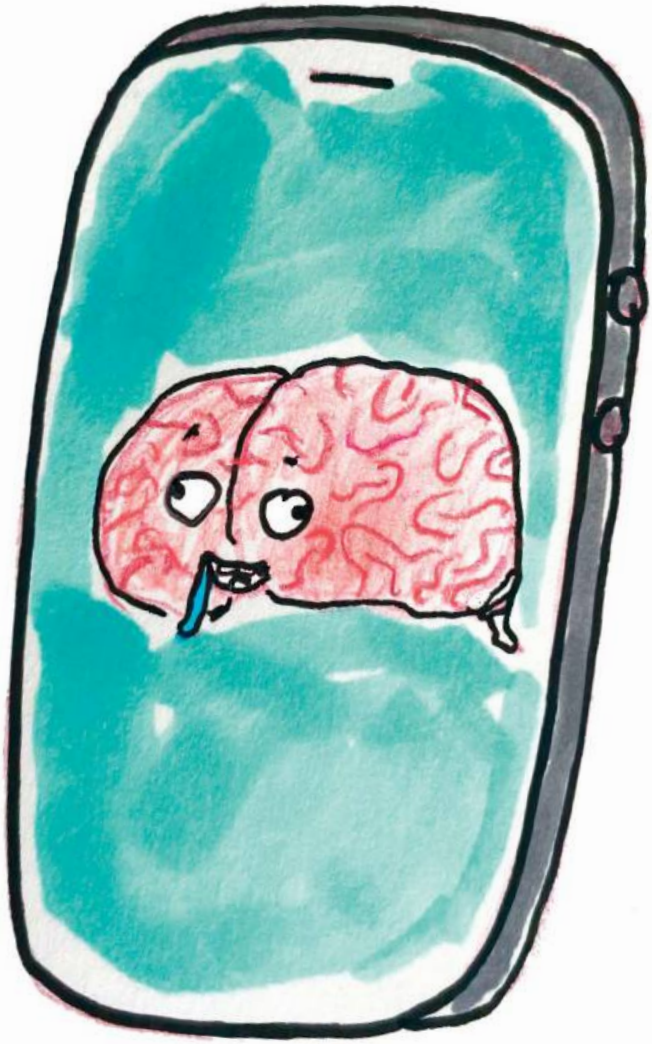

ILUSTRACJA **PATRYK SROCZYŃSKI**

„ChatGPT czyni ludzi głupszymi" – donosiły polskie media. Teksty w prasie zagranicznej były utrzymane w jeszcze bardziej alarmistycznym tonie. Wynikało z nich, że korzystanie z pomocy sztucznej inteligencji nie tylko otumania, ale też prowadzi do „gnicia" mózgu. Te teksty były reakcją na publikację, która ukazała się w połowie czerwca na platformie arxiv.org. Z czego wynikają tak skrajne reakcje i czy są uzasadnione? Pora na mały *fact-check*.

Krok pierwszy – źródło

Najpierw trzeba ustalić, skąd pochodzą takie treści, kto je stworzył i w jakich okolicznościach. Już pobieżny przegląd wykazuje, że analiza „gnijącego" jest tzw. reprintem. Nie doczekała się jeszcze właściwej recenzji specjalistów z branży. Zamieszczanie analiz w bazach takich jak arxiv.org usprawnia obieg informacji naukowej i przyspiesza wiele procesów (POLITYKA 25). Dane bywają jednak różnej jakości.

Kolejny krok to sprawdzenie, kto dokładnie popełnił omawianą pracę naukową. Media zazwyczaj nie bawiły się w niuanse i podawały, że dane pochodzą od „naukowców z MIT". Rzeczywiście, większość autorów jest zatrudniona w Massachusetts Institute of Technology i pracuje w grupach roboczych podlegających tej uczelni – Media Lab i/lub Fluid Interfaces. Zespoły te nie zajmują się jednak wyłącznie działalnością naukową. Pracują m.in. nad komercjalizacją pomysłów technologicznych, medialnych, artystycznych, designerskich. Mają większą swobodę niż wielu typowych akademików – i od czasu do czasu realizują projekty, które spotykają się z krytyką mainstreamowych środowisk naukowych.

W 2015 r. badacze z MIT Media Lab zainicjowali projekt „rzeźbienia ewolucji" (*sculpting evolution*), w ramach którego chcą edytować genomy dzikich zwierząt, np. myszaków białostopych, podnoszące odporność na kleszcze. Pomysł jest realizowany bez konsultacji społecznych i ekologicznych, przez co spotyka się z krytyką przyrodników.

Prowokacyjny i „awanturniczy" styl prowadzenia projektów naukowych przekłada się też niekiedy na ogólny sposób zarządzania tym podmiotem. W 2019 r. „New York Times" ujawnił, że MIT Media Lab zabiegało o darowizny i przyjmowało je od takich osób, jak Jeffrey Epstein (nieżyjący już multimilioner skazany za przestępstwa seksualne).

Krok drugi – twórcy

Te „aferki" nie dyskredytują bynajmniej całej działalności naukowej i innowacyjnej MIT Media Lab. Pokazują jednak dodatkowy kontekst. Pamiętać też trzeba, że część badaczy z takich zespołów może również realizować projekty z innymi organizacjami. Pierwsza autorka omawianego preprintu, Nataliya Kosmyna, pracuje obecnie jako *Visiting Faculty Researcher* w Google. Jest nie tylko główną realizatorką analizy dotyczącej wpływu ChatGPT na mózg, ale i jej pomysłodawczynią, projektantką oraz nadrzędną wykonawczynią. To właśnie ona zgromadziła dużą część danych EEG uczestników, a także współtworzyła zarys maszynopisu.

Dlaczego te informacje są istotne? Ponieważ w preprincie, o którym mowa, nie napisano o ogólnym wpływie sztucznej inteligencji na mózg, lecz konkretnie o działaniu ChatGPT. Ten model językowy stworzony został przez OpenAI – najważniejszego konkurenta Google na rynku asystentów AI i rozwiązań opartych na tego typu oprogramowaniu.

W deklaracjach zamieszczonych przez autorów badań napisano wyraźnie, że Kosmyna pracowała dla Google w chwili publikacji omawianego artykułu,

eprasa.pl 6b8abdb715

ale realizację projektu ukończyła, zanim została tam zatrudniona. Kiedy więc wymyśliła badania i je realizowała, oficjalnie nie pracowała jeszcze dla giganta technologicznego. Czy jednak już wtedy wiedziała, że podejmie z nim współpracę? I czy nie wpłynęło to na projekt, przebieg badań lub ich wyniki?

Krok trzeci – metodologia

Pora przyjrzeć się samym badaniom. Do projektu przystąpiły zaledwie 54 osoby, a ukończyło go jedynie 18. Wszyscy byli studentami. To bardzo mała i słabo zróżnicowana grupa, co nie prowadzi do rozstrzygających wniosków w odniesieniu do całych populacji. Przy tego typu zaawansowanych technologicznie analizach często jednak bada się małe liczebności, zwłaszcza w ramach wstępnych, pilotażowych projektów – takich jak ten.

Uczestników podzielono na trzy grupy. Wszyscy mieli napisać esej, ale część badanych miała korzystać wyłącznie z własnej głowy, część dostała do dyspozycji internetową wyszukiwarkę bez AI, a reszta mogła używać ChatGPT. W czasie 20-minutowych sesji pisania tekstów rejestrowano pracę mózgów. Robiono to za pomocą elektroencefalogramu, który następnie analizowano zgodnie z protokołem Dynamic Directed Transfer Function (dDTF). To metoda, która pozwala na wnioskowanie o kierunku i mocy przepływu informacji między poszczególnymi regionami mózgu. Służy do szacowania, a nie dostarczania bezpośrednich dowodów na działalność jakiegoś obszaru.

Krok czwarty – interpretacja

A zatem co wykazało EEG kilkunastu studentów piszących eseje? Że ich mózgi pracowały inaczej, gdy korzystali z różnych narzędzi. Osoby, które prosiły AI o wykonanie podzadań, cechowała słabsza łączność pomiędzy regionami mózgu. Po napisaniu pracy pisemnej były też z niej mniej zadowolone, słabiej pamiętały jej treść i w mniejszym stopniu czuły, że esej naprawdę „należy do nich". Odwrotnie było w przypadku osób, które wywiązały się z postawionego zadania całkiem samodzielnie, bez pomocy wyszukiwarki i AI.

Badacze podsumowali, że ChatGPT doprowadza do „metapoznawczego lenistwa" (*metacognitive laziness*). I wtedy ruszyła medialna lawina. Wkrótce nagłówki stały się tak sensacyjne, że 20 czerwca Kosmyna wystąpiła w programie CNN International, w którym poprosiła, by w komunikatach dotyczących jej badań nie używać sformułowań „gnicie mózgu", „ogłupianie" itp. Przedstawiła też swoją interpretację wyników: korzystanie z modelu językowego może prowadzić do „długu poznawczego", czyli do zmniejszonego zaangażowania kognitywnego oraz „prawdopodobnie do spadku umiejętności uczenia się". Ale czy jej projekt rzeczywiście badał, jak na mózg wpływa sam ChatGPT – czy raczej: jak działa na niego ściąganie? Przeklejanie partii tekstu bez wnikania w to, co się w nich znajduje, korzystanie z gotowych odpowiedzi, interpretacji, rozwiązań.

Jeszcze przed modelami AI wielu studentów korzystało z anglojęzycznej Wikipedii i kopiowało z niej przetłumaczone fragmenty tekstu nie tylko do pomniejszych prac, ale nawet do tych dyplomowych. A proceder ściągania z tego źródła całych list bibliograficznych i przypisów był/jest wśród żaków formą sportu narodowego. To przecież w odpowiedzi na te wyzwania wprowadzono do powszechnego użycia system antyplagiatowy, którym sprawdza się każdą pracę, zanim zostanie zaakceptowana przez promotora. Współczesne metody ściągania z użyciem AI są o niebo skuteczniejsze niż wcześniejsze, ale mechanizm rozleniwiania mózgu jest podobny.

Krok piąty – reakcje

Nic dziwnego, że wkrótce po tym, jak zespół Media Lab opublikował preprint, ukazały się jego krytyczne omówienia. „Nature" zwróciło uwagę na to, że EEG wykorzystane w analizie MIT daje bardzo mgliste wyobrażenie na temat zaangażowania poznawczego osoby badanej. Z pewnością też nie mierzy jej inteligencji ani tym bardziej stopnia degeneracji mózgu. Różnice w falach zanotowane u uczestników badania korzystających z AI mogą wynikać z mniejszego obciążenia roboczego podczas wykonywania zadania.

Podobnego efektu należałoby się spodziewać u osób wprawionych w pisaniu esejów – zwróciła uwagę redakcja „Science". Niższa aktywność w EEG i spadek łączności pomiędzy niektórymi regionami mózgu nie muszą być miarą pogorszenia funkcji poznawczych. Mogą wynikać z efektu „praktyka czyni mistrza", czyli ze zwiększenia wydajności i spadku zużycia „mocy poznawczej" – czytamy dalej w omówieniu. Taki właśnie efekt uchwycono w omawianym preprincie – uważają uczeni z Centre for Change and Complexity in Learning (C3L), podlegającego University of South Australia.

Badacze z C3L zwracają uwagę na to, że „dług poznawczy" uchwycony w badaniach MIT zanotowano tylko u sześciorga uczestników projektu, którzy najpierw pracowali z ChatGPT, a potem przerzucili się na samodzielną pracę. To mogło wynikać z tzw. efektu zaznajomienia, czyli z lepszego zapoznania się z zadaniem badawczym. Fakt, że pracując nad tym samym poleceniem kolejny raz, ma się obniżoną łączność w EEG, nie jest niczym niezwykłym.

Autorzy krytycznego komentarza uważają, że wpływ AI na zaangażowanie poznawcze uczniów i studentów można porównać do efektu, jaki kiedyś wywołały kalkulatory. Wykonywanie obliczeń bez ich użycia wiązało się ze znacznie większym zaangażowaniem poznawczym niż wystukanie równania na klawiszach. Dlatego edukacja powinna nadążać za nowymi narzędziami i oferować uczniom takie zadania, które będą dla nich stanowiły wyzwanie nawet wtedy, gdy korzystają oni z nowoczesnych technologii. Zwłaszcza że to przecież z nimi będą w przyszłości obcować w życiu zawodowym.

Krok szósty – komentarz

Do głosów naukowców warto dodać własny, subiektywny komentarz. Preprint i opisane w nim badania zasługują na rzetelną krytykę. Podobnie jak dyskurs medialny, którego poziom był żałosny. Samego problemu AI w edukacji nie należy jednak bagatelizować. Przeciwnie, modele językowe trzeba badać, oceniać, regulować.

Trafna jest analogia z kalkulatorem, który jest niegroźnym wsparciem, o ile uczeń nie zacznie go używać przed przyswojeniem tabliczki mnożenia. Podobnie jest z narzędziami wykorzystującymi AI. Praktyka pokazuje jednak, że obecny sposób używania modeli językowych to Dziki Zachód: dziennikarze proszą je, by wymyślały im chwytliwe teksty, naukowcy generują w modelach całe abstrakty swoich publikacji, uczniowie podpisują wypluwki chata jako własne prace. W tym chaotycznym układzie nie obejdzie się bez nowoczesnej formy systemu antyplagiatowego. Okiełznanie technologii na pewno nie będzie łatwe. Ale nie ma już od niej odwrotu. ■

eprasa.pl 6b8abdb715

Polska ludowa

JANUSZ A. MAJCHEREK

200 lat temu Stanisław Kostka Potocki opublikował powieść „Podróż do Ciemnogrodu", wykpiwającą zacofaną prowincję pozostającą pod wpływem kleru. Niektóre z tamtych przesłań są aktualne do dziś.

Ciemnogrodzianie byli generalnie nastawieni antyeuropejsko. „Nie jesteśmy w Europie, gdzie każdy działa jak mu się zdaie; w tym kraju uchybienie dawnym przepisom i zwyczaiom jest naywiększym występkiem" – ostrzega przybyszy gubernator przyjmujący ich w imieniu władcy, czyli Nayciemniejszego Pana. Pominąwszy archaizmy językowe, brzmi znajomo. Lecz choć tytułowe określenie jest powszechnie znane, nie wolno go używać, bowiem – zdaniem lewicy – jest obraźliwe i klasistowskie. Nie chodzi tu jednak o generalizowanie, ale pokazanie zauważalnych tendencji.

Politycy populistycznej prawicy mają swoją bazę społeczną wśród gorzej wykształconych mieszkańców wsi, dzięki którym wygrywają wybory i narzucają całemu społeczeństwu swoją wizję wspólnoty oraz reguły mające w niej obowiązywać. W 2023 r. PiS uzyskało na wsi 48,6 proc. głosów, Nawrocki w drugiej turze 63,4 proc. Wśród wyborców z wykształceniem podstawowym PiS zdobyło 63,7 proc., z wykształceniem zasadniczym zawodowym 62,2 proc., a Nawrocki odpowiednio 73,4 i 69,8 proc.

Te preferencje polityczne są odzwierciedleniem poglądów dotyczących wielu kwestii obyczajowych czy kulturowych. Wieś i mieszkańcy z niskim wykształceniem tworzą środowiska nie tylko tradycjonalistyczne, ale w wielu kwestiach też zacofane, nietolerancyjne. Jak ujął to w rozmowie z „Krytyką Polityczną" badający zagadnienie dr Bartosz Rydliński z Centrum im. Ignacego Daszyńskiego, „klasa ludowa ze wsi i małych miast mówi dziś językiem Rodaków Kamratów Wojciecha Olszańskiego".

W niedawnych wyborach prezydenckich faszyzujący Grzegorz Braun, jak podsumował Piotr Parzysz z Radia RMF FM, „najskuteczniej trafiał do wyborców z mniejszych miejscowości i o niższym poziomie wykształcenia", bijąc rekordy poparcia w wiejskich gminach Lubelszczyzny, Mazowsza i Podhala. Prawie wszyscy jego zwolennicy (92 proc., czyli ponad milion) zagłosowali w drugiej turze na Nawrockiego, dając mu zwycięstwo. Powstrzymując się od używania określenia Ciemnogród, nie można ignorować problemu, jakim jest wpływ wywierany na polską rzeczywistość przez słabo wykształconych mieszkańców wiejskiej prowincji. Co można zrobić, aby ten wpływ nie był destrukcyjny jak dotychczas, gdy stanowi upoważnienie do demontażu demokratycznego państwa prawnego i instalowania nacjonalistyczno-klerykalnego autorytaryzmu?

Powieść Kostki Potockiego była pisana z pozycji oświeceniowych. Kilkadziesiąt lat później do głosu doszli pisarze pozytywistyczni dostrzegający problem zabobonnego wręcz zacofania polskiej głuchej prowincji (pamiętne spalenie nieszczęsnej Rozalki w piecu przy trzech zdrowaśkach) i zalecali pracę u podstaw nad edukacją oraz krzewieniem osiągnięć cywilizacyjnych. Sami owi pozytywiści i ich następcy konstatowali jednak daremność tych wysiłków, podejmowanych w rozmaitych Obrzydłówkach przez równie zapalone, co naiwne Siłaczki.

Gdy nastała w 1918 r. niepodległość, okazało się, że rząd dusz nad polskim ludem sprawują fanatyczni (zabójstwo prezydenta Narutowicza) nacjonaliści, ziejący antysemityzmem, antymodernizmem, antyprogresywizmem. Socjaliści, skupieni w masowo popieranej przez postępową inteligencję Polskiej Partii Socjalistycznej, propagującej troskę o lud pracujący i pracę dla niego, okazali się formacją marginalną. W pierwszych wyborach do Sejmu Ustawodawczego w 1919 r. listy PPS w Kongresówce uzyskały 9 proc. głosów (dla porównania: endeckie 41,5 proc.), w późniejszych (zorganizowanych po powstaniu wielkopolskim) wyborach w Wielkopolsce jedynie 2,5 proc. Ponieważ PPS tworzyli i sympatyzowali z nią inteligenci, w tym wielu twórców,

eprasa.pl 6b8abdb715

to wykreowali wizerunek tej partii jako znaczącej i wpływowej, oddziałującej wychowawczo i edukacyjnie na polski lud. To był miraż, lud polski trzymał z nacjonalistyczno-klerykalną prawicą i pozostawał pod jej ideologicznymi wpływami. Podobnie stało się po 1989 r., gdy Solidarność i Solidarność Rolników przekształciły się w ekspozytury prawicowego radykalizmu. Partia Razem zaś, mieniąca się reprezentacją klasy ludowej, ma u niej poparcie poniżej granicy błędu statystycznego.

Współcześni propagatorzy pozytywistycznych ideałów pracy u podstaw z klasą ludową („potrzebna lepsza edukacja") niechętnie biorą pod uwagę niepowodzenia swoich XIX-wiecznych poprzedników. Tymczasem doświadczenia światowe wskazują, że zacofane wspólnoty chętnie przejmują cywilizacyjne dokonania w zakresie kultury materialnej, opornie lub wcale nie dopuszczając tych z zakresu kultury symbolicznej, zwanej dawniej duchową. Talibowie sprawnie poruszają się Toyotami z napędem na cztery koła, posługują smartfonami i używają dronów dla skuteczniejszego pilnowania i egzekwowania reguł szariatu u swoich pobratymców. Wieś polska może doznać i już doznaje – przy wydatnym wsparciu znienawidzonej Unii Europejskiej – awansu cywilizacyjnego, ale już niekoniecznie zmian mentalnych czy obyczajowych.

Potocki pisał o zacofaniu infrastrukturalnym Ciemnogrodu. Polska po 1989 r. zdołała to zacofanie przezwyciężyć. Długość i jakość autostrad, ilość i standard terminali płatniczych czy liczba użytkowników szerokopasmowego internetu świadczą o tym wyraźnie. Ale dostęp do internetu pozwala tym szerzej rozpowszechniać najgłupsze teorie spiskowe, hejt na Unię Europejską i szyderstwa z rozmaitych „odmieńców" „uchybiających dawnym przepisom i obyczajom". Zwłaszcza że nacjonalistyczno-klerykalni agitatorzy populistycznej prawicy mówią ludowi, że jest wspaniały w swoim tradycjonalizmie i przywiązaniu do swojskiej obyczajowości oraz stawianiu oporu obrzydliwym wpływom obcym (np. poprzez antygenderowe i antyLGBT-owe proklamacje podsuwane przez Ordo Iuris) i nic nie musi zmieniać w swoich poglądach ani postawach. To daje radosne poczucie wysokiej własnej wartości, wyzwalające zbiorowy narcyzm objawiający się niechęcią (oględnie mówiąc) do obcych, w tym wielkomiejskich elit. A szantażowani polityczną poprawnością obserwatorzy nie śmią się temu przeciwstawić, bo ludu nie wolno obrażać , wytykając mu mentalne czy kulturowe ułomności.

W rezultacie mieszkańcy Jedwabnego (tu jako symbol) w ponad 85 proc. głosowali na Nawrockiego, Mentzena i Brauna, a w drugiej turze w 87,5 proc. na Nawrockiego. Symboliczne Jedwabne ustanawia władzę w Polsce. Czy jest ktoś chętny do podjęcia w takich miejscach działań uświadamiających, obejmujących rozmowy o narodowych przywarach i słabościach? Niekoniecznie, skoro część lewicowych intelektualistów i publicystów okazuje nieskrywane zadowolenie, że klasa ludowa uciera nosa elitom. To wykształcenie i miejsce zamieszkania są podstawowymi czynnikami różnicującymi społeczeństwo polskie pod względem kulturowym i politycznym; pozostałe są od nich pochodne. Np. niskie wykształcenie = niskie dochody = silna religijność = wysoka podatność na nacjonalistyczno-klerykalną agitację w stylu rydzykowym. Wiejskie miejsce zamieszkania = homogeniczna wspólnota = niechęć do obcych = ksenofobia = wysoka podatność na nacjonalistyczno-klerykalną agitację antyimigrancką. Decyzje polityczne

Janusz A. Majcherek, profesor filozofii i doktor socjologii, publicysta. Pracuje w Akademii WSB w Dąbrowie Górniczej.

są ich odzwierciedleniem. Klasa ludowa o nacjonalistyczno-klerykalnym światopoglądzie („ciemny lud" w nomenklaturze Jacka Kurskiego) rozstrzyga o przyznaniu władzy ekipie politycznej narzucającej całemu społeczeństwu reguły wywiedzione z tego światopoglądu.

Jeśli próby edukacyjnego i uświadamiającego wpływania na ową klasę ludową są daremne, jako warte rozważenia należy podsunąć propozycje decentralizacyjne zawarte w zbiorowym opracowaniu o wymownym tytule „Umówmy się na Polskę". Skoro różnice światopoglądowe w polskim społeczeństwie są trwałe i segmentujące, niech poszczególne jego segmenty żyją i rządzą się po swojemu. To wcale nie zdekomponuje wspólnoty bardziej niż obecne podziały.

Mapy wyborcze pokazują trwały podział polityczny według województw i gmin oraz pomiędzy miastami i wsią. Przyznanie samorządowej autonomii regionom i miastom ograniczyłoby możliwość narzucania reguł i wymogów całemu społeczeństwu i wszystkim lokalnym wspólnotom. Ograniczyłoby, a nie zlikwidowało, gdyż Polska jest państwem unitarnym i nie może być przekształcona w federację, a pewne regulacje muszą mieć moc ustaw parlamentarnych (choć niektórzy współautorzy przywołanego opracowania sugerują decentralizację prawa regulującego kwestie kontrowersyjne i drażliwe, jak aborcja, co mogłoby złagodzić ogólnospołeczne napięcia).

Owszem, część klasy ludowej znalazłaby się pod jurysdykcją samorządów kontrolowanych przez lokalnych polityków opcji przez nią nielubianej i odwrotnie. Ale to byłby dyskomfort znacznie mniejszej części społeczeństwa niż w przypadku narzucania zacofanej opcji światopoglądowej całemu społeczeństwu.

Nikt rozsądny nie będzie próbował wyjaśnić polityki prowadzonej przez Putina bez uwzględnienia imperialnej mentalności i wielkoruskiej ideologii, którą zaczadzona jest znaczna część rosyjskiego ludu, na którego poparciu swoją władzę opiera dyktator i zbrodniarz. Nie da się zrozumieć fenomenu autokracji Erdoğana bez przywołania wpływów islamskiej tradycji na wspierającej go anatolijskiej prowincji. Nie można wyczerpująco zanalizować genezy i istoty państwa paramafijnego ustanowionego przez Viktora Orbána na Węgrzech, pomijając mentalność mieszkańców głosującej gremialnie na jego partię węgierskiej wsi (z której zresztą Orbán się wywodzi). Nie uda się wytłumaczyć dwukrotnego zdobycia władzy przez Donalda Trumpa, ignorując rolę, jaką w jego elektoracie odgrywają słabo wykształceni biali mężczyźni z Pasa Biblijnego. Tę zresztą analizowali i analizują amerykańscy badacze i publicyści.

Tymczasem w Polsce panuje powściągliwość, by nie powiedzieć: zmowa milczenia, wokół mentalnych i światopoglądowych przywar klasy ludowej, stanowiącej podporę ruchów politycznych o autorytarnych skłonnościach. Bez ich analizy nie zrozumiemy źródeł sukcesów partii i polityków wykazujących takie skłonności. Są oni silni poparciem swoich wyborców, a ci wywodzą się głównie z klasy ludowej. Ta zaś ma swoją zbiorową świadomość i tożsamość kształtowane pod wpływem narodowej mitologii i kościelnej indoktrynacji, którym liberałowie nie są w stanie – jak dotąd – skutecznie się przeciwstawić. Także z powodu obezwładniającego strachu przed oskarżeniami o klasizm, arogancję, wywyższanie się i pogardzanie. ■

© ANDRZEJ SIDOR/FORUM, BEATA ZAREZEL/REPORTER

eprasa.pl 6b8abdb715

Mordercza wdówka

Kobieta na zagrodzie równa wojewodzie – jeśli tylko wie, jak użyć pieniędzy i przemocy. Barbara Sołomerecka nie pasuje do opowieści o pokornych niewiastach. Bo herstoria nie zawsze jest historią ofiar – czasem to kronika kryminalna w damskim wydaniu.

MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI

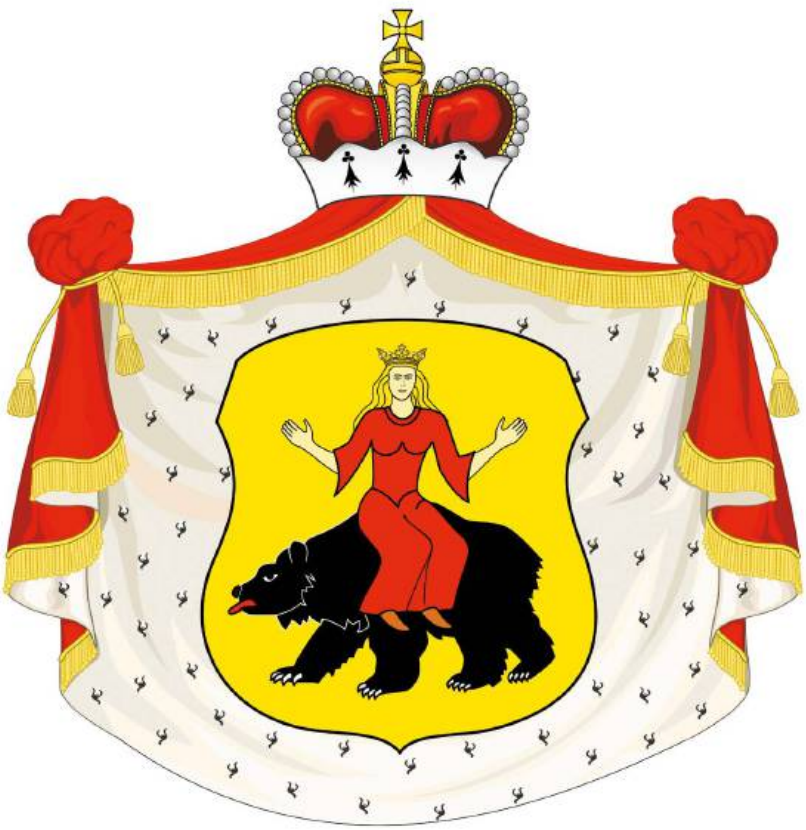

Herb litewskiego rodu Sołomereckich

Pieczęć i podpis Barbary Sołomereckiej na dokumencie z 1576 r.

W przedwojennej Polsce głośno było o szantażystce Marii Lewandowskiej, złodziejce Marii Ciunkiewiczowej, malwersantce Wandzie Parylewiczowej i oczywiście oskarżonej o morderstwo Ricie Gorgonowej. A wcześniej – pustka. Można odnieść wrażenie, że historia polskich przestępczyń zaczyna się w dwudziestoleciu. W przeświadczeniu tym utwierdza lektura katolickiego dziennika „Głos Narodu", w którym 19 kwietnia 1903 r. ukazał się tekst „Kobiety bandytki" prezentujący sylwetki przestępczyń w historycznym porządku. Jako pierwsze wymieniono poddane brytyjskie, XVIII-wieczne piratki Mary Read i Anne Bony. Zestawienie wieńczy jedyna Słowianka – Serbka Mila, hajdukini skazana w 1891 r. Ani słowa o Polkach.

Wypisana z rodziny

Dzięki cyklowi artykułów białoruskiej historyczki Natalli Sliż, publikowanych w 2022 r. w czasopiśmie naukowym „Textus et Studia", poznajemy oszustkę, krzywoprzysiężczynię, fałszerkę,

© DP, AGAD

eprasa.pl 6b8abdb715

złodziejkę, pieniaczkę, inicjatorkę zajazdów, trucicielkę i morderczynię – Barbarę Sołomerecką.

Sołomereccy byli kniaziowskim rodem Rusi Kijowskiej. Ich siedzibę – Sołomerecze – na współczesnych mapach znajdziemy 10 km na północny zachód od centrum białoruskiego Mińska. Barbara urodziła się ok. 1550 r. i w jej czasach osada ta wchodziła w skład kasztelanii mścisławskiej. Ziemie te od XIV w. należały do Wielkiego Księstwa Litewskiego (WKL), a po unii do pierwszego rozbioru wchodziły w skład Rzeczypospolitej Obojga Narodów. I to polski król Zygmunt II August mianował w 1569 r. pierwszym kasztelanem mścisławskim Iwana (Jana) Sołomereckiego, ojca Barbary. Jak pisze Sliž, funkcję tę otrzymał od monarchy za wcześniejszą „dobrą służbę", zdaniem historyczki musiał być użyteczny dla Rzeczpospolitej w toczonych z Rosją wojnach inflanckich. Iwan zmarł w 1578 r. i pochowano go w Sołomereczu. Ze źródeł starobiałoruskich wynika, że Sołomereccy wznieśli tam zamek i w drugiej połowie XVI w. ufundowali cerkiew oraz męski zakon Opieki Matki Bożej.

O matce Barbary, Annie, wiemy mniej. Zachował się list, w którym po śmierci Iwana pisała z wyrzutem do córki, że nie pojawiła się na pogrzebie ojca. Przeżyła męża o 15 lat i w ostatnim roku życia spisała testament. Do końca nie było zgody między nią a Barbarą. Wbrew zwyczajowi stanowiącemu, że matka po równo dzieli dobytek między dzieci, Anna niemal wszystko zapisała synowi Bohdanowi. Powołała się tu na statuty litewskie z 1588 r., w których uwzględniono, że właściciel może swoje dobra przekazać, komu zechce.

Nieobecna na pogrzebie ojca, nieobecna w testamencie matki – Barbara została niejako wypisana z rodziny.

Podejrzana o otrucie

Sposobem na emancypację były dla Barbary małżeństwa. We wrześniu 1570 r., a więc jeszcze za życia ojca, doszło do ślubu dwudziestoletniej Sołomereckiej z Konstantym Chodkiewiczem, synem Jerzego, kasztelana trockiego i zdeklarowanego przeciwnika unii z Koroną.

Małżeństwo to przypominało transakcję opartą na rachunku zysków i strat. Barbara wniosła w posagu – którego rodzina nie mogła jej pozbawić – „2 tys. kop groszy litewskich". Niemała kwota. Z książki „Obieg pieniądza na ziemiach białoruskich w XIV–XVII w." dowiadujemy się, że 60 groszy litewskich odpowiadało 75 groszom polskim, zatem 120 tys. groszy litewskich to 150 tys. groszy polskich. Z publikacji „Mennica koronna w Lublinie 1595–1601" wiadomo, że ówczesny nauczyciel zarabiał rocznie 880 groszy polskich, a pisarz rady miejskiej 960 groszy. Kopa jaj kosztowała co najmniej 4 grosze, a garniec masła 90 groszy. Przyjmując te produkty jako przelicznik, biorąc pod uwagę ich obecne ceny, można oszacować, że wiano Barbary wyniosłoby dziś nie mniej niż 400 tys. zł.

Ale co innego zdaje się zastanawiać w tym kontrakcie. Konstanty zapisał Barbarze 6 tys. kop groszy litewskich, trzecią część spadku, który miał mu przypaść po podziale z braćmi. A jednocześnie już w dniu ślubu pożyczył od żony całe jej wiano pod zastaw swojego majątku w Brzostowicy (dziś na Białorusi, 10 km na wschód od Bobrownik). Posunięcie praktyczne – Konstanty potrzebował gotówki, a Barbara ją miała.

Związek okazał się krótkotrwały – wiosną 1571 r. Konstanty poważnie zachorował. 5 kwietnia spisał testament, z którego wynika, że Barbara była w ciąży. Dokument przewidywał dla niej opiekę i środki na wychowanie dziecka: jeśli urodziłby się chłopiec, miał odziedziczyć Klepacze, czyli jeden z trzech majątków Konstantego, dziewczynka otrzymałaby posag. Wdowa miała prawo zatrzymać służbę i część dóbr – rozwiązanie nieoczywiste w epoce, gdy los kobiet po śmierci mężów zależał od dobrej woli krewnych.

Konstanty zmarł w maju 1571 r. Barbara nie tylko zachowała dobra ruchome, lecz także konsekwentnie domagała się realizacji zapisów testamentowych. Nikt nie widział dziecka, o którym wspominano w dokumencie. Niebawem pojawiły się głosy, że sfałszowała testament i otruła męża, by szybciej przejąć majątek. Dowodów nie znaleziono. Sprawa nigdy nie otarła się o sąd.

Niedoszła podpalaczka

Barbara ponownie wyszła za mąż. Jej drugi mąż Stanisław Dowojno pochodził z rodu litewskich bojarów, którzy w 1413 r. w Horodle podpisywali unię z Polską. Swoją pozycję zawdzięczał układom z elitami Wielkiego Księstwa Litewskiego. W młodości został usynowiony przez wojewodę kijowskiego Andrzeja Niemirowicza – bezdzietnego możnowładcę, który oddał mu znaczną część majątku. Kolejny starszy i bogaty protektor – namiestnik witebski Jan Niemirowicz Pieńko – również uczynił go swoim spadkobiercą. Ta forma adopcji dorosłych, popularna w XVI w., stała się taktyką Dowojny na wzbogacenie. W 1542 r. został mianowany wojewodą połockim. W wieku pięćdziesięciu kilku lat jako dwukrotny wdowiec na swojej drodze spotkał o trzy dekady młodszą Barbarę.

Do ślubu doszło w 1572 r. Wkrótce Barbara spiła męża i podsunęła mu dwa dokumenty – jeden dający jej w dożywotnie użytkowanie należące do niego dobra ziemskie, drugi przekazujący jej te dobra na własność. Gdy tylko odzyskał jasność myślenia i zorientował się w oszustwie, Barbara uciekła i zabrała ze sobą podpisane dokumenty oraz arkusze opatrzone pieczęciami, które mogły służyć do fałszerstw.

A jednak wkrótce wróciła do męża i pogodziła się z nim. Po czym nalegała, by przepisał na nią kolejne dobra. Gdy Dowojno odmówił i próbował odzyskać wcześniej utracony majątek, Barbara przeszła do przemocy. Z dokumentacji sądowej, przedstawionej w 1588 r. przed Trybunałem Głównym Wielkiego Księstwa Litewskiego, wiemy, że przygotowała śmiertelną pułapkę: nasmołowane prześcieradło, którym zamierzała go owinąć i spalić żywcem. Atak się nie powiódł i Dowojno ją wypędził. A niedługo potem, na początku 1574 r., zmarł. Przed śmiercią napisał list do przewodniczącego sądu kościelnego, biskupa wileńskiego Waleriana Protasewicza, w którym wskazał żonę jako swoją trucicielkę.

Morderstwa i zajazdy

Po jego zgonie Sołomerecka, używając tytułu wojewodziny, fałszowała dokumenty sądowe, aby dowieść, że ma prawa do majątków zmarłego męża, doprowadziła też do tego, że z ksiąg biskupa wileńskiego zostały usunięte skargi na nią, składała wreszcie nieprawdziwe oskarżenia wobec innych, odwracając uwagę od własnych zbrodni. Działania te wyszły na jaw dopiero w 1588 r. przed Trybunałem Głównym WKL.

Zlecała też morderstwa. Pomawiano ją o zabicie pierwszego męża, ale sprawa nie otarła się o sąd. Za to, jak można wywnioskować z dokumentów, do których dotarła Sliž, jej rzeczywistymi ofiarami byli zarządcy dóbr Dowojny, niejacy Siemiłowski ▶

eprasa.pl 6b8abdb715

▶ i Przezdziecki. Jak wynika z późniejszych pism procesowych, siłą zmusiła tych dwóch szlachciców do potwierdzenia jej praw do majątków. Po czym nasłała na nich swoich zbirów, aby dokonali zajazdów, podczas których pozbawili ich życia. Tak też weszła w posiadanie kolejnych posiadłości.

Zła reputacja wojewodziny rosła wraz z kolejnymi przejętymi przez nią dobrami.

Sojusznicy w interesach

Sołomerecka nie osiągnęłaby wiele samą przemocą. Zaczęła działać jak doświadczona prawniczka we własnej sprawie. Była gotowa przekazywać majątki, ale i odbierać je, wycofywać pełnomocnictwa, wyciągać rękę do zgody i podważać wcześniejsze zapisy. Miała w tym doskonałego wspólnika, który pierwotnie działał na rzecz jej męża Dowojny jako jego pełnomocnik. To ówczesny wojewoda miński Gabriel Hornostaj, prywatnie krewny Sołomereckiej.

Barbara zaufała mu na tyle, że pozwoliła prowadzić w jej imieniu spory sądowe, a nawet zaciągać zobowiązania. Takie upoważnienie nie było wyrazem słabości, ale taktyki i m.in. wykorzystała dawny konflikt pomiędzy Dowojną a kanclerzem Mikołajem Radziwiłłem. Drugi mąż zmarł bezpotomnie, ale z Barbarą sądzili się jego bliscy. Wykonywała więc pojednawcze gesty wobec Radziwiłła, zaczęła nawet spłacać długi zaciągnięte przez męża, aby pozyskać stronnika w walce z rodziną Dowojny.

Hornostaj jako pełnomocnik Barbary pojawiał się w dokumentach sądowych regularnie w latach 1575–79. Z czasem jednak ich interesy zaczęły się rozmijać. Hornostaj, w kontaktach z wierzycielami Barbary, gwarantował spłatę, ręcząc swoimi pieniędzmi. Gdy przejął część jej długów, zażądał od niej przekazania mu na własność majątków, pod których zastaw Barbara zaciągnęła wcześniejsze zobowiązania. Wówczas wojewodzina unieważniła jego pełnomocnictwo i odwróciła się od niego.

Spór miał także drugie dno – chodziło nie tylko o pieniądze, ale też o kontrolę nad zapisem ostatniej woli Dowojny. Barbara podejrzewała, że Hornostaj mógł manipulować dokumentami lub celowo opóźniać ich wykonanie, by zabezpieczyć własne roszczenia. Niepokoiło ją, że występuje nie tylko jako jej pełnomocnik, ale też jako pośrednik między nią a sądami grodzkimi, a także stronami trzecimi – w tym dawnymi wierzycielami jej drugiego męża. W 1580 r., gdy Hornostaj zaczął się powoływać na ustne uzgodnienia, które rzekomo zapadły między nimi bez świadków, Sołomerecka zażądała publicznego rozliczenia i wezwania świadków do potwierdzenia każdego działania podjętego w jej imieniu. Jasno pokazała, że zna wagę prawnych niuansów.

Hornostaj okazał się przeciwnikiem nie do zlekceważenia. Gdy doszło do otwartego konfliktu, notatki, które przedstawił m.in. przed Trybunałem Głównym WKL, miały kluczowe znaczenie w procesach, które czekały jeszcze Barbarę.

Po śmierci drugiego męża i burzliwych procesach, w których zdołała obronić swoją pozycję majątkową i formalnie zakończyć wieloletni konflikt z rodziną Dowojny, Barbara weszła w trzeci związek małżeński – z Filipem Limontem. Nazwisko to uchodzi za włoskie, choć dokumentacja genealogiczna jest pełna sprzeczności.

Początki kariery Filipa dalekie były od nieskazitelnych. Pojawił się w źródłach jako podejrzany o kradzież konia, a następnie – wraz z rodziną i sługami – oskarżony o napaść na majątek kasztelana witebskiego Melchiora Snowskiego. Nie stawił się na proces i wyrok na niego zaocznie wydał nowogródzki sąd kapturowy obradujący w czasie bezkrólewia. Henryk Walezy, po wyborze na króla, w liście z 1574 r. formalnie potwierdził wyrok i uznał go za przestępcę, choć nie miało to już realnych konsekwencji.

Portret przewodniczącego sądu kościelnego, biskupa Waleriana Protasewicza, do którego pisał mąż Barbary

W 1575 r. pojawił się jako świadek w dokumentach związanych z otoczeniem Barbary, a z czasem zaczął ją reprezentować jako pełnomocnik, zyskał jej zaufanie i zajął miejsce Hornostaja. Związek małżeński Barbary i Filipa był – podobnie jak poprzednie – sojuszem w interesach. Z dokumentów wynika, że Limont odegrał kluczową rolę w ostatnim etapie życia Sołomereckiej. To on pośredniczył w sporządzaniu jej testamentu, jemu przypadły praktycznie wszystkie nieruchomości, łącznie z odziedziczonymi po Dowojnie i zapisanymi wcześniej Barbarze dobrami.

Mieli troje dzieci: synów Jerzego i Mikołaja oraz córkę Ewę. Filip Limont został ustanowiony ich opiekunem, z obowiązkiem m.in. wydania córki za mąż i zapewnienia jej posagu. Testament sporządzono w Wilnie 23 maja 1595 r. Barbara zmarła prawdopodobnie kilka tygodni później. Jej ostatnią wolą było, by pochowano ją w kościele w Iszczołnie, 12 km na południe od Starych Wasiliszek.

Niemal cały majątek trafił w ręce Limonta, który otrzymał także pełną kontrolę nad wychowaniem i przyszłością dzieci.

Sprawczyni

Barbara Sołomerecka była jedną z pierwszych w historii Wielkiego Księstwa Litewskiego – i całej Rzeczpospolitej – kobiet, które prowadziły działalność przestępczą z rozmysłem, na dużą skalę i przez długie lata. Kłamała, fałszowała dokumenty, unikała odpowiedzialności, wykorzystywała prawo do własnych celów.

A jednak z jej biografii płynie kilka mniej oczywistych wniosków. Po pierwsze – kobiety w epoce przednowoczesnej zdobywały sprawczość niemal wyłącznie dzięki majątkowi. Po drugie – ówczesne prawo, surowe wobec cudzołożnic, pozostawało bezradne wobec przestępczyń. W wyobraźni urzędników kobieta mogła być głupia, bezbronna, naiwna – ale nie cyniczna, wyrachowana czy groźna. Nie mieściło się też w głowie, że mogła samodzielnie pisać pozwy, prowadzić sprawy, rozumieć język dokumentów sądowych. Sołomerecka to robiła. I właśnie dlatego była wyjątkowa w patriarchalnej epoce. Tam, gdzie kobieta nie miała prawa głosu, ona mówiła. Tam, gdzie nie miała prawa bić, biła. Tam, gdzie miała być ofiarą – była sprawczynią.

MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI

© DP

eprasa.pl 6b8abdb715

Wojna rodzinna

Wojciech Krawczuk, **Szwecja 1598–1599**, Bellona, Warszawa 2025, s. 184

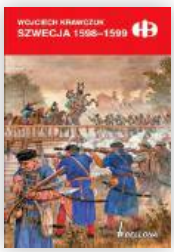

Czy w XVI w. można było utrzymać unię państw rozdzielonych morzem? Europejskim przykładem z epoki może być historia hiszpańskiego Karola V, która zdaje się to potwierdzać. Choć rządy w odległych królestwach wymagały dużo więcej energii, dyplomatycznych i wojennych zabiegów. Dlaczego więc unia personalna pomiędzy Szwecją i Rzeczpospolitą zakończyła się, zanim rozpoczęła na dobre? Wojciech Krawczuk opowiada o początkowym okresie panowania Zygmunta III Wazy (siostrzeńca Zygmunta Augusta Jagiellończyka) i utracie przez niego szwedzkiej korony. Polskiemu i szwedzkiemu królowi zabrakło determinacji do walki o tron ze stryjem Karolem Sudermańskim (późniejszy Karol IX – zajął miejsce zdetronizowanego Zygmunta). Dość świeża dynastia Wazów panująca zaledwie kilkadziesiąt lat udowodniła, że nie była jej obca lektura Machiavellego. W walce o władzę więziła i mordowała najbliższych członków rodziny. Być może Zygmunt III, rządzący polskimi wyznawcami „złotej wolności" (hasło to upowszechniło się za jego panowania), z przyczyn politycznych nie mógł sobie pozwolić na determinację Karola urządzającego wrogom krwawe łaźnie. I to zaważyło na jego przegranej. A szkoda, ponieważ królestwa mogła połączyć nie tylko osoba króla, ale także przedsięwzięcia gospodarcze czy też wspólny odpór państwu moskiewskiemu. Zamiast tego Zygmunt III, a także jego dwaj synowie zasiadający na polskim tronie, zafundowali sobie sześćdziesięcioletnie zmagania pomiędzy Szwecją a Rzeczpospolitą, z finałowym „potopem" włącznie.

MAREK SOBCZAK

Przed Normanami

Marc Morris, **Anglosasi. Historia początków Anglii**, przeł. Natalia Rataj, Wydawnictwo Astra 2025, Kraków 2025, s. 627

Wszystko zaczyna się od grobu w Sutton Hoo, który kryje łodziowy pochówek anonimowego mężczyzny oraz złoto i symbolikę pobudzające wyobraźnię. Ale to nie bajka o królu Arturze, tylko konkret – ślad po realnej, choć nieopisanej epoce początków angielskiej historii. Marc Morris snuje gęstą, pełną dramatyzmu opowieść o ludziach, którzy wykuwali coś na kształt tożsamości narodowej. Jest tu historia przybycia Sasów, Anglów i Jutów oraz postacie takie jak św. Augustyn z Canterbury, królowa Ethelfleda, Beda Czcigodny, Alfred Wielki czy Harold Godwinson – bohaterowie, reformatorzy i przegrani. Morris pisze z rozmachem, ale nie traci z oczu detalu – nie brakuje tu zdrad, skarbów i zapomnianych bitew. Nie idealizuje „złotego wieku Anglosasów" ani nie pomija niewygodnych tematów, takich jak mizoginia, niewolnictwo, brutalność elit. Anglia w trakcie wikińskich najazdów, Anglia świętego Wilfryda i Alfreda Wielkiego – każda ma inną dramaturgię i bohatera.

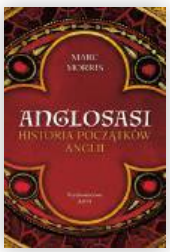

Uderza tu brak rozdziału o kobietach, co autor tłumaczy niedostatkiem źródeł. Narracja, choć przystępna, jest skupiona bardziej na historii tożsamości narodowej niż społecznych marginesach. Trudno się dziwić, ponieważ Morris pisze nie tylko dla czytelnika, ale i dla przodków, których portrety wiszą w brytyjskich muzeach. Lektura tej książki pozwala jednak zrozumieć, dlaczego Anglia jest taka, jaka jest – i że jej początki to walka o przetrwanie na zgliszczach imperium.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Nauka radykalizmu

Izabela Mrzygłód, **Uniwersytety w cieniu kryzysu. Nacjonalistyczna radykalizacja studentów Warszawy i Wiednia w okresie międzywojennym**, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2025, s. 525

Co miał w głowie Zygmunt Dziarmaga, szef bojówek Ruchu Młodych SN, który z sześcioma studentami w marcu 1934 r. napadł na dziedzińcu UW na prof. Marcelego Handelsmana? Jak do tego doszło, że przemoc stała się elementem edukacji wyższej w latach 30.? Na te pytania odpowiada autorka w doskonale udokumentowanej i – niestety – aktualnej dziś książce. Jest to historia równoległa. Śledzi zjawisko politycznej radykalizacji na dwóch uczelniach: Uniwersytecie Warszawskim i Wiedeńskim. Wskazuje na początek tego procesu. W Polsce – wojnę polsko-bolszewicką, przekonanie młodego pokolenia o obowiązkach wobec niepodległego państwa, co łączyło się nie tylko z antykomunizmem, lecz także z antyliberalizmem. Proces radykalizacji przyniósł zamach majowy, a z nim zwątpienie w instytucje demokratyczne. Ówcześni narodowcy byli – podobnie jak dzisiejsi prawicowcy – antysystemowi. Rewolucja narodowa miała dokonać się na fali antysemityzmu. Wykluczanie ze społeczności akademickiej Żydów zaczęło się zresztą jeszcze w latach 20., gdy odebrano im możliwość członkostwa w Bratniaku, największej organizacji samopomocowej. Później przyszła frustracja i deprywacja wywołana wielkim kryzysem, emocjonalne paliwo przemocy. Fakt, że bardzo podobne procesy zachodziły w Wiedniu, nie pociesza.

MARCIN ZAREMBA

Piękny mit

Piotr Korczyński, **Krew i popiół. Polscy żołnierze Napoleona**, Wydawnictwo Znak Horyzont, Kraków 2025, s. 511

Szarże, popisy ułańskiej odwagi, heroiczne czyny (którym towarzyszą czasem zbrodnicze postępki), wielkie nadzieje i równie wielkie rozczarowania – książka Piotra Korczyńskiego czerpie co najlepsze z napoleońskiej legendy polskich legionów. Każdy, kto kiedyś zasmakował tej legendy – pochłaniając na przykład dzieła Mariana Brandysa czy Mariana Kukiela – z przyjemnością zanurzy się w tej opowieści. Dla autora legionowa epopeja nie jest obiektem muzealnym, lecz wciąż żywą historią, o której warto pamiętać. Książka ma formę opowieści „przy kominku" snutej przez legionowych weteranów, których wspomnienia i inne materiały źródłowe Korczyński strawestował. Mimo nieskrywanego uwielbienia dla swoich bohaterów autor sprawnie oddziela prawdę od mitu (choćby omawiając słynną szarżę pod Somosierrą). Mit ma tutaj znaczenie fundamentalne, ponieważ dzieje polskich legionów tak bardzo nim obrosły, a późniejsze pokolenia tak wiele z niego przejęły, że potrzebna jest refleksja nad znaczeniem tego mitu w polskiej kulturze (autor porusza te wątki choćby w skrzącym się od anegdot rozdziale na temat „Popiołów" Andrzeja Wajdy). Wszystko to czyni „Krew i popiół" lekturą obowiązkową nie tylko dla miłośników epoki napoleońskiej.

TOMASZ TARGAŃSKI

eprasa.pl 6b8abdb715

Skręty Kremla

Józef Stalin i Ławrientij Beria (w okularach) na trybunie w czasie pochodu pierwszomajowego w Moskwie w 1950 r.

Po ataku III Rzeszy na Związek Sowiecki Stalin zabiegał o zawarcie pokoju z Hitlerem. Od lipca 1941 r. podjął tajne próby porozumienia. Gotów był oddać część własnego imperium i kilka okupowanych państw ościennych.

MICHAŁ PAZIEWSKI

Józef Stalin nie mógł otrząsnąć się z szoku: III Rzesza złamała zawarty w 1939 r. pakt o przyjaźni i napadła 22 czerwca 1941 r. na Związek Sowiecki. Był pewien, że Niemcy zaspokojone podbiciem większości państw Europy jego nie zaatakują. Nie będzie im się to opłacać choćby ze względu na duże dostawy cennych surowców i żywności czy wymianę szpiegowskich informacji. Bagatelizował ostrzeżenia dyplomatów, nie słuchał brytyjskiego premiera Winstona Churchilla. Odrzucał raporty tajnych służb o dyslokacji wojsk III Rzeszy mających wkroczyć na ściśle określone terytoria ZSRS. Nawet kiedy armie Adolfa Hitlera już rozpoczęły agresję, początkowo uznał ten fakt za blef i rozkazał Armii Czerwonej wstrzymanie się z podjęciem walki.

Istnieją jednak przesłanki wskazujące na to, że wcześniej Ławrientij Beria, generalny komisarz i szef NKWD oraz Wiaczesław Mołotow, ludowy komisarz spraw zagranicznych, nie przekazywali Stalinowi pełnych wiadomości o niemieckich przygotowaniach. Sowietolożka z Sorbony Françoise Thom, autorka imponującej biografii „Beria. Oprawca bez skazy", przekonująco wykazała, że bohater jej książki, prawa ręka Stalina, zamierzał wykorzystać szykującą się kampanię antyhitlerowską do przejęcia władzy.

Trop bułgarski

Upokorzony agresją Stalin zamilkł. Dopiero 3 lipca przemówił przez radio, zaczynając wezwaniem: „Towarzysze! Obywatele! Bracia i siostry! Żołnierze i marynarze! Zwracam się do was, moi przyjaciele". Oficjalnie rozpalał nienawiść do führera, nieoficjalnie rozpoczął dyplomatyczne starania o dojście z nim do porozumienia i zawarcie separatystycznego rozejmu. Zdecydowany był mu oddać część własnego państwa, tak samo jak wcześniej uczynił to jego poprzednik Włodzimierz Lenin. Ojciec rewolucji, zawierając w 1918 r. w Brześciu Litewskim traktat wycofujący Rosję z wojny – aby ocalić bolszewizm – przekazał Niemcom zachodnie ziemie imperium.

O próbach zawarcia pokoju z Niemcami wiemy m.in. dzięki ustaleniom gen. płk. prof. Dmitrija Wołkogonowa, dawnego komendanta Instytutu Historii Wojskowości Ministerstwa Obrony ZSRS. Korzystał on z odtajnionych źródeł i w biografii „Stalin" przywołał kilka z nich: notatki przywódcy Kremla omawiane w 1957 r. przez aktyw partyjny ministerstwa obrony oraz zeznania Iwana Stamenowa, od 1940 r. ambasadora Królestwa Bułgarii w ZSRS. Stamenow przeżył wojnę, mieszkał w Bułgarii i w 1953 r. dotarła do niego sowiecka delegacja z sekretarzem prezydium Rady Najwyższej Nikołajem Pegowem. Zadała sobie trud, bo w tym czasie w Moskwie chciano udowodnić Berii planowanie obalenia Stalina i kontakty z agentami Hitlera. Stamenow w tym nie pomógł, odmawiał szczegółowych wyjaśnień. Sam Beria, aresztowany, podczas przesłuchania 26 sierpnia 1953 r. nie zaprzeczał, że był projekt nawiązania kontaktów z Niemcami, ale chodziło jedynie o zyskanie na czasie.

Na zeznania Stamenowa powołuje się też historyk i działacz praw człowieka w Rosji Nikita Pietrow w książce „Psy Stalina".

Mimo brytyjsko-sowieckiego porozumienia z 12 lipca 1941 r. o niezawieraniu bez zgody drugiej strony rozejmu czy sojuszu z Niemcami pojawiały się „propozycje rządu sowieckiego w sprawie pokoju". Bułgarski ambasador był tu szczególnie cenny dla Moskwy – został zwerbowany do współpracy z NKWD w 1934 r. w Rzymie, gdzie pracował jako trzeci sekretarz ambasady Królestwa Bułgarii. A jednocześnie pozostawał zaufanym współpracownikiem cara Borysa III.

eprasa.pl 6b8abdb715

Rozmowę z nim przeprowadził gen. lejtn. Paweł Sudopłatow, zastępca szefa Wydziału Zagranicznego NKWD, dwa tygodnie po ataku Niemiec na ZSRS mianowany szefem Zarządu do Zadań Specjalnych (to m.in. on w 1940 r. zaaranżował zabójstwo Lwa Trockiego). Spotkali się pod koniec lipca w moskiewskim mieszkaniu zastępcy Sudopłatowa, mjr Nauma Eitingona oraz na początku sierpnia w restauracji gruzińskiej „Aragvi", gdzie zwykle funkcjonariusze NKWD umawiali się z zagranicznymi dyplomatami. Sudopłatow opisał to w książce „Wspomnienia niewygodnego świadka". Jego zdaniem chodziło z jednej strony o wysondowanie stanowiska III Rzeszy, a z drugiej o uzyskanie czasu na wzmocnienie zdruzgotanej czystkami armii. W końcu w listopadzie 1941 r. w ambasadzie bułgarskiej w Samarze spotkać się ze Stamenowem mieli Stalin (co wydaje się jednak wątpliwe), Ławrientij Beria oraz Wiaczesław Mołotow. Zapewne ten ostatni nakłaniał go do skontaktowania się z Berlinem w celu zawarcia pokoju w zamian za odstąpienie Niemcom republik nadbałtyckich, części Finlandii, Rumunii i Polski. Kazano mu dowiedzieć się, dlaczego Hitler zdradził dotychczasowego sojusznika i co by go zadowoliło.

Stamenow – jak oficjalnie zeznał w 1953 r. – odmówił negocjacji, oznajmiając, że jako prawdziwy komunista jest przekonany, że Związek Sowiecki i tak wygra wojnę. Tu trop bułgarski się urywa, choć niektórzy utrzymują, że propozycja została przez Stamenowa przedstawiona Hitlerowi w Berlinie 20 lutego 1942 r.

Na pewno Rosjanie rozsiewali wśród dyplomatów będących w stałym kontakcie z III Rzeszą pogłoski o możliwym rozejmie, co miałoby służyć osłabieniu determinacji Niemiec. Celem negocjacji z nazistami było – według opracowanych przez Thom memuarów Sergo Berii „Beria, mój ojciec. W sercu stalinowskiej władzy" – „wprowadzić w błąd".

Drugie podejście

Do pomysłu rokowań wrócono w październiku 1941 r., kiedy Niemcy byli już na przedmieściach Moskwy. Ponownie usiłowano – jak podali w monografii „KGB" Christopher Andrew, historyk z Cambridge, oraz Oleg Gordijewski, były rezydent KGB w Londynie – przywrócić umowę z III Rzeszą. Pisze też o tym brytyjski historyk Laurence Rees w książce „Hitler i Stalin. Wojna stulecia", przywołując rozmowę z początku października Stalina z Berią. Gospodarz Kremla polecił, aby wyznaczeni agenci NKWD skontaktowali się z niemieckim wywiadem. Świadkiem ich wymiany zdań – zrelacjonowanej w latach 60. historykowi prof. Wiktorowi Anfiłowowi – był wezwany z leningradzkiego frontu gen. armii Gieorgij Żukow. I tym razem Stalin się zawiódł, gdyż Hitler ofertę odrzucił. Czerwonoarmiści zostali niemalże rozgromieni podczas bezładnego odwrotu.

11 grudnia Hitler, przekonany o bliskim zdobyciu serca komunistycznego imperium, wypowiedział wojnę Stanom Zjednoczonym. Jednak Japonia, która cztery dni wcześniej zniszczyła flotę USA na Hawajach, nie kwapiła się wspierać niemieckiego sprzymierzeńca. Dlatego Rosjanie mogli przejść do kontruderzenia. Decyzję tę podjęto dzięki informacjom uzyskiwanym z Tokio od szefa siatki szpiegowskiej Richarda Sorgego. Stalin odrzucał jego wcześniejsze raporty, w tym datę uderzenia na Związek Sowiecki. Nie omieszkał wówczas dodać, jak podał w pracy „Co wiedział Stalin" wieloletni oficer CIA David E. Murphy, przywołujący dokumenty sowieckiego wywiadu: „Proszę nie przesyłać mi więcej takich niemieckich dezinformacji".

Tropy szwedzki i turecki

Stalin oferty powrotu do nazistowsko-komunistycznego sojuszu bądź zawieszenia broni z granicami z sierpnia 1939 r. składał także w Sztokholmie. Jego wysłannicy w pierwszej połowie listopada 1942 r. oraz wiosną i na początku lipca 1943 r. kontaktowali się z szefem wydziału wschodniego w niemieckim MSZ, dr. Peterem von Kleistem, który propozycje te zrelacjonował we wspomnieniach „Zwischen Hitler und Stalin 1939–1945. Aufzeichnungen". W stolicy Szwecji spotykano się też z Edgarem Klausem (agent Abwehry i NKWD, przemysłowiec szwedzki blisko związany z ambasadorką ZSRS Aleksandrą Kołłontaj). Rozmowy te Hitler zrywał.

Emisariusze kremlowscy podjęli w końcu próbę porozumienia z III Rzeszą w Turcji. Propozycję w kwietniu 1943 r. skierowała ambasada sowiecka do Franza von Papena, niemieckiego ambasadora w Ankarze. Opisał to m.in. Otto Skorzeny, dowodzący formacjami SS do zadań specjalnych, we wspomnieniach „Nieznana wojna". W rozmowach pośredniczyło ministerstwo spraw zagranicznych Turcji, która poinformowała o tym USA. Führer i tę okazję odrzucił. Konsekwentnie uważał, że oferta dowodzi słabości Sowietów.

Stalin chorobliwie wietrzący spiski jeszcze pod koniec 1944 r. liczył się z zawarciem przez III Rzeszę separatystycznego pokoju z państwami Zachodu. Jego obsesyjne wizje miały pewne podstawy. Skupieni wokół szefa Abwehry adm. Wilhelma Canarisa antyhitlerowscy opozycjoniści podejmowali wcześniej, w latach 1940 i 1943, starania o porozumienia z Anglikami. O czym powiadamiał swoich sowieckich mocodawców szpieg Kim Philby, od 1944 r. dyrektor sekcji brytyjskiego wywiadu zajmującej się ZSRS.

Próby osiągnięcia przez Stalina kompromisu z niemieckim dyktatorem mogły mieć drugie dno – być może chodziło o przymuszenie brytyjsko-amerykańskich koalicjantów do otwarcia drugiego frontu w Europie. Amerykanie i Brytyjczycy byli przecież doskonale poinformowani o próbach negocjacji Stalina dzięki złamaniu japońskiego szyfru dyplomatycznego. Pozyskali m.in. informacje o wysiłkach Japonii starającej się nakłonić Niemcy do pokoju z Sowietami jeszcze pod koniec sierpnia i we wrześniu 1944 r.

Dla Stalina Hitler był – co wzgardliwie odnotował Aleksander Sołżenicyn w „Kręgu pierwszym" – jedyną osobą obdarzoną przez niego zaufaniem. Stąd miraże o ponownym układzie z nim. Zaniechanie prób tajnych negocjacji nastąpiło dopiero po wyraźnym przesileniu na froncie wschodnim. Przegrana Niemców w połowie lipca 1943 r. w starciu na Łuku Kurskim oddała inicjatywę strategiczną ZSRS. ■

Polecamy również lekturę
Pomocnika Historycznego
„OPERACJA BARBAROSSA".
Dostępny na **sklep.polityka.pl**

KUP TERAZ

eprasa.pl 6b8abdb715

Skala ocen: 1(dno)–6(wybitne)

serial

Dzikość serca 4/6

Dzikość (Untamed), twórcy serii: Mark L. Smith i Elle Smith, 6 odc., Netflix

W zapowiedziach „Dzikości" pojawiało się porównanie do hitu SkyShowtime „Yellowstone". Akcja tym razem nie dotyczy walki o ziemię między ranczerami, pierwszymi narodami i deweloperami, ale także dzieje się w parku narodowym (Yosemite w Kalifornii) i także tu dramaty rodzinne są w centrum opowieści. Są też zapierające dech w piersiach widoki, ale w miejsce pastwisk Montany z górami na horyzoncie oczy pieszczą nieprzebrane lasy, olbrzymie, nagie skały, trawiaste urwiska, rwące potoki, wodospady itd., przemierzane przez dziką zwierzynę i zdziczałych ludzi. Jak zauważa szef strażników parku, w dziczy ludzie uwalniają dzikie instynkty. Akcja zaczyna się od spadającego ze skały ciała młodej dziewczyny. Śledztwo prowadzi Kyle Turner (**Eric Bana**), agent jednostki dochodzeniowej parku, typ nieprzyjemny w obejściu, zapijający niegasnącą żałobę po stracie synka. Wkrótce dołącza do niego nowa w Yosemite Naya Vasquez (**Lily Santiago**), pojawią się kolejne trupy i każdy, od głównych bohaterów po drugi plan, ofiary morderstw i sam park, okaże się mieć swoje sekrety. Chyba tylko dobroduszny Milch (William Smillie) i konie służące do patrolowania niedostępnych dla jeepów terenów nie mają tu nic do ukrycia. Miniserial autorstwa scenarzysty m.in. oscarowej „Zjawy" i ubiegłorocznego sequela „Twistera" oraz jego córki podąża za prawidłami (żeby nie powiedzieć: schematami) gatunku, ale robi to z bardzo dużym wdziękiem i świetnym aktorstwem.

ANETA KYZIOŁ

serial

Gdzie Bosch nie może... 4/6

Ballard, twórcy serii: Michael Alaimo, Kendall Sherwood, 10 odc., Prime Video

Źle się dzieje w szeregach policji w Los Angeles. Wiemy to już z serialu „Bosch", a także z trzech sezonów „Bosch: Dziedzictwo", gdzie pojawiły się i wątki skorumpowanych policjantów, i temat karteli narkotykowych. Tu znów wchodzimy w wewnętrzne sprawy LAPD, ale już z nową bohaterką, wprowadzoną jeszcze w trzecim sezonie „Bosch: Dziedzictwo", gdzie trafiła na ważne wątki w śledztwach, z którymi nie mógł sobie poradzić Harry Bosch, centralna postać świata powieści kryminalnych Michaela Connelly'ego. Renée Ballard (w tej roli **Maggie Q**, aktorka znana z kina akcji i serialu „Designated Survivor") wydaje się niezłą próbą odtworzenia niełatwej osobowości i uporu Boscha, a zarazem szansą na poszerzenie widowni, bo całość mocno przestawia akcenty w stronę kobiecych bohaterek – skuteczniej niż „Bosch: Dziedzictwo". Tytułowa postać „Ballard" jest tajemnicza, choć sprawy, które rozwiązuje, mogłyby nieść tych zagadek i zaskoczeń więcej. Maggie Q ciekawie partneruje John Carroll Lynch (serialowy Thomas Laffont). Zespół do badań spraw zapomnianych, który tworzy od pierwszego odcinka Ballard, automatycznie wywoła skojarzenia z brytyjskim „Dept. Q" Netflixa, a jego półamatorski skład – także z „Kulawymi końmi" Apple TV. Fabularnie amerykański serial przegrywa konkurencję z tym ostatnim, aktorsko – z oboma, ale nie powinni go skreślać sympatycy „Boscha", bo ich zainteresuje nie tylko główny wątek, ale i nawiązujące do całej serii szczegóły w tle.

BARTEK CHACIŃSKI

© RICARDO HUBBS/NETFLIX, PRIME VIDEO, NETFLIX, M2FILMS, AURORA FILMS

eprasa.pl 6b8abdb715

Fanatycy polityki 5/6

Apokalipsa w tropikach, reż. Petra Costa, prod. Brazylia, USA, Wielka Brytania, Netflix, 109 min

Nowy film Petry Costy podejmuje wątki z jej poprzedniego dokumentu, nominowanej do Oscara „Krawędzi demokracji". Jednak tym razem, przyglądając się brazylijskiej polityce, reżyserka analizuje, jaki wpływ na jej rozwój – a zwłaszcza na wzrost znaczenia skrajnej prawicy, która wyniosła do władzy **Jaira Bolsonaro** – miały grupy religijne i działalność liderów Kościołów ewangelikalnych. Costa sięga po archiwalne materiały, lecz jednocześnie rozmawia z duchowymi przywódcami religijnej rewolty, przede wszystkim z Silasem Malafaią, kontrowersyjnym teleewangelistą i komentatorem politycznym, w swoich poglądach być może jeszcze bardziej radykalny niż Bolsonaro. „Apokalipsa w tropikach" to obraz zaiste apokaliptyczny, świadectwo polityki budowanej na religijnym fanatyzmie i nienawiści sięgającej korzeniami XIX w. Spostrzeżenia Costy nie wydają się na pierwszy rzut oka zaskakujące – podobne sceny, włącznie z wezwaniami do mordowania przeciwników, znamy ze Stanów Zjednoczonych, a i w Polsce polityczni ekstremiści podpierają się obroną jedynie słusznej wiary – jednak ich skala poraża. Wnikliwy, przeszywający lękiem dokument ogląda się z napięciem, które rzadko towarzyszy nawet kinu grozy.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Powrót do korzeni 4/6

Słone lato (Hot Milk), reż. Rebecca Lenkiewicz, prod. Wielka Brytania, 93 min

Mimo pozornej lekkości jest to film precyzyjnie przemyślany i stawia niekoniecznie proste pytania. Nadopiekuńcza matka (Fiona Shaw), dojrzewająca dziewczyna próbująca uwolnić się spod jej toksycznych skrzydeł (**Emma Mackey**) – ileż razy można analizować taki układ, gdzie role wydają się z góry określone, a rozwiązania czytelne? „Słone lato" zrywa jednak, i to skutecznie, ze schematem, rozciągając problem relacji matka–córka na kilka pokoleń. Wnika głęboko w zranioną psychikę i przeszłość obu pań, pozwala wyciągać radykalne wnioski na temat konsekwencji zaszczepionego przez rodziców i pielęgnowanego w sobie poczucia winy, troski o siebie i bliskich oraz chęci zmiany zachowania, wyuczonych nawyków, krótko mówiąc – odwagi brania odpowiedzialności za życiowe wybory. Gdy na słonecznej hiszpańskiej plaży wyłania się na białym koniu wyzwolona Niemka (Vicky Krieps) – wyglądająca na przeciwieństwo straumatyzowanego duetu – historia skręca niby w kierunku queerowego melodramatu. Ale tu też czeka widzów spora niespodzianka. Okazuje się, że żadna z kobiet nie radzi sobie z trudną przeszłością, przyjmują tylko inne barwy ochronne. Świetnie zagrany, pogłębiony, opowiedziany delikatną kreską dramat, prowadzący do emocjonalnego katharsis.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

festiwal

Cannes w Kazimierzu

BNP Paribas Dwa Brzegi Festiwal Filmu i Sztuki, Kazimierz Dolny/Janowiec nad Wisłą, 26 lipca – 3 sierpnia

Prosto z planu „Lalki", uprzednio zagrawszy w „Mission Impossible: Dead Reckoning" z Tomem Cruise'em, Marcin Dorociński stawi się na filmowej imprezie Grażyny Torbickiej. Największa gwiazda festiwalu Dwa Brzegi udzieli lekcji kina, spotka się z widzami i będzie mieć szansę rozwinąć swoje spostrzeżenia o aktorstwie: „To nie jest zawód, z którego można wyjść po godzinach. Ja jem, śpię, żyję z kimś, kogo gram, od rana do wieczora, i to czasem bywa niezła męka". W Kazimierzu zostanie również przypomniana twórczość Krzysztofa Krauzego i Joanny Kos-Krauze oraz irlandzkiego mistrza reżyserii Neila Jordana mierzącego się z tematami tożsamości seksualnej, śmierci, autora m.in. wciąż robiącej niesamowite wrażenie „Gry pozorów". Na otwarcie – Złota Palma z Cannes, czyli irański dramat polityczny „To był zwykły przypadek" Jafara Panahiego. Będzie też kilka innych głośnych tytułów nagrodzonych parę tygodni temu na Lazurowym Wybrzeżu: subtelna „Romería" Hiszpanki Carli Simón o dojrzewaniu nastolatki poznającej tajemnice swoich rodziców, wstrząsający kafkowski dramat o zbrodniczym sowieckim systemie „Dwóch prokuratorów" Siergieja Łoźnicy oraz **„Młode matki"** braci Dardenne, moralitet o samotnych dziewczynach wychowujących dzieci bez ojców. Ponadto jak zwykle sporo koncertów, ciekawych spotkań, wystaw, pokazów na rynku i dokumentalnych hitów. JW

eprasa.pl 6b8abdb715

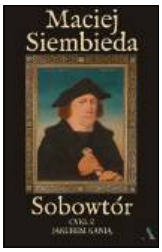

Deska prawdy 4/6

Maciej Siembieda, **Sobowtór**, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2025, s. 376

Na okładce siódmej części powieści kryminalnych z Jakubem Kanią widnieje portret wypisz wymaluj samego autora w XVI-wiecznym stylu. Jednak to nie autor książki, lecz prawdziwy obraz znajdujący się w Muzeum Książąt Czartoryskich, przypisywany przez długi czas Hansowi Holbeinowi. I właśnie fałszywe „Holbeiny" malowane przez genialnego fałszerza „Gemello" na starych deskach są jednym z głównych motywów „Sobowtóra". Perypetie fabularne trzymają w napięciu, a w tle dostajemy sporo wiedzy z historii malarstwa. Wątki z 2017 r. przeplatają się z czasami przed- i powojennymi, kiedy rozwija skrzydła niejaki Soboń, mistrz handlu fałszywymi dziełami sztuki. Z kolei Jakub Kania to właściwie antydetektyw – człowiek bez nałogów (oprócz tego, że lubi ciastka), z poukładanym życiem osobistym. Pracował przez lata jako prokurator w Instytucie Pamięci Narodowej, a potem jako ekspert od oszustw ubezpieczeniowych. W śledztwie towarzyszy mu dziennikarka Ludmiła Ungier, nieustająco podrywająca mężczyzn, której postać jest jednak narysowana zbyt stereotypowo. Zresztą prawdziwą bohaterką tej opowieści jest historia – to ona wychodzi na plan pierwszy za sprawą żydowskiego kolekcjonera sztuki, hrabianki Rzewuskiej, a przede wszystkim Soboniów, ojca i syna. Wszystko to fikcyjne postacie, ale mechanizmy dobrze znamy. Soboniowie doskonale przystosowują się do każdych czasów, zmieniają barwy polityczne w zależności od okoliczności. I takich postaci, również dziś, znajdziemy wiele. Rozwiązanie zagadki nie rozczarowuje, ale to właśnie ten portret zła w historii zostaje w głowie.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

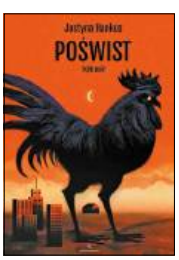

Wtedy i dziś 4/6

Justyna Hankus, **Poświst. Folk noir**, Powergraph, Warszawa 2025, s. 320

Po raz kolejny Justyna Hankus opatruje swoją powieść podtytułem „Folk noir" i znów spełnia zawartą w nim obietnicę. „Poświst" – tytuł w demonologii słowiańskiej oznacza istotę będącą personifikacją wiatru – elementy słowiańskiej mitologii wplata w historię gęstą, ciemną, duszną niczym powietrze przed nadciągającą burzą. Pierwsza część książki to portret wiejskiej społeczności z początku lat 30. XX w., kipiącej od emocji, sekretów, tłumionych pragnień i głęboko skrywanych animozji. Akcja części drugiej, bardziej wyciszonej i skupionej, rozgrywa się we współczesnej Warszawie. W obu uwaga autorki koncentruje się na kobietach: najpierw na Emilii, młodej dziewczynie zakochanej w przyjezdnym kowalu, potem na Mariannie, jej prawnuczce, która o swoich przodkach nie wie nic, lecz demony przeszłości, czasem bardzo dosłowne, nieustannie zakradają się do jej życia. Proza Hankus, choć poniekąd wpasowuje się w modne trendy, nie sprawia wrażenia pisanej, by zaspokoić zapotrzebowanie na miks wątków ludowych i słowiańskich. W „Poświście" elementy fantastyczne nie są gatunkowym wytrychem, lecz stają się naturalną częścią rzeczywistości, zszywają to, co już się zdarzyło, z tym, co dopiero nadejdzie. A za zasłoną magicznego realizmu skrywa się przejmująca historia traum i lęków, szaleństwa i gniewu, miłości i rozczarowania. Pełna goryczy, niepozbawiona nadziei, szorstka i czuła jednocześnie.

JAKUB DEMIAŃCZUK

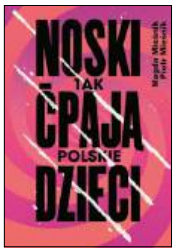

Kryształowe dzieci 5/6

Magda Mieśnik, Piotr Mieśnik, **Noski. Tak ćpają polskie dzieci**, Wydawnictwo Muza, Warszawa 2025, s. 350

To ten rodzaj książki, po które sięga się niechętnie. Trudny temat, brudne sprawy, przecież mnie to nie dotyczy – różnie można sobie tę niechęć tłumaczyć. Pytanie tylko, czy rzeczywiście nie dotyczy. No i jak długo, bo z lektury „Nosków" wynika, że temat dotyczy coraz większej liczby dzieci, a co za tym idzie, i rodziców. Tym bardziej że branża idzie z duchem czasu. Narkotyki można zamówić jak pizzę, z dowozem do domu, i nikt nikomu dowodu tu nie sprawdza. Liczy się pieniądz. A przebitka jest kosmiczna. Wyprodukowanie kilograma mefedronu (w slangu młodzieżowym – kryształ) kosztuje często mniej, niż diler bierze za jedną działkę. Przy takich pieniądzach i w takiej branży ciężko liczyć na skrupuły. Albo o hamulce u klientów, o czym w książce opowiada diler: „z mefedronem jest tak, że najpierw jest całkiem przyjemnie, ale potem zostaje pusta stymulacja. I masz bardzo dużą potrzebę, żeby znowu jebnąć. Inaczej. Musisz jebnąć". Ta opowieść jest bardzo przekonująca nawet pomimo tego, że anonimowa. Na szczęście autorzy zachowali balans nie tylko pomiędzy tym, co chwytliwe i mądre, ale też w ilości anonimowych i oficjalnych źródeł. Balans jest również pomiędzy tym, co do opowiedzenia mają sami rozmówcy. Rozmowa z księdzem Edwardem Rysztowskim z Katolickiego Ruchu Antynarkotycznego (KARAN) przełamuje czarną wizję dr Anety Górskiej-Kot. Przy czym obydwie te rozmowy są bardzo ważne i głębokie. Tak jak głęboka potrafi być otchłań nałogu. Wielką siłą „Nosków" jest próba odpowiedzi na pytanie, co pcha dzieci w tę otchłań. „Noski" warto przeczytać również dlatego, że może dzięki temu sami w tę otchłań nie będziemy musieli zaglądać.

JULIUSZ ĆWIELUCH

© ANNA REZULAK/KFP, MP (6), CSW ZAMEK UJAZDOWSKI, JEFF KRAVITZ/FILMMAGIC/GETTY IMAGES, GUTEK FILM/MONOLITH

eprasa.pl 6b8abdb715

galeria

Co pod trawą piszczy 5/6

Gleba i przyjaciele, CSW Zamek Ujazdowski, Warszawa, do 26 października

Krzysztof Maniak, Bez tytułu, 2017 r.

Styk antropocenu ze światem przyrody, cywilizacyjne zagrożenia natury i ekologiczne wyzwania coraz częściej stają się tematem ekspozycji organizowanych przez muzea czy galerie. Stołeczna zbiorowa wystawa „Gleba i przyjaciele" różni się jednak od większości z nich, i to w dwóch istotnych kwestiach. Po pierwsze, polsko-czeski tandem kuratorski (współorganizatorem jest galeria Plato z Ostrawy) ograniczył się do jednego aspektu natury, tytułowej gleby (przyjaciele zaś to rośliny, grzyby i zamieszkujące ją drobne żyjątka). W sumie ambitnie, bo chyba łatwiej byłoby snuć opowieść o wodzie czy o zmianach klimatycznych. Ale znacznie ciekawszym zabiegiem okazało się przyjęcie perspektywy, którą nazwałbym artystyczno-poetycką. Zazwyczaj bowiem tego typu ekspozycje kreślą szeroką – i apokaliptyczną – wizję skutków bezmyślnego antropocenu: społecznych, gospodarczych, przyrodniczych. Zawierają dystopijne w treści tabele, wykresy, filmy, zdjęcia. Tymczasem w CSW królują nastroje melancholii i zadumy, obrazy, jeśli nawet smutne, to piękne, biorące się z uważnej obserwacji i wrażliwości, a nie z analiz i badań. Kwintesencją takiej optyki jest poetycki film, w którym główną rolę grają rzewne, ale i hipnotyczne pieśni irlandzkiej artystki Deirdre O'Mahony napisane do słów opowieści… rolników czy producentów żywności. Całość oryginalna i wciągająca.

PIOTR SARZYŃSKI

muzyka

Wybić się na przeciętność 3/6

Justin Bieber, **SWAG**, Def Jam

Prawa rynku są nieubłagane – trzeba zatrudnić influencera. Ten przyjdzie na sesję i powie to, co należy. W tym wypadku: „Słyszę tu twoją duszę! Twoja skóra jest biała, ale dusza czarna". Te słowa padają w króciutkim „Soulful", a autorem komplementu jest Druski, rówieśnik 31-letniego dziś Justina Biebera, nastoletniej supergwiazdy, która – niestety, również zgodnie z prawidłami rynku – zaraz po dwudziestce wpadła w życiowy i artystyczny dryf. Wydane praktycznie bez zapowiedzi „SWAG" jest dla Biebera wyraźnie płytą terapią. Kanadyjski gwiazdor wraca w bezpieczne rejony – do muzyki, na której się wychował, czyli niespecjalnie unowocześnionej, za to mocno przesiąkniętej R&B popowej piosenki z przełomu wieków, opartej na wzorcach Michaela Jacksona i Justina Timberlake'a. Bywa tu przekonująco: jak w „Daisies", do którego autor zaprosił zdolnego artystę młodego (ale wciąż swojego) pokolenia Mk.gee, albo „Devotion", soulowym duecie z Dijonem. Żeby wyłapać te najlepsze chwile, trzeba jednak przepłynąć przez rzeki banału, jezioro oczywistości i ocean nudy. Oczywiście nikt was tak nie skomplementuje jak wynajęty influencer, ale spróbuję możliwie ciepło opisać to po swojemu: na nowym albumie Bieber w sumie wybija się na przeciętność i jest to, biorąc pod uwagę jego realne możliwości, całkiem duże osiągnięcie.

BARTEK CHACIŃSKI

nie przegap

Death Valley, 6 odc., BBC Player (na Canal+)

Cosy mystery – kryminały z przymrużeniem oka, na tyle łagodne, by nie potęgować stresu – to świetna propozycja na niespokojne lato i czasy. „Death Valley", nowy serial BBC, przynosi malowniczą scenerię walijskiej prowincji, brytyjski humor i parę niedobranych śledczych – młodą, ambitną, przesadnie szczerą sierżant (Gwyneth Keyworth) i emerytowaną gwiazdę serialu detektywistycznego, dziś odludka (Timothy Spall) – którzy stają się dla siebie wsparciem nie tylko na miejscu zbrodni. AK

Elon Musk: Amerykański oligarcha, scen. i rys.: Darryl Cunningham, Non Stop Comics

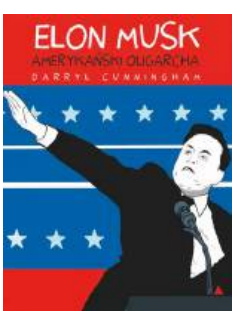

Komiksowa biografia Elona Muska nie tylko śledzi jego naukową i polityczną karierę, sięga także do historii jego rodziny, by przyjrzeć się korzeniom ambicji i radykalizujących się poglądów technokraty. Formuła prosta – sporo tekstu, umowne, często symboliczne rysunki – ale lektura fascynująca, podparta solidnymi źródłami i nieuciekająca od ironii. Autor przewidział tu nawet rozpad „przyjaźni" Muska z Donaldem Trumpem. A ciąg dalszy zapewne nastąpi. JD

Piknik pod Wiszącą Skałą (Picnic at Hanging Rock), reż. Peter Weir, prod. Australia, (ponownie) w kinach

Jedna z najbardziej enigmatycznych, lecz niezwykle satysfakcjonujących filmowych wędrówek przez ludzką wyobraźnię. Liczące sobie pół wieku arcydzieło Australijczyka Petera Weira nazywane bywa mistyczną podróżą inicjacyjną, dla innych jest to gorączkowy sen z kryminalną zagadką, której wyjaśnienie każdy tworzy sobie sam. „Wołanie z innego wymiaru" – to być może najlepsze określenie dla tego eksperymentu artystycznego pozostawiającego ślad nawet po wielokrotnym obejrzeniu. JW

eprasa.pl 6b8abdb715

Wyprzedany koncert białoruskiego rapera Maksa Korża na PGE Narodowym pokazuje, jak mocno i szybko rynki muzyczne naszych wschodnich sąsiadów stapiają się z polskim.

Pora diaspory

KRZYSZTOF NOWAK

W przededniu dwóch występów na PGE Narodowym Kuba „Quebonafide" Grabowski udzielił słodko-gorzkiego wywiadu Kanałowi Zero, wieszcząc schyłek naszej lokalnej wizji hip-hopu. „Doszliśmy do punktu, w którym w tym [rapowym] zbiorze wizerunkowym nie ma już wielu punktów" – mówił. Według niego po zapełnieniu kilku luk skończy się najpopularniejsza estetyka w Polsce.

Chyba że na polskim rynku muzycznym pojawi się ktoś taki jak Alejandra „Arca" Ghersi Rodríguez, czyli osoba niebinarna zajmująca się awangardowymi dźwiękami. A później raper transseksualny czy homoseksualny i artyści z regionalnym kolorytem: Ślązak i Góral. Albo rapująca po polsku osoba z Ukrainy. Dobry rynkowy start da jej doświadczenie zdobyte w głównym nurcie własnej ojczyzny.

I tak się dzieje – Białorusin Maks Korż wyprzedał polski PGE Narodowy w zaledwie pięć dni.

Początek kariery niespełna 37-letniego artysty z Łunińca, nieco ponad 20-tysięcznego miasta w obwodzie brzeskim, obfitował w wydarzenia niczym wyjęte z vademecum dawnego rapera. Kandydat na artystę rzucił szkołę i się zapożyczył, by spełniać marzenia. Najpierw posługiwał się prostymi rymami i równie nieskomplikowanymi muzycznie formami, a szersza publiczność poznała go dzięki debiutanckiemu albumowi „Żywotnyj mir" z 2012 r. Z upływem lat pokazał swój pomysł na nowoczesny, chwytający za wschodnie serca szanson. Zbliżył się stylistycznie do lokalnej muzyki popularnej, notując – w światowym obiegu występuje jak Max Korzh – miliony odsłuchów w serwisach streamingowych.

Buntownik z nadania

Korż nagrywa po rosyjsku, ledwie tylko wtrącając białoruskie słowa, lecz to akurat najmniejszy problem. Entuzjaści jego muzyki i niektórzy eksperci uznają, że międzynarodowa kariera wymaga po prostu zrozumiałego przez większość języka. Współpraca z rosyjską wytwórnią to w jego przypadku wybór ekonomiczny, a nie ideologiczny. Ponad dekadę temu występował na Białorusi oraz w Ukrainie i Rosji, w 2016 r. Służba Bezpieczeństwa Ukrainy zabroniła mu jednak na pięć lat wjazdu do kraju

eprasa.pl 6b8abdb715

Muzycy ukraińskiej hiphopowej formacji Kalush Orchestra, zwycięzcy Eurowizji w 2022 r., zagrali na kilku polskich festiwalach

Po lewej: **koncert Maksa Korża w Rydze, wrzesień 2023 r.**

Po prawej: **białoruski postpunkowy zespół Molchat Doma na tegorocznym Open'erze**

z powodu występów na Krymie (ostatecznie zakaz funkcjonował niewiele ponad rok). Warszawskie widowisko odbędzie się 9 sierpnia – w piątą rocznicę białoruskich protestów po sfałszowanych wyborach prezydenckich.

To właśnie pięć lat temu wielu zaczęło patrzeć z nieufnością na supergwiazdę. Jego rodakom nie tylko bowiem zabrakło dobitnego sprzeciwu wobec działań Aleksandra Łukaszenki, lecz także nie spodobał im się długi wpis artysty na Instagramie. Białorusin popierał walkę, ale apelował, by protestujący dali sobie przez chwilę na wstrzymanie, bo inaczej dojdzie do rozlewu krwi. Kilka dni później pojawił się jednak na demonstracji i zrezygnował z występów w krajach rządzonych przez wschodnich dyktatorów. Po kilku miesiącach, w swoje 32. urodziny (23 listopada 2020 r.), opublikował dziewięciominutowy, alegoryczny utwór „Её виной (Her Fault)" o upadającym kraju. Towarzyszył mu teledysk z biało-czerwono-białymi flagami niepodległej Białorusi oraz przebitkami z sierpniowych wydarzeń.

Od paru lat Korż trzyma się w cieniu. Ze względów bezpieczeństwa nie wiadomo, gdzie przebywa, rzadko udziela się muzycznie i ograniczył działalność sceniczną. Wysiłki organizatorów stołecznego koncertu dobrze ilustrują powagę i wyjątkowość sytuacji. Zadbali bowiem o wycieczki autobusowe z różnych części Europy. Wśród miast są m.in. Amsterdam, Berlin czy Monachium. Jeszcze okazalej wygląda mapa czatów utworzonych na Telegramie, by fani mogli się ze sobą kontaktować. Ten ogólny ma już ponad 20 tys. uczestników, a w każdym kraju kontynentu jest jeszcze lokalny. Można wręcz zaryzykować stwierdzenie, że Warszawa zyska nową dzielnicę, bo obok stadionu stanie na trzy dni miasteczko namiotowe.

Przybysze i tutejsi

W ostatnich latach artyści zza naszej wschodniej granicy naturalnie wkomponowali się w rynek koncertowy. Szczególnie ci kojarzeni z Eurowizją. Kalush Orchestra (zwycięstwo z 2022 r.) nagrywała m.in. z popularnym raperem Mateuszem „Szpakiem" Szpakowskim i zagrała na kilku festiwalach. Wokalistka Jana „Jerry Heil" Szemajewa połączyła siły z Bartoszem „Przyłucem" Przyłuckim, też raperem, lecz największą karierę zrobiła Alona „alyona alyona" Sawranenko, jej eurowizyjna współpracowniczka (trzecie miejsce w 2024 r.). Raperka podpisała nawet kontrakt z Def Jam Recordings Poland, czyli oddziałem Universal Music Polska.

– *Artyści z Ukrainy i Białorusi coraz mocniej zaznaczają swoją obecność na polskiej scenie koncertowej* – mówi Tomasz Kiersnowski, ▶

© MAXHORZH.LIVE, GARETH CATTERMOLE/GETTY IMAGES, ROBERT URBANIAK

eprasa.pl 6b8abdb715

▶ Sales Manager w firmie eBilet. I prezentuje potwierdzające to dane. W 2017 r. we wspomnianej bileterii było 200 wydarzeń ze wschodnimi artystami. Teraz jest ich ponad 4,5 tys., co oznacza dwudziestokrotny wzrost. Co więcej, w połowie tego roku osiągnięto już w tej sferze poziom całego zeszłego. Trend nabrał rozpędu po 2022 r., a Kiersnowski uzasadnia go popularnością zapraszanych artystów, kulturową solidarnością i napływem ludzi w związku z sytuacją geopolityczną. W 2025 r. liczba użytkowników ukraińskojęzycznych na stronie marki wzrosła o 26 proc. rok do roku, a samych kupujących – niemal o 10. Nie wiemy za to, jak dużo Polaków chodzi na takie koncerty. Na pewno jednak rozkład popularności przedsięwzięć wśród samych imigrantów nie jest równy.

– *Jedynym minusem jest to, że było bardzo mało ludzi* – podsumowuje swój czerwcowy występ w Warszawie blisko 60-letni Lawon Wolski, legendarny białoruski muzyk rockowy, uznany przez reżim Łukaszenki za ekstremistę. Zastanawia się głośno: może to dlatego, że Music Week Poland (showcase'owy festiwal prezentujący lokalne i europejskie brzmienia) odbywał się po raz pierwszy? Ważne jest to, że artysta dał w stołecznym klubie Oczki energetyczny, głośny show z wolnościowym przekazem. To nie był stracony czas, tym bardziej że on i członkowie jego zespołu mieszkają w Warszawie. Tutaj nagrywają muzykę i stąd jeżdżą w trasy. W planach mają dwie rzeczy: zamierzają złożyć dokumenty o ochronę międzynarodową, bo ich zezwolenia na pobyt dobiegają końca, a gdyby wrócili na Białoruś, najpewniej trafiliby do więzienia. Chcą też zainteresować swoją muzyką lokalną publiczność, bo ich widzowie to w lwiej części przyjezdni.

Warszawa to także od kilku lat bezpieczna przystań indie-popowego duetu Naviband. Jak twierdzą jego członkowie, to tu mają największą liczbę odbiorców poza Białorusią i Ukrainą. Dają koncerty kilka razy w roku, z czego jeden duży, na ok. 2 tys. osób, odbywa się od dwóch lat w stołecznej Progresji. Już niebawem ich zeszłoroczna piosenka „Mama" doczeka się polskiej wersji – być może nawet z kimś z naszego rynku. Obraz nie jest jednak w pełni kolorowy. Białorusini postrzegają polski rynek muzyczny jako dość zamknięty. Największym wyzwaniem jest niezrozumienie ze strony właścicieli lokali: kim są i co tu robią? Jak twierdzą muzycy, ich diaspora nie prowokuje bójek, nie szuka kłopotów i nie zostawia po sobie pustych butelek po piwie. Pozytywny przekaz idzie w świat.

Muzyka i podziały

Muzyczną kurację na geopolityczną nieufność zafundował nam podczas tegorocznych eliminacji do Eurowizji opisywany w POLITYCE latyno-podlaski duet Sw@da i Niczos. Podczas Music Week Poland byli jednymi z większych gwiazd. Ale uwagę festiwalowej publiczności skupił również polsko-białoruski, folkowy zespół Hajda Banda, w którym udziela się Nika „Niczos" Jurczuk. Popularność zdobył także polsko-białoruski piosenkarz Dima „Pan Savyan" Savyan odwołujący się do lat 80. Internetową sławę przyniósł mu utwór „W kolorku amaretto", a to zaowocowało występami w telewizjach śniadaniowych. Open'er, największy polski festiwal muzyczny, też wrócił w tym roku do TVP, a jednym z pokazywanych koncertów był ten białoruskiego postpunkowego, robiącego karierę na świecie zespołu Molchat Doma (pisaliśmy o nim w POLITYCE 38/24).

– *Jeśli ktoś tak to widzi, to OK, niech tak będzie* – rzuca Tomek Hoax, współzałożyciel wytwórni Coastline Northern Cuts, która wydała m.in. album wspomnianej Niczos i Antoniny Car. To jego reakcja na stwierdzenie, że wyrósł na trybuna protestów przeciwko występom artystów wspierających rosyjską narrację. Od razu zaznacza: to nie rola, tylko reakcja. Poza tym byli jeszcze z nim Katia, Maja, Vladko i Wojtek. Sam pochodzi z Gdyni, o której mówi, że symbolicznie wyrzuciła Rosjan z Polski, a do tego jeździł wielokrotnie do naszych sąsiadów choćby w ramach Music Ambassadors Tour. Jako motywację wskazuje to, że nie mógł już dłużej siedzieć cicho. W Ukrainie giną ludzie, a ktoś do naszej stolicy zaprasza artystkę wspierającą latami rosyjski imperializm pod płaszczykiem neutralności i hasła: muzyka ponad podziałami.

Chodzi mu o występ w klubie Smolna didżejki, producentki i wokalistki techno Niny Kraviz, która wcześniej m.in. opublikowała zdjęcie z podobizną Putina po zajęciu Krymu i broniła ZSRR. Hoax zgromadził pod klubem protestujących, którzy utworzyli po obu stronach ulicy coś w rodzaju korytarza, przez który trzeba było przejść, by dostać się do środka. Ludzie buczeli, wznosili okrzyki. A część wchodzących dziwiła się, że ich idolka ma takie poglądy. Hoax pisał też w sprawie tego występu do premiera, MSZ, MSWiA i Służby Kontrwywiadu Wojskowego. Bo – jak uważa – państwo powinno się przyglądać działalności organizatorów z krajów sąsiedzkich. Jego zdaniem to kwestia bezpieczeństwa. Kultura ma moc miękkiego wpływania na przekonania jej odbiorców, a propaganda nie kończy się na wiadomościach.

Zapraszanie kontrowersyjnych postaci to oczywiście tylko ułamek wszystkich wschodnich wydarzeń w Polsce. Niejednokrotnie przyjeżdżają do nas artyści mający zakaz wjazdu do Rosji, rynek rozwija się we wszystkich kierunkach.

Agencja ze Wschodu

Tomasz Kiersnowski wskazuje też na wyraźny wzrost aktywności organizatorów z krajów kojarzonych ze Wschodem. Za przykłady służą mu takie organizacje jak Svitlo czy Zaxidfest. Pierwsza skupia się na masowych, względnie tanich (do 100 zł za bilet) koncertach, najczęściej z repertuarem coverów znanych nagrań, choćby w Łazienkach czy ogrodzie botanicznym w Krakowie. Rozpiętość gatunkową można opisać krótko: od Billie Eilish do Rammsteina. Ma też w ofercie wydarzenia na 28. piętrze warszawskiego wieżowca, w trakcie których odbiorcy słyszą interpretacje muzyki dawnych tuzów jazzu i oryginalny repertuar innych postaci gatunku. Do tego na jej zaproszenie do Warszawy przyjechał choćby amerykański skład rapowy Earthgang. Zaxidfest przygotowuje się z kolei do dwumiesięcznej trasy po filharmoniach z muzyką z serii filmów o Harrym Potterze.

W Polsce działa też wyspecjalizowana w koncertach wschodnich artystów bileteria Mticket wraz z powiązaną z nią agencją koncertową Etso8. O tej zrobiło się u nas głośno w kwietniu zeszłego roku. To wtedy tłumaczyła się z zapowiadanego koncertu Music 4 Life, na który – co wywołało kontrowersje – zaproszono rosyjskich artystów. Firma zdecydowanie potępiła wtedy agresję w Ukrainie i zadeklarowała, że nie współpracuje ani z osobami mieszkającymi w Rosji, ani z jej sojusznikami. 5 proc. zysków z wydarzenia przekazała na fundację zajmującą się rehabilitacją ukraińskich dzieci doświadczonych rosyjską agresją.

Wrzawa ucichła, a portfolio agencji się rozrasta. Najjaśniejszym punktem w jej planach ma być sierpniowy koncert 50 Centa, ostatnio niemal nieaktywnej muzycznie legendy amerykańskiego rapu. Odbędzie się 10 sierpnia na PGE Narodowym. Czyli dzień po Maksie Korżu, którego występ organizowali na Torwarze w 2019 r.

KRZYSZTOF NOWAK

eprasa.pl 6b8abdb715

„Henryk Lula. Ceramika. Sztuka materii", wystawa w Zachęcie. Projekty 95-letniego artysty to ceramiczna czołówka.

Słabość do magii

Niemal równocześnie ukazały się dwa niezależne raporty podsumowujące rynek aukcyjny i galeryjny w Polsce w 2024 r. Co kupują rodacy?

PIOTR SARZYŃSKI

Po dwóch latach regresu rynek aukcyjny i galeryjny zaczął się znowu umacniać. Pokazują to dwa raporty firm, które go uważnie śledzą: Artinfo oraz OneBid. Według tej pierwszej firmy analitycznej rodacy kupują przede wszystkim malarstwo, które generuje 80 proc. obrotów aukcyjnego rynku sztuki. Najchętniej – i na to nie skąpią pieniędzy – poluje się na dzieła słynnych artystów; zaledwie 30 nazwisk odpowiada za ponad połowę wartości transakcji całego rynku. Najlepiej, gdy są to prace z najwyższej półki. Zaledwie 5 proc. oferty na rynku aukcyjnym stanowiły obiekty wycenione powyżej 50 tys. zł, ale już ich udział w obrotach wyniósł aż 74 proc. Słowem: to najbogatsi rozdają karty. Co chyba nie powinno dziwić.

Solą rynku aukcyjnego są dwie rzeczy: cenowe rekordy oraz niezwykłe obiekty. Tych pierwszych nie było w 2024 r. zbyt wiele. Wprawdzie 6,5 mln zł (rekord cenowy omawianego sezonu) uzyskane za obraz Andrzeja Wróblewskiego „Zatopione miasto II" z 1948 r. robi spore wrażenie, ale uważnie śledzący handlowe transakcje dobrze pamiętają, że trzy lata wcześniej jego „Dwie mężatki" (1949 r.) znalazły nabywcę za 13,5 mln zł. Transakcji powyżej 10 mln było zresztą w ostatnich latach więcej, by przypomnieć choćby „Portret córki Heleny z krogulcem" Jana Matejki (12,1 mln zł), grupę rzeźb Magdaleny Abakanowicz „Bambini" (13,5 mln) czy całkiem niedawną, sprzed kilku miesięcy, sprzedaż okazałego płótna Jacka Malczewskiego „Rzeczywistość" za 22,2 mln zł.

2024 r. nie był więc może czasem niesamowitych rekordów, ale kilka licytacji z pewnością warto dostrzec. Na przykład złotego dukata Zygmunta I Starego z 1546 r., która przekroczyła milion złotych (dwa inne dukaty wybite za panowania Zygmunta III Wazy osiągnęły także budzące szacunek ceny 700 i 360 tys.). Czy zbioru listów i kart poczty harcerskiej z powstania warszawskiego, na które nabywca wyłożył ponad pół miliona złotych. Trudno nie zauważyć też faktu, że znalazł się chętny gotowy wydać 4 mln zł na rysunek tuszem Andrzeja Wróblewskiego. W ogóle siła przyciągania wielkich nazwisk jest tak duża, że nawet produkowane seryjnie (nakłady po 100 egz.) serigrafie z obrazów Tamary Łempickiej regularnie sprzedawały się za 40–60 tys. zł, a za replikę rzeźby „Akt kobiecy" Katarzyny Kobro, wykonaną w 2013 r. – a więc ponad 60 lat po śmierci artystki – ktoś zapłacił 660 tys.

Było też sporo aukcyjnych ciekawostek. Z tych większych na pewno zwrócił uwagę rękopis „Kuchni na sześć osób podług przepisów JP Tremona, Pierwszego Kuchmistrza Stanisława Augusta" z końca XVIII w. (cena 144 tys. zł). ▶

© DANIEL RUMIANCEW/ZACHĘTA

eprasa.pl 6b8abdb715

▶ Ze spersonalizowanych pamiątek wyróżniała się gitara Fender należąca do lidera Lady Pank Jana Borysewicza (300 tys. zł), który sprzedał we wrześniu część obszernej kolekcji swoich instrumentów. Była też kaseta z zestawem sztućców Ignacego Jana Paderewskiego (72 tys.), piękna para pistoletów pojedynkowych Tadeusza Wiśniowieckiego (102 tys.) czy licząca dwa metry długości mapa Galicji i Londomerii z 1790 r. (15,5 tys. zł).

Ciekawostką raczej dla zaawansowanych miłośników sztuki okazała się oferta sprzedaży obrazu Jeremiego Kubickiego „Manewry". Ten świetnie zapowiadający się artysta zmarł śmiercią samobójczą w 1938 r. w wieku zaledwie 27 lat, a jego skromny dorobek uległ niemal w całości zniszczeniu podczas bombardowania Warszawy w 1939 r. Zamożny kolekcjoner zapłacił za ocalałe dzieło 2,1 mln zł.

Jaką sztukę i antyki Polacy kupują i kolekcjonują najchętniej? Zacznijmy od tego, czego unikają. Mimo dwóch dekad obecności Polski w Unii Europejskiej nadal hołdujemy sprawdzonej zasadzie „lubię to, co znam". A znamy – przynajmniej tak nam się wydaje – polskich artystów. Z zestawów najważniejszych transakcji ubiegłego roku udało się wysupłać ledwie kilka transakcji dzieł z zagraniczną atrybucją. Na pewno wyróżniła się i zaskoczyła sprzedaż obrazu klasyka współczesności, niemieckiego malarza Georga Baselitza „Der Hase" za blisko 6 mln zł, tudzież pracy olejnej pochodzącego z Węgier prekursora op-artu Victora Vasarelyego za 840 tys. Poza tym kilka grafik Yayoi Kusamy, jakaś serigrafia Warhola. I to wszystko. Zaskakuje też nieobecność sztuki dawniejszej niż ta pochodząca z końca XIX w. Wśród stu najdrożej sprzedanych w 2024 r. obrazów najstarszy był ten olejny Józefa Brandta z... 1869 r. Gdyby Rubens urodził się w Polsce, nie miałby wielkich szans na rynkowy sukces. Podobnie jak Rafael Santi, z którego popularnością byłoby jeszcze gorzej, bo rodacy jak diabeł święconej wody unikają tematyki religijnej, co w kraju tak przesiąkniętym katolicyzmem jest właściwością dość osobliwą.

Gusta nabywców sztuki ewoluują powoli. Generalnie od efekciarstwa i sentymentu ku artystycznej jakości. Od sztuki dawnej ku nowoczesności. W pewnym uproszczeniu: od Kossaków i Rychter-Janowskiej ku Fangorowi i Nowosielskiemu. Osobliwością rynku jest wyjątkowa popularność (co przekłada się na ceny) nurtu zwanego realizmem magicznym, z jego heroldami w osobach Beksińskiego, Olbińskiego czy Yerki, ale też nowymi gwiazdami typu Daniel Pawłowski. Wprawdzie ostatnio nurt ów nieco osłabł, ale z pewnością wkrótce znów nabierze wigoru. Zamiast do sztuki religijnej mamy więc słabość do magii.

Najwięcej sprzedawało się prac twórców, którzy byli (lub są) najbardziej płodni. Właściciela zmieniło zatem 127 dzieł Edwarda Dwurnika, 126 (głównie grafik) Rafała Olbińskiego, 112 Zdzisława Beksińskiego, 110 Vlastimila Hofmanna, 95 Nikifora i Jerzego Nowosielskiego, 85 Zofii Stryjeńskiej i 79 Jerzego Kossaka. Najrzadziej z kolei pod młotek szły te dzieła, które uchodzą za rzadkie i z którymi niechętnie rozstają się dotychczasowi właściciele. Na przykład tylko czterokrotnie w nowe ręce trafiały obrazy Józefa Chełmońskiego, Aleksandra Orłowskiego czy Władysława Podkowińskiego.

Zupełnie inaczej kształtuje się czołówka, jeśli pod uwagę weźmiemy nie ilość, ale ceny. W top 20 malarstwa króluje Jacek Malczewski, reprezentowany czterema pracami. Ciekawe, że w tym rankingu jest tylko jedna żyjąca osoba – Ewa Juszkiewicz, której dwa obrazy znalazły się odpowiednio na 7. i 9. miejscu z cenami 3,7 oraz 3,3 mln zł. Jeśli się przyjrzeć tylko malarstwu współczesnemu, prym wiedzie Wojciech Fangor (sześć obrazów w pierwszej dwudziestce). Ciekawe, że Stefan Gierowski, bodaj największy klasyk polskiej powojennej awangardy malarskiej, znalazł się dopiero na miejscu 80. z pracą sprzedaną za 530 tys. zł.

Złoty dukat Zygmunta I Starego z 1546 r. zlicytowano za ponad milion złotych

Osobną kategorią wyróżnianą na rynku sztuki jest tzw. Nowe Pokolenie, czyli twórcy, którzy w dorosłość weszli już w XXI w. Tu nie ma niespodzianek. Poza wspomnianą Juszkiewicz w czołówce jest także Paulina Ołowska oraz starzy znajomi: Wilhelm Sasnal i Piotr Uklański. Z „młodzieży" przed czterdziestką wyraźnie odstają od reszty rówieśników Agata Kus i Karol Palczak.

Rzeźba to niesłabnące królestwo Magdaleny Abakanowicz (dziewięć prac w top 20) oraz Aliny Szapocznikow (cztery prace). W fotografii prym wiedzie Natalia LL (siedem prac), a ceramika to absolutna dominacja projektów 95-letniego dziś Henryka Luli (11 w czołówce, w tym rekordowa „Forma wieloczłonowa" za 78 tys. zł). Rośnie wyraźnie zainteresowanie wszelkimi militariami, historycznymi pocztówkami, srebrami i platerami oraz numizmatami.

Słabiutko natomiast – co trochę dziwi – radzi sobie rynek zabytkowych mebli. Sporo chętnych jest na niewielkie mebelki z czasów PRL (np. fotele) i art déco (stoliki, kwietniki, stojące wieszaki). Ale poza

Obroty i podmioty

449 mln zł wyniosły ubiegłoroczne obroty na rynku aukcyjnym w Polsce. Oznacza to wzrost rok do roku o 2,8 proc. Aż 100 mln z tej sumy przypadło na grudzień (prezenty?) i tylko 4 mln – na styczeń. Na 495 aukcjach zorganizowanych przez 44 podmioty (domy aukcyjne, fundacje, stowarzyszenia, galerie) wystawiono łącznie 46 tys. obiektów, a sprzedano 21 tys., co oznacza, że niemal co drugi zmienił właściciela. Potentatem na rynku pozostaje dom aukcyjny Desa Unicum, który generuje blisko połowę obrotów. Za nim sytuują się PolSwiss Art oraz Sopocki Dom Aukcyjny.

© DOM AUKCYJNY POLSWISS ART (2), DOM AUKCYJNY NIEMCZYK, MARCIN KONIAK/DESA UNICUM

eprasa.pl 6b8abdb715

Polswiss Art: obraz topowej aukcyjnej malarki Ewy Juszkiewicz

Obraz Georga Baselitza „Der Hase" sprzedał się za blisko 6 mln zł. Gitara Fender lidera Lady Pank Jana Borysewicza – za 300 tys. zł.

tym? Smutek tropików. Autorzy raportu OneBid piszą: „Datowaną na pierwszą połowę XIX w., wysmakowaną w swej prostocie komodę z epoki biedermeieru, nabyć można już za 2500 zł. W przybliżeniu w takiej samej cenie dostępna jest komoda do samodzielnego złożenia, wykonana z płyty pilśniowej".

Nowością tegorocznego raportu Artinfo jest próba zmierzenia się z dotychczas słabo zbadanym rynkiem pierwotnym współczesnej sztuki. Udało się przekonać do ujawnienia swoich danych większość galerii współtworzących Warsaw Gallery Weekend. Z tych stołecznych zaprezentowania się odmówiła jedna, za to potężna, czyli Fundacja Galerii Foksal. Z kraju zabrakło kilku ważnych graczy na rynku sztuki: Galerii Krupa z Wrocławia, Molski Gallery z Poznania, Wirydarz z Lublina oraz paru placówek z Krakowa, i wypada mieć nadzieję, że pojawią się w tym zestawieniu w przyszłości. Tak czy inaczej, udało się zebrać sporo ciekawych informacji.

Część z nich to dane, rzec by można, metryczkowe: rok powstania placówki, właściciele, specyfika działalności, kilka zdjęć. Ciekawie wyglądają odpowiedzi na pytanie o udział w targach sztuki. Okazuje się, że rodzime galerie coraz śmielej wkraczają na europejskie i światowe handlowe salony. Rekordzistą pozostaje galeria Dawid Radziszewski, która w ostatnich kilku latach ma na koncie aż 20 takich imprez, w tym cztery razy obecność w najbardziej prestiżowym międzynarodowym miejscu, gdzie obraca się sztuką: Art Basel.

Najciekawszą częścią tej sondy są jednak informacje na temat artystycznych „stajni" poszczególnych galerii. Okazuje się, że opisane 22 placówki współpracują łącznie z 251 artystami, co daje średnio 11 twórców na jedno miejsce. Ale bywa, że jest ich dużo więcej (po 20 podopiecznych w galeriach Monopol i Raster, 19 w Le Guern), ale i dużo mniej (trzech w Galerii Turnus, czterech w HOS). Wszyscy twórcy wymienieni są w raporcie wraz z widełkami cen, jakie uzyskuje się za ich prace. Dzięki temu możemy się np. dowiedzieć, że za najlepsze dzieła Aleksandry Waliszewskiej trzeba zapłacić pół miliona złotych, Wilhelma Sasnala – 400 tys., Marcina Maciejowskiego – 300 tys., ale już górna granica za obraz Leona Tarasewicza to 3,5 mln zł. Niezainteresowanych na co dzień rynkiem sztuki ta karuzela zawrotnych cen może oszałamiać. Ale wszystko zależy od punktu widzenia. Prezes Artinfo Rafał Kamecki we wstępie do raportu pisze: „Ceny większości dzieł sztuki pozostały na niezmienionym poziomie od 2021 r. Zatem nie drożeją od prawie czterech lat (...). To naprawdę jest sygnał do kupowania". Czas sięgnąć po zaskórniaki.

PIOTR SARZYŃSKI

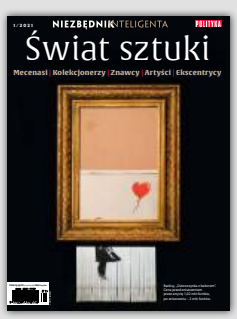

Zachęcamy także do lektury Niezbędnika Inteligenta **„ŚWIAT SZTUKI"**. Dostępny na **sklep.polityka.pl**

KUP TERAZ

eprasa.pl 6b8abdb715

Biznes hakuje miasta

Przy takiej niezrównoważonej eksploatacji miasta ryzykujemy jego upadek – mówi architekt Jacek Dominiczak, komentując turystyczne przemiany krajobrazu Gdańska.

Gdańsk, widok na Główne Miasto

ALEKSANDER ŚWIESZEWSKI: **– W swej ostatniej książce „Szara godzina. Czas na nową architekturę" Filip Springer poświęcił panu osobny rozdział. Co go aż tak ujęło w proponowanych przez pana projektach?**

JACEK DOMINICZAK: – Zajmuję się poszukiwaniem rozwiązań dla przyszłości miast. Za pomocą teorii architektury. Nie jest to częste wśród architektów i mam wrażenie, że to przede wszystkim zainteresowało Filipa. Dzisiaj jest wrażenie, że architektura, poza ekologicznym zaawansowaniem technologii, nie poszukuje zmiany. W Polsce jest to jeszcze bardziej widoczne. Wiele z kluczowych tekstów modernizmu wydano dopiero kilka lat temu. To skandal, który wywołał efekt przez Le Corbusiera zamierzony: oto niemal wszyscy zakochali się teraz w modernizmie. Co więcej, w Polsce panuje dziwna aura, w której nowa teoria najczęściej rozumiana jest jako rodzaj przeciwieństwa praktyki. Co najwyżej jako jej akademicka – w domyśle: nieżyciowa – alternatywa. Dla mnie teoria to praktyka. Tyle że wszystko, co prawdziwie nowe, tak długo pozostaje teoretyczne, jak długo czeka na pierwszą realizację.

Proszę więc opowiedzieć o pańskiej idei miasta dialogicznego.

Zaczęła się od lektury tekstów Emmanuela Lévinasa. Wybitny filozof zwrócił uwagę, że to wcale nie wolność ma kluczowe znaczenie, tylko etyka. Moją pracą było rozpoznanie, że przestrzenie miasta są rezultatem spotkań różnych architektur. Przynajmniej w teorii powinien między nimi zachodzić dialog. W tym problem. Dzisiejszym miastom najbardziej brakuje swego rodzaju architektonicznej etyki. Innymi słowy: beztroska wolność architektury powinna spełniać się we wnętrzach budynków. Za progiem domu, czyli w przestrzeni publicznej, powinna dominować już etyka.

Pana rodzinny Gdańsk można nazwać miastem dialogicznym?

Gdybym nie uczył się rozumienia i kochania przestrzeni miejskiej na Głównym Mieście, to pewnie nigdy nie zatęskniłbym za miastem dialogicznym. W Gdańsku jest jego zaczyn, bo tu na nowo przemyślano spójność europejskiej urbanistyki i architektury.

Któremu miastu najbliżej do ideału?

Lubię myśleć o Gdańsku, bo tu w trakcie odbudowy wydarzyło się coś na tamten czas niezwykłego i dialogicznego. Architekci rozpoznali, że nośnikiem pamięci miejsca nie są budynki, ale przestrzeń publiczna miasta. Fasady odbudowano więc nie dla kamienic, ale dla ulic. Natomiast za fasadami zbudowano modernistyczne przestrzenie mieszkalne. Autorzy i autorki tej odbudowy naprawdę wyprzedzili czas.

80 lat temu Armia Czerwona zrównała Gdańsk z ziemią. Odbudowa miasta dobiegła końca? Mam wrażenie, że tak naprawdę cały czas trwa.

Tak, nadal trwa. Gdy Polska powróciła do gospodarczej wolności, gdy dołączyła do Unii Europejskiej, zmiany nabrały ogromnego tempa. Jeszcze w czasach, gdy studiowałem, na najkrótszym nawet spacerze po Śródmieściu dochodziło się do jego nieoczekiwanego końca naznaczonego ruinami. 500 m w każdą stronę

eprasa.pl 6b8abdb715

i koniec. W tej chwili realizuje się moje marzenie ze studiów, by Gdańsk odbudowano w całości.

Czy można mówić o jednym Gdańsku, czy raczej o tym mieście zbudowanym po 1945 r. lepiej mówić Nowy Gdańsk? To nie są dwa różne miasta?

Nie mam wątpliwości, że to jeden Gdańsk. Niemal każde miasto ma w swojej historii naturalne albo kulturowe kataklizmy i zmiany. Ale tak właśnie tworzą się wielowarstwowe tożsamości.

Rozmawiamy na Głównym Mieście. Jak zmienia się charakter tego miejsca? Można odnieść wrażenie, że stałych mieszkańców ubywa na rzecz turystów.

Mam wielki żal, że nie doceniono lokalnej kultury Głównego Miasta, jaka wytworzyła się po pierwszej fazie odbudowy. Pamiętam, jak na seminarium, chyba w 2005 r., jeden z gdańskich urbanistów powiedział, że „przyszłością Głównego Miasta jest park tematyczny". Wygląda na to, że zupełnie inaczej niż studenci miejscy decydenci tę opinię przyjęli i pozwolili, by miasto zhakował biznes turystyczny. W początkach Airbnb mieszkańcy po prostu wynajmowali turystom pokoje. Teraz miejscowych już tu praktycznie nie ma, a ich mieszkania są trwale przebudowywane, dzielone na mniejsze. Z jednego 40- czy 50-metrowego mieszkania robi się dwa albo trzy mikroapartamenty do wynajęcia. A warto pomyśleć, że to niegdyś 15-minutowe miasto pełne żłobków, szkół, kin, księgarń, podwórek z piaskownicami i boiskami byłoby dzisiaj superśrodowiskiem dla młodych ludzi. Tutaj szukaliby pierwszego mieszkania, a nie w suburbiach. Szkoda. Jest jeszcze pytanie, co będzie, jeżeli Airbnb przestanie się tutaj opłacać, bo np. prezydent Trump wymyśli jakąś nową ekonomię...

Wystarczy kolejna pandemia.

Albo wojna, która podchodzi zbyt blisko, a turyści wybiorą Portugalię. Przy takiej niezrównoważonej eksploatacji miasta naprawdę ryzykujemy upadek.

A Młode Miasto, nowa dzielnica Gdańska powstająca na terenach postoczniowych? Tu wyrasta kolejne zagłębie apartamentowców.

Podobno ponad trzy czwarte powierzchni mieszkaniowej przeznaczone jest pod wynajem. Słyszałem, że powstaje tam drugie hamburskie HafenCity. Zawstydziłem się, słysząc coś takiego.

Jakich obiektów potrzeba, aby weszło tam prawdziwe życie? Opera, muzeum sztuki?

Żeby ludzie chcieli tam zamieszkać, trzeba zlikwidować najem krótkoterminowy i zrezygnować wreszcie z antymiejskiego mitu, że prawdziwie energetyczne miasta nie zasypiają w nocy. Mieszkałem w kilku miejscach na świecie i szanowanie prawa do nocnego odpoczynku wszędzie było standardową częścią miejskiej kultury. Mam znajomych, którzy mówią o horrorze mieszkania w absurdzie Pawła i Gawła. Tyle że dzisiaj Paweł już nawet nie wie, jak ten z dołu się nazywa... Miejskie mieszkanie utraciło prawo do spokoju. Chcąc zamieszkać w Młodym Mieście, musisz się liczyć z brakiem wspólnoty sąsiadów, brakiem atmosfery domu. Wiem, to problem nie tylko Gdańska, ale to nie znaczy, że samorząd lokalny ma nic w tej sprawie nie robić. Wypychamy ludzi z miast na suburbia, rozkręcając kołowrót codziennych dojazdów. Takie są konsekwencje nadmiaru turystów.

Trudno się dziwić, że tak tłumnie przyjeżdżają. W Gdańsku próbowano powtórzyć „efekt Bilbao". Powstały Europejskie Centrum Solidarności, Muzeum II Wojny Światowej i Teatr Szekspirowski.

Powstało w Gdańsku trochę dobrej sztuki architektonicznej. Natomiast widzę też, jak budynek ECS zostaje wtopiony w napompowane do granic pojemności apartamentowce, podobnie jak MIIWŚ. Ten zatopiony w ziemi gmach ze swoją symbolicznie przechyloną wieżą zostaje otoczony ogromnymi kontenerami apartamentowców. Niebywałe, jak nie wyczuto tu relacji między mającą poruszać emocje architektoniczną rzeźbą a architekturą jej tła. Ale to wina nie deweloperów, tylko przede wszystkim miejskiej wizji planu tego miejsca.

Czyli pana zdaniem deweloperzy nie są winni wszystkim bolączkom naszych miast? Obecnie chyba takie jest społeczne przeświadczenie.

Uważam, że problem tkwi w środowisku projektantów, a deweloperzy projektantami jednak nie są. Ci pierwsi powinni zmienić filozofię planowania przestrzennego. Potrzebna jest nowa teoria miasta w miejsce stuletniego Bauhausu. Nie powinniśmy też próbować budować drugiej Kopenhagi czy drugiego HafenCity. Nie tędy droga. Każde miasto w Polsce ma swoją niepowtarzalną tożsamość. Trzeba zacząć używać narzędzi, które pozwolą ją odsłonić, zrozumieć jej strukturę i cechy. Pozwolą wpisać je w następne współczesne rozwiązania. Zbudujmy niepowtarzalny Gdańsk. Tak będzie najlepiej dla miasta i dla świata.

Jest pan naocznym świadkiem zmian w całym Trójmieście. Idźmy więc dalej: jak zmienia się charakter Sopotu?

Nieczęsto zdarzają się układy urbanistyczne o tak wielkiej klarowności przestrzennej jak Sopot. To niebywały potencjał. Plan miasta ma strukturę ważki. Jego przestrzenny układ jest doskonale ▶

© SHUTTERSTOCK

REKLAMA

eprasa.pl 6b8abdb715

▶ rozumiany przez ludzi, stąd nazwa Górnego i Dolnego Sopotu. Niestety, miasto zerwało tę przestrzenną logikę.

To znaczy?

Plac Przyjaciół Sopotu nie kontynuuje przestrzennego kodu miasta. Do swojej nowej, trójkątnej geometrii wykorzystał, w naiwnie funkcjonalny sposób, przebieg dawnego skrótu wydeptanego w trawie, który z ulicy Bohaterów Monte Casino pozwalał szybko się dostać na kultową kiedyś plażę Grand Hotelu. W rezultacie zmieniła się geometria centrum miasta, plac stał się zbyt duży.

A przeskalowany dworzec kolejowy, otwarty pod koniec 2015 r., nie jest większym problemem?

To ten sam problem rozumienia unikatowej tożsamości tego miasteczka. Znikła poetyka małego kurortowego dworca. Jest ogromny budynek z rondem prowadzącym do podziemnego parkingu. Jednak jako mieszkaniec Trójmiasta, który z Sopotem ma związany spory pakiet wspomnień, nie mogę mu wybaczyć czegoś innego.

Niech zgadnę, molo?

Tak, tu zmiana poetyki jest najbardziej smutna. To jedno z najdłuższych molo w Europie, kiedyś pozwalało na romantyczne wejście daleko w groźną wieczorami wodę. Dzisiaj stało się jedynie dojściem do ekskluzywnej przystani jachtowej. Na koniec molo chodzili kiedyś młodzi bez większych pieniędzy. Dzisiaj idzie się tam raczej zobaczyć, ile pieniędzy nam brakuje, żeby swoją łódkę móc w Sopocie zacumować.

Jacek Dominiczak (ur. 1954 r.) – architekt i teoretyk architektury. Pracował na uczelniach w Meksyku, Portugalii oraz Stanach Zjednoczonych. Od końca lat 90. pracuje na gdańskiej Akademii Sztuk Pięknych, gdzie jako profesor prowadzi Pracownię Projektowania Wnętrz Miejskich. Autor koncepcji miasta dialogicznego. Jeden z głównych bohaterów książki „Szara godzina. Czas na nową architekturę" Filipa Springera.

Mocną stroną miasta nadal jest zieleń.

W porównaniach, które przeprowadzałem, widać, że Sopot jest miastem ogrodem. Krótko mówiąc, jeden z bardziej nośnych ideałów modernizmu. Miasto nadal ma wielką szansę bycia szlachetnym kurortem, ale tylko tak długo, jak długo kultura pensjonatów nie zostanie zastąpiona najmem krótkoterminowym. Jeśli wyprowadzą się stali mieszkańcy, jeśli pogubią się rytuały poszczególnych sezonów, Sopot się zatraci.

A jak pan jako gdańszczanin patrzy na Gdynię?

Gdynia to najlepszy przykład, by pokazać, jak ciekawą estetykę architektury wypracował modernizm, i równocześnie, jak złą urbanistykę zaczął potem uprawiać. Szczęśliwie to drugie zrobił dopiero później. Na ścianie w moim domu wisi fotografia z 1929 r. Widać jakby spychaczami wyznaczone w trawach wszystkie ulice, a więc przestrzenie publiczne budowanego miasta. Widać gotowy już kościół i dosłownie kilka kamienic. A więc projektanci Gdyni rozumieli wartość geometrii, starannie ją konstruowali. Dzięki temu miasto stanowi dzieło międzywojennego modernizmu.

A czy współczesna Gdynia kontynuuje to dziedzictwo modernizmu?

Po wybudowaniu kilku wieżowców zdano sobie chyba sprawę, że warto powrócić do oryginalnie wyznaczonej wysokości budynków miasta. Gdynia, a przynajmniej jej Śródmieście, nie chce popełnić błędu zerwania ciągłości formuły urbanistycznej.

To czego w Gdyni brakuje? Architektonicznie, rzecz jasna.

Mam wrażenie, że wciąż nie wykształciła swojego miejsca głównego, od którego można rozpocząć nie tylko spotkanie w mieście czy jego zwiedzanie, ale też próbę zrozumienia jego przestrzeni.

Niebawem setne urodziny Gdyni. Czego może życzyć architekt?

Naprawdę warto pomyśleć o budowie tej początkowej dla miasta przestrzeni. Szukałbym jej w kontynuacji figuratywnej urbanistyki Gdyni.

Jak pan sobie wyobraża architektoniczną przyszłość Trójmiasta?

Ważne plany Trójmiasta powstały w okolicach lat 60. XX w., gdy architektura i urbanistyka fascynowały się „mocnymi" rozwiązaniami, rodzajem superstruktur. Bodaj najważniejszą z nich było Centralne Pasmo Usługowe, które na jedyny korytarz ruchu samochodowego i kolejowego, łączący śródmieścia Gdańska, Sopotu i Gdyni, nakłada bardzo intensywne usługi, buduje ogromne szklane centra biurowe.

Potwierdzam.

To ogromna kumulacja ruchu i aktywności, która już teraz zakłóca obiecujące na przyszłość zbliżanie się do siebie kampusu uniwersyteckiego do starego biskupiego miasteczka. Równocześnie do sześciopasmowej trasy miejskiej dobudowywane są kolejne równoległe ulice dojazdowe, co doprowadza do zagęszczania następujących po sobie skrzyżowań. Powoli powstaje przestrzeń doskonale przypominająca... The Strip w Las Vegas.

Co robić?

Myślę, że przyszłością Trójmiasta powinno być zatrzymanie CPU. To pomysł z romantycznych czasów, gdy gdańscy urbaniści marzyli o zbudowaniu miasta linearnego. Tymczasem pomiędzy starą biskupią Oliwą i Uniwersytetem Gdańskim powstaje ogromne zagłębie biurowców. Panuje aura amerykańskiego downtown.

Zaczęliśmy od miasta dialogicznego, a dotarliśmy do linearnego. A pana miasto idealne? Któremu najbliżej do ideału?

Wybierając tylko z miast, w których choć krótko, ale mieszkałem, wskazuję Wenecję. Dzisiaj to miasto jest fantastycznym laboratorium dla pracy nad przyszłością, która chce przekroczyć paradygmat funkcjonalizmu. Mówiłem o tym ostatnio podczas serii wykładów w Teatrze Szekspirowskim, które zatytułowałem „Spragnieni miasta". Jednakże niedawno w sieci trafiłem na film, gdzie starsza wenecjanka oprowadza widzów po swoim domu dzieciństwa. Wspominała poranne otwarcie okna, które wpuszczało do wnętrza domu gwar ludzi, krzyk ptaków i uderzenia wioseł w wodę. Teraz po otwarciu okna słychać jedynie brzęczenie silników łodzi motorowych.

Czyli nie tak idealnie.

No właśnie. To naprawdę czas, gdy kultura miejska wymaga przemyślenia na nowo. Tu, na Głównym Mieście, otworzyć okna nie mogę jedynie w nocy, bo zanikła kultura cichych rozmów. Ale jeszcze się nie wyprowadzam, bo mogę otworzyć okna w dzień. Jest krzyk ptaków, cichy gwar rozmów przy stołach, słyszę uderzenia sztućców o talerze. Nie ma żadnych silników. I to jest bardzo przyjemne.

ROZMAWIAŁ ALEKSANDER ŚWIESZEWSKI

©ŁUKASZ GŁOWALA

eprasa.pl 6b8abdb715

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Robert Lewandowski przefarbował się na blond. To wstrząsnęło mediami od „Dziennika", poprzez RMF, aż po TVN. Nie było tak istotnej informacji od czasu cudu w Sokółce, gdzie woda też zmieniła kolor.

●

Sławomir Mentzen pokazał zdjęcie z warszawskiego koncertu zespołu Guns N' Roses. Nie dziwi mnie to. Jego program gospodarczy ma ten sam tytuł co ich fonograficzny debiut – „Appetite for Destruction".

●

Tomasz Kammel moralizuje publicznie i poucza dyrektora TVP Tomasza Syguta na temat polityki kadrowej stacji. Cenię odwagę tego prezentera. Konsekwentnie o jednego prezesa za późno.

●

Pięściarz Krzysztof „Diablo" Włodarczyk wziął kolejny ślub, tym razem ze swoją długoletnią partnerką Karoliną. Tym samym bokser ujawnił, że musi popracować nad unikiem, odskokiem i ucieczką od zwarcia.

●

Plotek.pl relacjonuje dramat basenowy Blanki Lipińskiej: „Musimy wylewać sobie wodę z filtra. Zamiast przez odpływ to w krzaki". Virginia Woolf miała podobne problemy. Bała się wizyt w toalecie.

●

Canal+ pokaże hiszpański serial kryminalny twórców „Domu z papieru" pt. „Blizna". W obsadzie całkiem swobodnie odnalazł się Maciej Stuhr. Jasne. Prawicowe media często powtarzały mu, że nie jest Polakiem.

25-letni raper Mata zapowiedział swój koncert na Stadionie Narodowym 15 maja 2026 r. Brawo. Tego samego dnia urodził się mąż Marii Skłodowskiej-Curie. Podobno też świecił przykładem.

●

Kolejna wiadomość ruszająca z posad bryłę świata. Magda Gessler ujawniła, że dodaje do mizerii octu. Szok. Czyli jednak Magda gotuje.

●

Firma braci Karnowskich, wydawca m.in. „Sieci", wPolityce oraz telewizji wPolsce, bez wsparcia PiS zmniejszyła przychody o jedną trzecią, a strata sięgnęła 17,5 mln. Dwa słowa: Witamy wDu. ie.

© AKPA

Szok i niedowierzanie. Polsat rezygnuje z programu publicystycznego Doroty Gawryluk „Lepsza Polska". To oczywiste. Po wyborach prezydenckich taki tytuł to czysta złośliwość.

Znana tiktokerka Klaudia Sadownik została nową twarzą RMF FM. Jej konta na Instagramie, TikToku i YouTube w sumie gromadzą 1,5 mln obserwujących. Wniosek jest oczywisty. Jestem znaną tiktokerką.

●

Była gwiazda „Klanu" Barbara Bursztynowicz wystąpi w „Tańcu z gwiazdami". Niech będzie błogosławiony ten program, albowiem jest wspólną sprawą ludzi, którzy nie mają sobie nic do powiedzenia.

●

Dziennikarka Plejady ustaliła, że różnica wieku pomiędzy Agnieszką Kaczorowską a jej partnerem Marcinem Rogacewiczem to ponad dekada. Szok. Jest duża szansa, że Hoover nie wiedział tyle o Kennedym.

●

Sensacja. Podobno Julia Wieniawa spotyka się z Kubą Karasiem, byłym chłopakiem jej byłej przyjaciółki Jessiki Mercedes. Może jedno zdanie o byłym. Jest to szczątkowy imiesłów czynny.

●

Michał Figurski syntetycznie i analitycznie odniósł się do krajowego show-biznesu: „Koszmarna banda leni i kabotynów". To prawda. Ten biznes jest jak szkoła. Najwięcej hałasu robią ci najmniej zdolni.

●

Wirtualna Polska (hasło „Wszystko co ważne") relacjonuje wakacje Sandry Kubickiej: Kubicka w bikini, bez bikini, w slip dress, bez, obok, zamiast i petarda, Kubicka pochwaliła się paznokciami. Ewidentnie są dłuższe niż dorobek autorów.

●

Empik wycofał ze sprzedaży książkę dr psychologii Aleksandry Sarny o Andrzeju Dudzie „Debil. Studium przypadku". I dobra wiadomość: na razie tymczasowo.

eprasa.pl 6b8abdb715

JOANNA KOŁACZKOWSKA (1966–2025)

Żałoba w kabarecie

Dotąd rozśmieszała Polskę, teraz ją zasmuciła. **Joanna Kołaczkowska** była jasnym punktem sceny kabaretowej bazującej na inteligentnym humorze. Ta era już powoli zmierzcha.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Jeszcze w marcu kabaret Hrabi, do którego należała, zapraszał w telewizji na trasę z piosenkami legendarnej grupy Potem. To był zresztą jej pomysł. Ale w kwietniu plany się zmieniły. „Miało być wesoło, nostalgicznie i razem... Ale los napisał inny scenariusz" – oznajmili członkowie Hrabi w mediach społecznościowych. „Sprawa jest poważna. To nowotwór". Odbyło się kilka specjalnych koncertów z udziałem gości, środki były przeznaczone na kosztowne leczenie. I nadszedł ten niewiarygodny 17 lipca: „Wyczerpaliśmy niestety wszystkie dostępne formy leczenia. Wierzyliśmy w cud. Cud nie nastąpił. Asia odeszła spokojnie, bez bólu. W otoczeniu najbliższych i przyjaciół – wśród tych, których kochała i którzy kochali Ją bezgranicznie".

„Niemożliw", pisali fani w sieci, bez „e" na końcu. Joanna Kołaczkowska przeforsowała formę „możliw" bez „e" w jednym ze skeczy. Lubiła zabawy z polszczyzną, neologizmy. „Masłowska estrady" (Mariusz Szczygieł), „najlepsza Joanna w tym smutnym kraju nad Wisłą" (Jacek Dehnel), dama, caryca, królowa, legenda polskiego kabaretu.

„Dawno nie widziałam osoby tak powszechnie żałowanej" – notuje w social mediach Zwierz Popkulturalny, czyli Katarzyna Czajka-Kominiarczuk. To jest może sprawa drugorzędna, ale znamienna: wpisy w sieci 17 lipca to była sama Joanna, uwielbiana od prawa do lewa i od pokoleń, żegnana z niedowierzaniem i uznaniem, w poczuciu dziejowej niesprawiedliwości, bo zmarła w wieku ledwie 59 lat.

Cała jej publiczna działalność to był kabaret. Odnalazła się na scenie, na autorskim blogu we wczesnych latach internetu i na Instagramie w czasach najnowszych. Kończyła pedagogikę kulturalno-oświatową w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze, mieście, które w latach 80. i 90. było ważnym polskim zagłębiem kabaretowym. Kołaczkowską uformował bezsprzecznie kabaret Potem, stworzony przez studentów zielonogórskiej uczelni, działający z przerwami i w różnych składach do 1999 r. Była z nim związana przez 10 lat, do wygaszenia działalności. Grupą dowodził w tym czasie Władysław Sikora, bo Dariusz Kamys, jej współtwórca, dostał powołanie do wojska. Wiele karier tu się rozpoczęło, nie zawsze oczywistych. Kabaret uprawiał w Potem m.in. Adam Nowak, później lider Raz, Dwa, Trzy.

Dariusz Kamys tłumaczył, że grupa rozwiązała się w obawie przed obniżką poziomu. Nagradzana i popularna w całym kraju ekipa nie chciała zanudzać publiczności ani samej siebie. Ta chwalebna, skądinąd rzadka idea przyświecała od początku także kabaretowi Hrabi. Kamys, prywatnie szwagier Kołaczkowskiej, nową grupę zawiązał w 2002 r. Skład był tym razem stały: Kamys, Kołaczkowska, Tomasz Majer, pianista Łukasz Pietsch. *Modus operandi* też niezmienny: objeżdżali kraj z konkretnym programem, rejestrowali materiał i już do niego nie wracali. Program zwykle był na finał emitowany w telewizji i dystrybuowany w formie DVD. I tyle.

Mainstream był gdzie indziej. Polska scena kabaretowa rozpęczniała w ostatnich dekadach, podobnie jak kabaretony, parodniowe imprezy transmitowane w telewizyjnym *prime timie*. Humor nieco sprzaśniał, stępiło się ostrze satyry. Spektakl strawny i znośny dla mas wymaga też zwykle sprawdzonych chwytów, jak figura „chłopa przebranego za babę", motyw

© MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA GAZETA

eprasa.pl 6b8abdb715

odwiecznego sporu męża z teściową czy żoną. „Wszystkie kabarety wyglądają tak samo: jedna scenografia, światła, tańczące pary. Liczy się show. Myśmy się w to nie wpakowali. Unikamy takich imprez" – mówiła Kołaczkowska POLITYCE w 2011 r.

A kabaret może być mądrą rozrywką, sztuką, performansem. Dowcip może być lotny, nieurągający inteligencji. Mamy w Polsce zresztą długie i świetne tradycje. Piwnica pod Baranami, kabarety Dudek (pisał dla niego m.in. Daniel Passent) i Pod Egidą. Był też Salon Niezależnych i Paka oraz Potem. Nie wspominając o studenckich teatrzykach i przedwojennych kabaretach literackich z udziałem Tadeusza Boya-Żeleńskiego czy Antoniego Słonimskiego. Opierały się na tekście, wyrafinowanym humorze, piosence. W twórczość kabaretową był czasem dyskretnie wpisany dydaktyzm. Należało działać i dopiekać sprytnie, by ominąć cenzurę i nie narażać się na gniew miłościwie nam panujących.

Jak pisał przed laty w POLITYCE Ryszard Marek Groński, wybitny znawca komediowej materii, paradoksalnie wolność okazała się wyzwaniem. I pułapką. Satyrycy zamienili się w końcu w „hecarzy i zabawiaczy", błaznów dla publiczności. Kabareciarzy wyparli publicyści. Dziś jednych i drugich zastępują raczej rozmaici twórcy internetowi ze skeczami-wiralami na TikToku, a osobną gałęzią komedii jest stand-up.

W kabaretowej masie szytej na miarę XXI w. zdarzają się jeszcze nawiązania do dawnych tradycji – taką mniej więcej drogę obrały Hrabi, Kabaret Moralnego Niepokoju, Mumio, Łowcy.B. I rzecz jasna twórcy solowi, monologiści, jak Artur Andrus czy Andrzej Poniedzielski, zmarła w 2016 r. Maria Czubaszek czy nieodżałowany Stanisław Tym. To ten sam rodzaj nienachalnego humoru, ironii, również autoironii. Żartu, który nie musi być ordynarny, wulgarny ani złośliwy. Z Arturem Andrusem i Marią Czubaszek Joanna Kołaczkowska spotykała się m.in. na planie improwizowanego serialu „Spadkobiercy", rodzimej wersji „Dynastii", tyle że granej przed publicznością na żywo i z ogólnym tylko zarysem scenariusza. Kołaczkowska wcielała się w rolę Dorin Owens, córki Jonathana (Andrus), porwanej w dzieciństwie dla okupu. Ojciec go nie zapłacił, więc relacje miewają napięte. Pomysłodawcą serialu również był Dariusz Kamys, koncepcja zrodziła się jeszcze w studenckim klubie Gęba, wylęgarni twórczych idei.

Ze Staszkiem Tymem Kołaczkowska się zaprzyjaźniła. Podobnie szanowali swoją prywatność – kochani w kraju, rozpoznawalni, byli zarazem skryci, zupełnie niecelebryccy. Kołaczkowska wystąpiła w reżyserowanych przez Tyma spektaklach warszawskiego Teatru Polonia „Dżdżownice wychodzą na asfalt" i „Kobieta z widokiem na taras", zagrała też epizodyczną rolę w „Rysiu". O kulisach tego szczególnego angażu opowiedziała na pogrzebie Stanisława Tyma w grudniu: „Już mieliśmy nagrywać tę scenę w »Rysiu«, a Stanisław upadł na ziemię i zaczął się tarzać ze śmiechu. Nie mogłam wydobyć od niego żadnego tekstu: dlaczego tak się śmieje? Śmiał się dlatego, że wymyślił wtedy, jak powinnam się nazywać. Joanna Pruszcz-Gdańska". Kołaczkowska grała dziennikarkę lokalnej telewizji Witraż.

„To było właśnie to – kontynuowała. – Po prostu niesamowita radość tworzenia. Stasiek był niecodziennym artystą i wszyscy oczywiście o tym wiemy. Miał doskonały gust. I mówię to nie tylko dlatego, że z jego inicjatywy po raz pierwszy jako kabaret Potem mogliśmy występować w prawdziwym teatrze w Warszawie, w łączonym spektaklu »Tym i Potem«, gdzie najpierw otoczył opieką nasz kabaret, potem opieką taką ojcowską, a potem się zaprzyjaźniliśmy. Będę wspominać Stasia przede wszystkim jako cudownego przyjaciela, mądrego, uważnego, słuchającego, nienarzucającego się ze swoją opinią czy ze swoimi radami. I zawsze, zawsze mnie rozśmieszał".

O Kołaczkowskiej można by właściwie powiedzieć to samo. Oboje też kochali zwierzęta, on psy, ona kota Stefana. W „Spadkobiercach" Tym grał pastora Bishopa. „Towarzyszył mu zawsze jakiś nieduży pokraczny piesek z wystającym zębem – mówiła Kołaczkowska. – Wkład Staszka w wykreowanie mody na pieski z wystającym zębem nie został naukowo zbadany, ale myślę, że był ogromny".

Kradła show w sposób naturalny, niewymuszony. W rozmowie z Piotrem Jaconiem dla TVN24 opowiadała, że nie występuje w każdym skeczu, czasem jej rola sprowadza się do wejścia na scenę, zabrania z niej jednej rzeczy i zniknięcia. Ale tak to potrafiła zagrać – mówiła z charakterystycznym dla siebie dystansem – że to wejście i wyjście stawało się najważniejsze. Tak po prostu miała. Nikt się na to nie obrażał. Dziś koledzy z kabaretu Hrabi piszą, że Kołaczkowska – Asia, Aśka, Asior, Aś – zostawiła po sobie wyrwę nie do wypełnienia: w życiu i na scenie.

Hrabi stronił zawsze od polityki, obśmiewał raczej relacje międzyludzkie, ale i polską codzienność. Kołaczkowska bywała matką, żoną, kobietą porzuconą („Piątek był wtedy, tuż przed czwartą/ Najgorszą łobuz wybrał porę/ Mógł w poniedziałek albo wtorek/ Połowę piątku wieprz, knur, zwierz mi popsuł/ W sobotę wyłam bez detoksu/ Dopiero przy niedzieli wreszcie/ Się pogodziłam z tym nieszczęściem") i ciężarną („Po pięciu miesiącach zmienił się mój wygląd,/ I zmieniły mi się upodobania kulinarne,/ Zaczęłam jeść czipsy i frytki, i boczek"), srogą księgową, ale i studentką zdającą nieporadnie egzamin z historii literatury („Średniowiecz? [oczywiście bez „e" – red.] Było minęło. Epoka i tyle, po co do tego wracać?").

Pisała, świetnie śpiewała, obmyślała własne audioseriale najpierw w Trójce, potem w Radiu Nowy Świat. W parze z Szymonem Majewskim prowadziła podkast „Mówi się". W pierwszych polskich kabaretach u zarania XX w. istotny był komizm wynikający z purnonsensu, dziś krewniakiem purnonsensu jest chyba krindż, też charakterystyczny dla Kołaczkowskiej. W latach 90. współtworzyła niezależną wytwórnię filmów A'Yoy, która parodiowała m.in. gale wręczania Oscarów i produkowała krótkie absurdalne etiudy – Kołaczkowska grywała w nich m.in. ze znakomitą Agnieszką Litwin (dziś w kabaretach Jurki i Szum). Beznamiętnie oglądająca „Wiadomości", prasująca, szwendająca się bez celu – bawiła w sposób nieomal bezwysiłkowy. A'Yoy wyprodukowało też kilka filmów pełnometrażowych, w większości reżyserowanych przez Władysława Sikorę. „Nakręconych" z 2002 r. reżyserowała Kołaczkowska.

W ostatnich latach humor i krindż przenosiła też na ekran smartfona, występując m.in. u boku Filipa Cembali, aktora, twórcy internetowego. Mówił do niej „ciociu", ona go traktowała jak siostrzeńca, zaprzyjaźnili się. Filmiki kończyli zawsze krótkim zawołaniem: „Do widzenia!". Dziś tymi słowami Kołaczkowska jest żegnana przez fanów. „Żałoba narodowa ogłosiła się sama" – piszą. „Do widzenia", dodają, gdzieś po drugiej stronie. „W niebie pewnie mają teraz wesoło". ■

eprasa.pl 6b8abdb715

FELIETON

Sulej

Gonciarz i Meduza

W youtubowej serii filmów „Perseusz", która powstała, aby mógł się oczyścić z zarzutów o przemoc i nadużycia seksualne, Krzysztof Gonciarz zaapelował do feministek: ogarnijcie swoje poletko. Jego twarz widać w zbliżeniu, jest rozedrganie i żal. Kilkanaście miesięcy temu został, jak to się mówi, skancelowany i wydawało się, że nie ma powrotu do sfery publicznej. Przeprowadził jednak wiwisekcję stawianych sobie zarzutów, udowodnił, że stał się obiektem pomówień, i przekierował uwagę opinii publicznej na swoje oskarżycielki – punktując je za kłamstwa, nierzetelność, przemilczenia, poszukiwanie uwagi. Piszę o tym dlatego, że czuję się wywołana do odpowiedzi. Feminizm to w końcu moje poletko.

To prawda – poza naprawdę odważnymi protestami, ważnymi dziełami kultury, w ostatnich latach wiele było w Polsce pseudofeministycznych zjawisk. Trzeba to ogarnąć. Takie zjawiska są niestety nieuchronne, bo „pseudo..." (wstaw dowolny obszar ludzkiego życia) to jedna z cech dzisiejszego świata medialnego, platform społecznościowych, logiki lajku, klikbajtu, hasztagu i wiralu. Gonciarz też jest jej częścią, zbudował siebie dzięki temu, co internet może podarować. Niestety internet świetnie też nadaje się do nakręcania nagonek, paniki moralnej, fałszywych zarzutów, informacji bez rzetelnej weryfikacji, działania w afekcie. Preferuje dosłowność zamiast krytycznego myślenia, instynkt stadny i uprzedmiotowienie ludzi. Taki internet też się Gonciarzowi objawił i podłożył ładunki hejtu pod fundamenty jego kariery.

Kobiety i mężczyźni boją się siebie nawzajem. A walka wedle reguł patriarchatu jest z góry przegrana.

Niezależnie od tego, jakie zdanie można mieć na temat Gonciarza, nie sądzę, żebyśmy chcieli żyć we wspólnocie, która ocenia ludzi na zasadzie automatyzmów zbiorowych – ten jest nasz/nasza, więc jest w porządku; tamten nie nasz, a więc: a kysz! A jednak tak żyjemy. Feministkom również to się zdarza. Feminizm nie jest wolny od uprzedzeń, nieprzemyślanych założeń, koniunkturalizmów, kolesiostwa (nie mylić z siostrzeństwem). Jednak uczciwa feministka się zastanawia, czy warto bronić każdej osoby – tak, również kobiety – która na niego się powołuje. Feminizm jest bowiem wrażliwością, chce bronić praw człowieka – zarówno kobiet, jak i mężczyzn – bo uważa, że patriarchat krzywdzi nas wszystkich.

Żeby zmienić ten paradygmat, nie możemy zakładać, że kobiety mają zawsze rację, a mężczyźni nigdy. To jest co najmniej równie złe jak zakładanie, że mężczyźni zawsze mają rację, a kobietom trzeba objaśniać świat. Prawdziwie rewolucyjne jest dopiero stwierdzenie, że trzeba równie uważnie słuchać kobiet i mężczyzn – mimo obciążeń, jakie dokłada nam dana kulturowa płeć. Brać pod uwagę, że kobieta może mówić nieprawdę, choć w seksistowskiej kulturze kobietom najczęściej się nie wierzy. Że mężczyzna może mówić prawdę, choć w patriarchacie mężczyznom bardzo wygodnie się kłamie.

Czasy nie są łatwe – kobiety i mężczyźni coraz częściej boją się siebie nawzajem i widzą w swoich „obozach" karykaturalne cechy i zamiary. Kłócimy się, zamiast współdziałać, i zawsze to wina kogoś innego. A walka wedle reguł patriarchatu jest dla wszystkich z góry przegrana. Trzeba czasem umieć powiedzieć „swoim": tak się nie robi. Bo świat, w którym wszyscy pilnują czystości ideologicznej, to świat totalitarny.

Perseusz z tytułu serii Gonciarza zabił Meduzę – potwora, który uśmiercał spojrzeniem lub samym tylko widokiem. W jednej z wersji mitu Meduza została zgwałcona przez Posejdona i zmieniona w potwora przez Atenę, oburzoną, że do gwałtu doszło w jej świątyni. Dlaczego zgwałcił? No, nie mógł się oprzeć, Meduza miała takie piękne włosy. A czemu Atena nie uznała winy wuja? No cóż, urodziła się z głowy Zeusa, była córą i strażniczką patriarchatu. We Florencji, na Piazza Della Signoria, można oglądać renesansową rzeźbę Benvenuta Celliniego przedstawiającą urodziwego mężczyznę trzymającego głowę nieszczęśniczki.

W 2020 r. przy gmachu Criminal Court na Manhattanie stanęła zaś rzeźba współczesnego artysty Luciana Garbatiego – Meduza z głową Perseusza. Lokalizacja nieprzypadkowa – to w tym sądzie Harvey Weinstein usłyszał wyrok. Dzięki ruchowi #MeToo klasyczny mit o Meduzie zyskał nową interpretację jako symbol obwiniania i karania ofiar gwałtów. W tej wersji to Meduza zwycięża.

Gonciarz chce znów ujrzeć w Perseuszu bohatera, ale zabicie Meduzy nie naprawi świata. Mityczny Perseusz nie jest sprawczym herosem, lecz zabawką w rękach bogów, podobnie jak Meduza. Oboje są niewolnikami. Ważne, żeby nie zrównywać ofiary z oprawcą i odwrotnie, niezależnie od tego, jakiej są płci. Pilnujmy prawdy. Ale żeby wyrwać się z cyklu przemocy, trzeba brać pod uwagę poziom meta –poziom boskich wyroków.

Żeby ocalić i Meduzę, i Perseusza, musimy tę opowieść napisać na nowo. Pozbawić władzy patriarchów, zmienić zasady. Potrzeba nam pomnika, gdzie stoją, trzymając się za ręce, Perseusz i Meduza, z głową Posejdona.

KAROLINA SULEJ

eprasa.pl 6b8abdb715

Druga Rumunia

Jak wielokrotnie pisałem, traktuję serio groźbę nadchodzącego faszyzmu. Trump i Vance zachowują się tak, jakby w Ameryce nie miały się już nigdy odbyć wolne wybory. Polscy wyznawcy ruchu MAGA też nie próbują pozyskiwać mitycznego „niezdecydowanego centrowego wyborcy", robią kolejny ostry zakręt w prawo. Politycy liberalno-demokratyczni, którzy jeszcze niedawno traktowali poparcie centrowych wyborców jako coś, co mają zagwarantowane na wieki, powtarzają tymczasem błąd swoich poprzedników sprzed stu lat. Widząc, że prawicowe szczucie przysparza głosów dla PiS i Konfederacji, zaczynają się do niego przyłączać.

Jeszcze może nie na tyle, żeby Platforma też zakładała partyjne bojówki do bicia imigrantów, ale na tyle, żeby utrudniać życie Polakom pracującym po drugiej stronie granicy wyrywkowymi kontrolami. Jeszcze nie powiedzą, jak niektórzy prawicowi publicyści, że „Putin ma rację", ale deklarują zamiar wstrzymania pomocy Ukraińcom i Ukrainie. I może nie będą aż za wyrzucaniem z pracy osób LGBT, ale będą sarkać, że „ideologia woke" (czymkolwiek jest) zaszła za daleko. „Przecież kiedyś nie używano żadnych zaimków i było dobrze!".

Sto lat temu to się skończyło fatalnie. Demokracja nie wszędzie była obalana przez zamach stanu. Czasami po prostu gniła, a politycy obozu demokratycznego byli tak zajęci zwalczaniem siebie nawzajem, że wchodzili z faszystami w taktyczne sojusze albo zaczynali ich imitować. W Polsce czeka nas teraz chyba takie właśnie gnicie. Formalnie prawica przejmie pełnię władzy dopiero po następnych wyborach parlamentarnych, najpóźniej w 2027 r. (ale nie zdziwiłbym się, gdyby jednak wcześniej). Jednak już teraz trudno się oprzeć wrażeniu, że rządzą nami Braun z Bąkiewiczem, a politycy koalicji rządzącej tańczą jakiś nieprzytomny chocholi taniec.

> Demokracja nie wszędzie była obalana przez zamach stanu. Czasami po prostu gniła. W Polsce czeka nas chyba takie gnicie.

Miesiąc temu przypominałem „Nosorożca" Ionesco i przy tej okazji pisałem, że to polskie gnicie najbardziej przypomina mi scenariusz upadku rumuńskiej demokracji. Sto lat temu zdawało się, że w Rumunii nie ma podłoża dla antysemityzmu. Działała już wprawdzie pierwsza faszystowska organizacja, Legion Archanioła Michała, ale nie traktowano jej poważnie. Jej lider Corneliu Codreanu szczuł na mniejszości i elity, układał listy osób do zamordowania, przepowiadał Powtórne Nadejście Chrystusa. Ale w 1925 r. działał na marginesie marginesu skrajnej prawicy. Uważany był wtedy za wariata nawet przez współpracowników (którzy z nim szybko zrywali).

Żydzi w Rumunii czuli się na tyle bezpiecznie, że sprowadzali krewnych z dawnego imperium rosyjskiego. To tam narodziło się słowo „pogrom", które w rumuńskim nie miało odpowiednika. Kiedy więc zaczęły się rumuńskie pogromy, wszyscy byli zaskoczeni. Rumunia okazała się jedynym państwem Osi, które Żydów mordowało z własnej inicjatywy. Gdzie indziej wymagało to inspiracji SS i Einsatzgruppen, ale Legioniści Archanioła Michała wyrywali się przed szereg. Ich okrucieństwo szokowało nawet Niemców. Podczas pogromu w Bukareszcie część ofiar zapędzili do miejskiej rzeźni, gdzie gwałcili nieletnie, a potem nabijali je żywcem na haki, pisząc na ich nagich ciałach „koszerne mięso". Nie ukrywali tego, przeciwnie, chcieli, by monstrualność ich zbrodni doprowadziła do duchowego odrodzenia (teraz tę logikę stosują konserwatyści wspierający zbrodnie Putina).

Morał z tego taki, że nastroje pogromowe można wytworzyć bardzo szybko. Już weszliśmy na tę drogę, nikt temu u nas nie przeciwdziała. Nie wolno powiedzieć, że „10 tys. uchodźców dla kraju wielkości Polski to tyle co nic". Nie wolno powiedzieć, że Ukraińcy więcej wnoszą do naszego PKB i budżetu, niż pobierają w świadczeniach. Nie wolno zapytać, „co w tym złego, że osoba trans skorzysta z toalety". Nie wolno powoływać się na statystyki i racjonalne argumenty. Kto tak robi, przyciąga lawinę nienawistnych komentarzy o „ideologii woke", a od „swoich" usłyszy, że to właśnie przez takie gadanie Nawrocki wygrał. No trudno. Jako felietonista zamierzam mówić, jak jest. A jest tak, że statystycznie największym zagrożeniem dla polskiej kobiety nie jest „uchodźca", tylko polski mężczyzna – jej partner czy małżonek. Typowe polskie zabójstwo to zabójstwo w rodzinie.

Imigranci w historii kapitalizmu zawsze przynosili wzrost gospodarczy. Adenauer czy de Gaulle nie zapraszali „gościnnych pracowników" z powodu jakiejś „ideologii woke", tylko dlatego, że to się im opłacało. W naszym obecnym boomie gospodarczym też spory wkład mają Ukraińcy, którzy w większości zasuwają jak małe samochodziki. Albo jak Polacy sprzed dwóch dekad na zmywaku w „województwie londyńskim".

Polskie prawicowe szczujnie udające media wmawiają ludziom urojone zagrożenia w tym samym celu, w którym 100 lat temu robił to Codreanu. Jak już społeczeństwo zacznie się bać uchodźców i LGBT, posłusznie zaakceptuje dyktaturę jakiegoś Conducătora, zbawcy narodu. Przecież im chodzi tylko o to, szczucie na mniejszości to środek do celu.

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 6b8abdb715

FELIETON

Chutnik Plebanek

Klęska Robin Hooda

Kiedy tata pirat dał córce skrzynię ze złotymi monetami, podarował jej tym samym finansową niezależność. To dlatego postrzegamy Pippi jako wolnego człowieka, który śpi, kiedy chce, szkołę ma gdzieś, no i dysponuje środkiem transportu w postaci kropkowanego konia. Bo ją na to stać. Czy i koń ma prawo do wolności, to już temat na osobny tekst. Rodzice Harry'ego Pottera również uciułali niezłą kupkę kosztowności. Co roku pod koniec wakacji Harry zjeżdża do podziemi banku Gringotta, gdzie zgarnia do sakiewki ileś galeonów, za co spokojnie żyje w elitarnej szkole czarodziejstwa Hogwart. Aż mu głupio, bo w skrytce rodziców jego przyjaciela smętnie połyskuje parę sykli, a Ron donasza szaty po starszych braciach. Pippi i Harry to sieroty, należy im się zadośćuczynienie za to, że tak wcześnie stracili rodziców. Bez odziedziczonych fortun podzieliliby los dziewczynki z zapałkami.

Bieda to brak wyboru, kres marzeń i wolności – zdają się nas uczyć bajki z naszego kręgu kulturowego. To dlatego leciwi bogacze i bogaczki stają się obiektem mniej lub bardziej wyrafinowanych podchodów ze strony dzieci, kolejnych żon, mężów, bliższych lub dalszych krewnych czy wszelkiej maści hochsztaplerów podających się za przyjaciół. Świetnie opisał to Bolesław Prus w „Lalce", gdzie sielankowe pikniki to wymyślne polowania, a grzybobrania przypominają krwawe łowy godne tyranozaura. Oto młodziutka dziewczyna wystawiona zostaje na przynętę stojącemu nad grobem bogatemu starcowi. Z kolei zamożna wdowa adorowana jest przez biednych jak myszy kościelne młodzieńców. Ojciec panny Łęckiej sprzedający Izabelę Wokulskiemu za konkretną sumę to przy tym amator. Przynajmniej nie udaje, że stręczy.

> Zabrać biednym, żeby bogaci mieli jeszcze więcej. I przepisali to na tych spadkobierców, którzy będą dla nich mili.

Z takiego świata się wzięliśmy. Dlatego nie dziwi, że w XXI w. Johnny Depp, odtwórca niezapomnianej roli Jacka Sparrowa w filmie „Piraci z Karaibów", prywatnie właściciel wyspy i kilku posiadłości, mając pod pięćdziesiątkę, uwikłał się w romans z 20-latką, która niedługo potem wystąpiła do sądu, by wypłacił jej odszkodowanie za pożycie. Tabloidom na całym świecie od tego się poprawiło. We Francji świetnie sprzedaje się saga o schedzie po piosenkarzu Johnnym Hallydayu oraz po aktorze Alainie Delonie. Prawdopodobnie powstają już teksty na wypadek, gdyby oczy zamknął Elon Musk, ojciec czternaściorga (na razie) dzieci.

Wielki majątek jednej osoby budzi niezdrowe emocje w ludziach posiadających mniej. Może zabronić dziedziczenia? Albo mocno je opodatkować? To nie tylko wyrównałoby szanse innych, mniej uprzywilejowanych, ale i ograniczyło bezwstydny nepotyzm. Takie głosy podnoszą się już we Francji.

Oxfam, światowa konfederacja niezależnych organizacji, które walczą z nierównością, biedą i dyskryminacją, przewiduje, że w ciągu najbliższych 30 lat 25 francuskich miliarderów, którzy dziś zbliżają się do siedemdziesiątki, przekaże spadkobiercom ponad 460 mld euro, z czego państwo straci 160 mld, które znikną dzięki różnego rodzaju niszom podatkowym. Francuska dziennikarka i pisarka Salomé Saqué alarmuje, że wzrasta liczba ludzi, których stan posiadania rośnie z tytułu dziedziczenia, a nie w wyniku własnej pracy. W Belgii istnieje kasta posiadaczy całe życie obracających majątkiem, który dostali od rodziców. I nie jest to powód do zażenowania, a wręcz przeciwnie – do chwały. Ten system umacnia się też w Stanach Zjednoczonych pod rządami obecnego prezydenta. Donald Trump przeforsował właśnie prawo, które można nazwać marzeniem szeryfa z Nottingham – zabrać biednym, żeby bogaci mieli jeszcze więcej. A potem oczywiście przepisali to na tych spadkobierców, którzy będą dla nich mili.

Świat wraca do bagna relacji rodzinnych i społecznych ufundowanych na unii ekonomicznej. Jakby nie było rewolucji francuskiej, a idee socjalizmu wymazano z kart historii. Do czego to prowadzi, jakie wywoła zmiany w mentalności? Tylko patrzeć, jak *gold digger* zostanie wpisany na listę zawodów. O wysokich dochodach, oczywiście nieopodatkowanych.

Powiedz jednak rodzicowi, żeby nie gromadził funduszy na zabezpieczenie przyszłości dzieci. Dla niektórych to staje się celem życia. Prawdopodobnie gra tu rolę silny atawizm – chronić własne młode. Ale wcześniej nimi manipulować. Jak nie będziesz grzeczny, nie dostaniesz ani grosza. Uprzywilejowane dzieci bogatych rodziców stają się solą w oku nowoczesnych społeczeństw. Zjawisko doczekało się swojej nazwy – *nepobaby*. A wszelkie próby zmuszenia bogaczy, żeby płacili wyższe podatki – nie tylko z tytułu dziedziczenia – kończą się ucieczką do rajów podatkowych.

Robin Hood przegrywa. Jednak zawsze można pomarzyć o świecie, w którym liczy się życie tu i teraz, bez dalekosiężnych planów. O rzeczywistości, gdzie ludzie pozostają w zdrowych relacjach, które biorą się z radości bycia razem, a nie z czyhania na spadek. Czy wolność to skrzynia pełna złota, czy cieszenie się tym, co dokoła? To zależy, w jakim świecie. W tym, który montujemy od wieków, podstawą jest bank Gringotta i wypchane skarbami skrytki w podziemiach.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 6b8abdb715

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

50 lat temu, w numerze 30. z lipca 1975 r., Michał Radgowski w tekście „Sublokator gór" opisywał, jak wyglądały ówczesne wakacje w Polsce.

„Lato. Szczyt urlopowy. »Trójmiasto i wszystkie ośrodki wypoczynkowe w woj. gdańskim są przepełnione już od maja« pisze »Życie Warszawy«. »Półwysep Helski, Sobieszewo, Stegny. Pojezierze Kaszubskie całe zajęte«. Wizja przerażająca, ale nie: jeszcze jeden nowy przybysz się zmieści, jeśli tylko lubi stadne życie. (...)

Okolice podgórskie: delikatna mgiełka spalin rozsnuta w zielonej kotlinie. (...) Rozmawiam z tubylcem, który udaje górala. Wielka rzeka skarg i narzekań. »Przyjeżdżają tu mówi – wyżerają naszą pulę mięsną i chlebową. I co my z tego mamy?«. »No tak – mówię ostrożnie – rzecz jasna, pewne kłopoty są, ale z drugiej strony na całym świecie turysta jest figurą mile widzianą, przyjedzie, pooddycha, i trochę pieniążków zostawi. Pula pulą, ale przecież jeśli ktoś zje tutaj kawałek zwyczajnej albo czarnego salcesonu, to nie zje w Warszawie czy w Krakowie, a trzeba myśleć w skali całego kraju, a nie jednego województwa«. (...) »Mnie pan nie przekona – mówi tubylec – na świecie jest może inaczej, ale u nas tak. Nie mam nic przeciw turystom (...), ale jedzenie mogliby przywozić ze sobą«.

(...) Pewien mój znajomy, który nieustannie podróżuje po Polsce, sądzi, że wobec zdzierców i wydrwigroszów turyści powinni zastosować broń strajku. (...) Wyłożył mi w skrócie swoje teorie. Ich zasadniczy zrąb tworzy koncepcja Russa o odejściu od natury; nieszczęściem współczesnej turystyki jest przyrost apetytów cywilizacyjnych i rozchwianie naturalnego ideału życia. Człowiek powinien wziąć węzełek lub plecak i włóczyć się po kraju. (...) Bardzo piękny program – powiedziałem – ale co z pulą? Przecież jest pula mięsna, chlebowa, warzywna przydzielona według frekwencji. Jakże tak chodzić po lesie bez puli?".

Konkurs na zdjęcie POLITYKI

Zapraszamy naszych Czytelników do udziału w konkursie fotograficznym „Czytaj w plenerze na papierze". Do 31 sierpnia czekamy na Wasze zdjęcia przedstawiające aktualny papierowy numer POLITYKI w atmosferze wakacyjnej (w ciekawym miejscu lub sytuacji). Oceniana będzie kreatywność oraz poziom artystyczny fotografii.

Zdjęcia (maksymalnie trzy) należy opublikować na swoim profilu w mediach społecznościowych (z oznaczeniem @tygodnikpolityka i hasztagiem #politykanawakacjach) lub przesłać na adres: konkurs@polityka.pl (z podaniem imienia i nazwiska).

Nagrodami w konkursie są prenumeraty naszego tygodnika oraz publikacja zdjęć w numerze, na naszej stronie oraz w mediach społecznościowych. Szczegóły w regulaminie konkursu na stronie polityka.pl/opolityce.

GALERIA POLITYKI

ISKRA, AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki *(Wiceprezes)*,
Katarzyna Białek, Bartek Chaciński

DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY
Katarzyna Białek

Z-CY REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Mariusz Janicki *(Pierwszy Zastępca)*,
Witold Pawłowski, Bartek Chaciński

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.)*,
Julian Sobiech *(reklama cyfrowa)*
PROJEKTY SPECJALNE *tel. 22 451-61-93*

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30*,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Grabowska,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16*,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

WYDANIE INTERNETOWE
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BNP Paribas Bank Polska S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.
Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy.
Kontakt: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

Kontakt w sprawie bezpieczeństwa produktu: gpsr@polityka.pl

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

eprasa.pl 6b8abdb715

Klon na czarownice

Miejskie spacery botaniczne to hit lata. Po składniki na zupę czy sałatkę nie trzeba iść do sklepu. Wystarczy pobliska łąka.

TREND

Naparstnica purpurowa zawiera glikozydy nasercowe, kroplami z nich leczono choroby serca. Stosował je Vincent van Gogh, namalował nawet swojego lekarza z naparstnicą – mówi Barbara Piórkowska, gdańska pisarka, pasjonatka roślin i przewodniczka spacerów zielarsko-literackich. – *Krople łatwo było przedawkować, co oprócz zatrucia dawało widzenie na żółto i zielono. Możliwe, że stąd w obrazach Vincenta tyle żółci.*

Dzierżąc album „Rośliny trujące Pomorza", Piórkowska prowadzi nas przez Oliwę. – *O, podagrycznik* – wskazuje gąszcz w przydomowym ogródku. – *Z liści robi się pesto, sałatki, ocet. Roślina działa przeciwzapalnie, pomaga na dnę moczanową i bóle stawów. Ale jest z rodziny selerowatych, trudno ją odróżnić od innych gatunków, a selerowate, jak szczwół plamisty, szalej jadowity czy blekot, trują, i to na zawsze. Jest jednak sposób: zerwać łodyżkę i sprawdzić przekrój, podagrycznik ma trójkątny.*

Na kanapki i do sałatki świetnie nada się też dwurząd murowy, czyli dzika rukola, oraz kwitnący wiosną bluszczyk kurdybanek. – *Zamiast ze sklepu możemy czerpać wprost z natury* – nie ma wątpliwości Piórkowska. – *O, choćby młode liście lipy, brzozy czy buka. Buk daje też orzeszki, z których można robić kawę, a wiosną sok. Młode noski klonu można marynować.*

Piórkowska swoje – jak mówi – oświecenie przyrodnicze przeżyła kilka lat temu, po chorobie nowotworowej. W oliwskim parku znajduje rzeżuchę łąkową i ulubiony gorczycznik (łac. *Barbarea*), zwany też zielem świętej Barbary. W drodze do lasu schyla się po przytulię czepną, dobrą na menopauzę. – *Badam przy tym magię ludową. Stąd wiem, że na Kaszubach klon chronił przed czarownicami i złymi duchami. Gałązki wplatano w strzechy domów, między deski łodzi i włosy ludzi* – opowiada przewodniczka.

Aleksandra Kozłowska – dziennikarka, autorka książki „Ambulans jedzie na wieś. Śladami wędrownych wyrwizębów" (Znak), współautorka z Mirellą Wąsiewicz reportażu „Islandia i Polacy. Historie tych, którzy nie bali się zaryzykować" (Znak Literanova).

Docieramy do Doliny Elfów. Mały staw, na nim kożuch rzęsy wodnej. – *Ją też można jeść* – informuje Piórkowska. – *Zwana jest wodną soczewicą, bo zawiera dużo białka. To ważna wiedza podczas leśnego surwiwalu. Jak smakuje? Hmm, nie oszalałam. To przez posmak błotka.*

Botaniczne spacery prowadzi też Justyna Pargieła, fitoterapeutka, edukatorka i miłośniczka dzikiej kuchni z Solca nad Wisłą. – *W 2013 r. założyłam sklep ze zdrową żywnością. Klienci potrzebowali więcej wiedzy, poszłam więc na studia zielarskie* – opowiada. Choć ciągle są osoby, które dziwią się, że na skwerku pod blokiem rośnie kilkanaście ziół – choćby perz właściwy, znienawidzony, a działający przeciwzapalnie, moczopędnie i wspomagający odchudzanie – Pargieła zauważa wzrost świadomości wagi zielarskiej wiedzy. Spacery organizuje w całej Polsce. – *Przychodzą na nie głównie kobiety, większość w wieku 40 plus. Często przeszły różne zdrowotne przygody, stąd zainteresowanie ziołolecznictwem i zdrową kuchnią* – mówi.

Ale i mężczyźni przewodzą zielonym spacerom. W Gdyni działa fundacja Ziołogród, prezesuje jej Tomasz Mrozek Gliszczyński. Wiosną na Pustkach Cisowskich uczestnicy wędrówki odkrywali nowalijki z dzikich roślin. Poznali bulwy ziarnopłonu i dziki szczypiorek. Piotra Madaneckiego, doktora farmacji z Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, bardziej interesuje wpływ roślin na nasze środowisko życia. Na tym skupia się podczas prowadzonych przez siebie spacerów.

– *Rośliny zmieniają mikroklimat – dają cień, obniżają temperaturę. Pokazuję to, filmując je kamerą termowizyjną podłączoną do telefonu. Ziemię pokrytą nawet niewielką warstwą krótkiej trawy widać jako ciemniejszą, czyli chłodniejszą* – wyjaśnia. – *Nie mówiąc już o cieniu, który dają drzewa. Drzewa obniżają temperaturę o ok. 8 st., w cieplejszych klimatach nawet do kilkunastu.*

Pokazuje, że świat zwykłych polnych roślin jest fascynujący. Taka np. iglica pospolita i jej skręcające się pod wpływem wilgoci nasionka. Albo szybko reagujące na zmianę wilgoci zarodniki skrzypów. Wystarczy chuchnąć, by zaczęło się widowisko. Teraz projektuje modyfikację mikroskopu cyfrowego, żeby był przenośny. I żeby zielony świat był jeszcze bliżej nas. ■

© SHUTTERSTOCK, ARCHIWUM PRYWATNE, MP, INSTAGRAM.COM/NIEUCZESANA

eprasa.pl 6b8abdb715

TECHNO

Śmierć robota

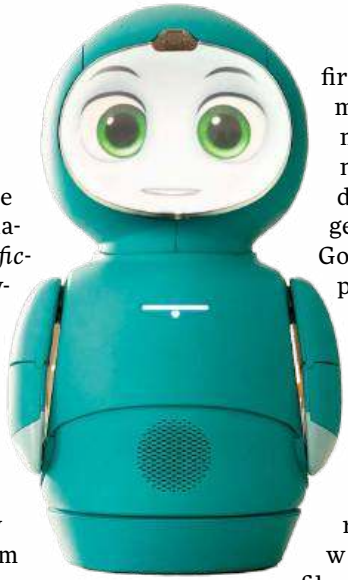

Jak powiedzieć dziecku, że robot nie żyje? Dylemat, który kiedyś był udziałem jedynie bohaterów dzieł *science fiction*, stał się realnym problemem użytkowników **robota Moxie**. To sympatyczna maszyna wyglądająca jak wyjęta z kreskówki, z twarzą-ekranem wyświetlającym różne miny. Firma Embodied Inc. zaprojektowała go, żeby wspierał rozwój emocjonalny, społeczny i poznawczy kilkuletnich dzieci. Plany były ambitne, ale firma zbankrutowała. Użytkownicy otrzymali informację, że w związku z tym wyłączone zostaną serwery i tym samym chmura, z której korzysta robot, wkrótce przestanie działać. Sam Moxie zmieni się więc w plastikową skorupę. Firma przygotowała instrukcję, jak o tym rozmawiać z dziećmi, które zaangażowały się emocjonalnie.

Przypadek Moxie to niestety typowy cykl życia produktów oferowanych przez start-upy, które do działania wymagają obliczeń przeprowadzanych na serwerach. Gdy firma zamyka się i swoje chmury obliczeniowe, gadżety zamieniają się w tzw. cegły. Podobny los spotka AI Pin firmy Humane Inc., przypinkę służącą do komunikacji głosowej z asystentem AI, która miała „zastąpić smartfony". Emblematycznym dla cyfrowego feudalizmu był przypadek firmy Revolv oferującej systemy inteligentnych domów: została wykupiona przez Google i zamknięta, a urządzenia po prostu przestały działać.

Co innego jednak, gdy w cegłę zmienia się stary odkurzacz, kamera albo pralka, a co innego, gdy dotyczy to elektroniki antropomorfizowanej i budzącej emocje. Nie tylko shintoistyczna Japonia, w której urządzane są ceremonie pogrzebowe robopiesków Sony AIBO, dostrzega ducha w maszynie. Gdy na cmentarz elektroniki trafił robot-asystent Jibo, zżyci z nim użytkownicy przechodzili prawdziwą żałobę.

Widać jednak nadzieję dla Moxie – firma w ostatniej chwili zaleciła zainstalowanie aktualizacji, która w przyszłości pozwoli robotowi korzystać z alternatywnego, otwartego oprogramowania OpenMoxie. Scena ładowania do „ciała" Moxie innej osobowości znalazła się w horrorze „M3gan 2.0". Granica między fantazją i rzeczywistością robi się coraz cieńsza.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Ekspić w ekspiacji

Nie ma smutniejszego widoku niż polszczyzna haseł reklamowych w połowie drogi między jedną a drugą edycją Młodzieżowego Słowa Roku. Kończy się wtedy zapas naprawdę popularnych słów i trzeba wymyślać nowe. Stąd bank reklamujący ludziom planującym swoją przyszłość ofertę emerytalną hasłem „nie jutraj" (z kontekstu wiadomo, że chodzi o nieodkładanie do jutra pomysłów na oszczędzanie). Stąd też sieć centrów fitness, która zachęca do tego, by „wyexpić swoją formę". Ekspienie – a częściej właśnie expienie – to nabijanie punktów doświadczenia (ang. *experience points* – w skrócie XP) w grach wideo. W tym kontekście czasownik „expić" jest popularny od dawna, na łamach POLITYKI pojawił się już 20 lat temu, kiedy wielu ekspiących dziś nastolatków nie było jeszcze na świecie.

MÓWIĄ RYMY
Jeszcze z dzieciakiem bez ramienia skleję pionę
I dla głuchego nagram jakiś piękny song
Quebonafide, Melisa, 2025 r.
skleić pionę – przybić „piątkę"

Z czasem ekspienie stało się synonimem samego grania, które w swojej najnudniejszej formie polega głównie na podnoszeniu statystyk. Jeśli ktoś pisze: „Byliśmy tak wyekspieni, że rozwaliliśmy go całkiem sprawnie, chyba za drugim razem" – oznacza to, że grał w zespole postaci o wyśrubowanych współczynnikach różnych istotnych w grze cech i pokonanie przeciwnika okazało się łatwe.

Polska streamerka (to od transmitowania na żywo własnych gier) **Nieuczesana**, która jest bohaterką tej nowej kampanii, zrobiła sobie zdjęcie „przed" (w maju) i oznajmiła, że chce popracować nad sylwetką i formą, przy okazji reklamując klub fitness. Pomysł jest niezły – brzuszki zamiast fragów (eliminacji przeciwnika) i podnoszenie ciężarów zamiast pojedynków z bossami w grze. Wprowadza to elementy gry do życia, choć zarazem pokazuje, że te gry to ciężka praca – bo synonim dla „wyexpić swoją formę" dobrze znamy z innych haseł: „popracuj nad formą".

Samo słowo najmocniej się jednak kojarzy z ekspiacją, czyli wyrażaniem żalu za to, co się zrobiło, połączonym z naprawą szkód. Idealnie pasuje do sytuacji człowieka, któremu zbyt częste ekspienie odebrało formę fizyczną i teraz musi podjąć wyzwanie.

BARTEK CHACIŃSKI

eprasa.pl 6b8abdb715

Leniwe greckie wakacje bez tłumu turystów? To możliwe. Na wyspie Tasos.

Turkus, naturalnie

Na Tasos, nazywaną klejnotem Morza Egejskiego, masowa turystyka jeszcze nie dotarła. Zachwyca przede wszystkim naturą. To jedna z najbardziej zielonych wysp greckich, dwunasta pod względem rozmiarów, ma 25 km długości i prawie 20 szerokości. Zamieszkuje ją ok. 13 tys. osób rozproszonych w kilkunastu miejscowościach wzdłuż wybrzeża. Podczas sezonu za sprawą turystów liczba ta rośnie nawet kilkakrotnie, jednak kompletnie nie da się tego odczuć. Spokojnie można powiedzieć, że na Tasos da się spędzić po prostu leniwe i kameralne wakacje. Nie ma hoteli molochów, są za to piękne plaże, wspaniała natura, dobre jedzenie, niespieszny tryb życia i... mało do zwiedzania. Doskonały przepis na greckie wakacje.

Linia brzegowa wyspy mierzy 98 km, czyli jakieś dwie godziny jazdy samochodem bez zatrzymywania się. Nikt tutaj jednak nie chce pobić rekordu. Poza tym droga układa się w nieskończoną liczbę zatoczek ukrywających kolejne plaże, które można mieć tylko dla siebie – jedna ładniejsza od drugiej, z wodą w kolorze lazuru. Prawdziwe perełki to plaże **Marble** i Salaria. Obie ukryte w niewielkich zatoczkach, oddzielone delikatnym wzniesieniem i kilkoma zakrętami na drodze. Woda jest obłędnie turkusowa, a piasek ma kolor biały, bo plaże leżą u stóp kamieniołomów marmuru. Gotowe kadry na Instagram!

Kolejna plaża, tym razem z piaskiem w kolorze złota, to Golden Beach. Jest dłuższa, rozleglejsza, przez co mniej kameralna, ale znajduje się w zatoce osłoniętej zielonym i pełnym drzew masywem górskim.

Tasos to też wyspa pełna malowniczych klifów z przepięknymi widokami. Na szczycie jednego z nich znajduje się klasztor Archanioła Michała, położony między wioskami Astris i Aliki. Cały monastyr, który założyli w XIX w. mnisi ze słynnej góry Athos, składa się z niedużego dziedzińca z potężną świątynią i niewielkiego kościoła.

Magdalena Gorlas
– dziennikarka w podróży. Publikowała m.in. w „Chicago Tribune", POLITYCE, „Vogue'u", „Dużym Formacie" czy „Piśmie. Magazynie Opinii".

Największą wodną atrakcją wyspy jest naturalny basen morski Giola albo, jak kto woli, „Łza Afrodyty". Według jednej z legend Zeus stworzył dla niej to miejsce do morskich kąpieli. Teraz z uroków basenu skalnego korzystają turyści. I tutaj także nie ma tłumów. Może dlatego, że dotarcie na miejsce wymaga spaceru na piechotę po skałach i cały czas w słońcu, przed którym nie ma się jak schronić. Kąpiel w Gioli wynagradza jednak wszystko.

Warto się też oddalić od morza i pojechać w głąb wyspy. Godzinę drogi od stolicy Limenas, krętymi drogami, można dotrzeć do wsi Panagiá, położonej na porośniętych drzewami dolnych zboczach Ipsarion. Niespieszne zwiedzanie zajmuje trzy godziny. Turyści najczęściej zaglądają do tutejszego Muzeum Oliwy i kościoła wybudowanego w 1831 r. Nieopodal znajduje się plac Trzech Źródeł. Naturalne źródła zapewniają wiosce czystą wodę.

Jeszcze głębiej, na zachodnich zboczach góry Ipsarion, znajduje się najstarsza na wyspie wioska Kazaviti. Latem mieszka tutaj zaledwie kilkanaście osób, czasem trafią się turyści, zimą miejsce pustoszeje. Wioska dzieli się na Mikro (mała) i Megalo (duża) Kazaviti, które są najstarszymi osadami na Tasos, oddalonymi od siebie o jakieś 600 m. Kazaviti to głównie wąskie brukowane uliczki, szare kamienne domy i niewielki kościółek Dwunastu Apostołów, bardzo dobrze zachowany w środku.

Stolicę wyspy Limenas można zostawić sobie na koniec. Tłumów też tutaj nie ma. Podobnie jak w największej atrakcji, czyli Muzeum Archeologicznym, gdzie przechowywane są artefakty z okresu paleolitu: rzymskiego, a nawet bizantyjskiego. Muzeum oprócz tego ma imponującą kolekcję marmurowych rzeźb i popiersi. Trochę wyżej, idąc dalej za muzeum, można wejść na ścieżkę, która wiedzie wokół porośniętego drzewami wzgórza. Dotrzemy w ten sposób aż do Starożytnego Teatru i Akropolu Thassos. Latem odbywają się tutaj m.in. koncerty. ■

© SHUTTERSTOCK, ARCHIWUM PRYWATNE, GETTY IMAGES (2), RAFAŁ MASŁOW

eprasa.pl 6b8abdb715

Wimbledon, najstarszy tenisowy turniej świata, poza zwycięzcami, Igą Świątek i Jannikiem Sinnerem, miał w tym roku też innego bohatera – był nim szampan.

Zielone bąbelki

Słynne francuskie wino musujące z Szampanii miało swoje pięć minut już w ćwierćfinałach debla. Pewien widz nieco zbyt energicznie otworzył butelkę na trybunach w trakcie gry, korek spadł na kort i przeszkodził jednemu z deblistów w serwisie. Sędzia zgodnie z przepisami zakwalifikowała podanie jako autowe, ale upomniała też krewkiego winomana. Sytuacja powtórzyła się w meczach pań Anisimowa–Galdi i Andriejewa–Potapowa, a w końcu w finale singla między Sinnerem a Alcarazem. Zapytany o incydent Sinner – być może dlatego, że wygrał – odparł żartobliwie: „To się tutaj dzieje cały czas. Wimbledon to bardzo drogi turniej!”.

Butelka specjalnego, okolicznościowego szampana **Lanson Wimbledon Edition** kosztuje bowiem 50 funtów (w zestawie neoprenowy rękaw utrzymujący butlę we właściwej temperaturze na czas trwania meczu – sprawdziłem, działa). Lanson od 2001 r. jest oficjalnym sponsorem turnieju, na równi z zegarkami Rolex i piłkami Slazenger. To zresztą żaden ewenement. W Polsce sponsoringu imprez sportowych przez marki alkoholowe (z wyjątkiem piwa) zakazuje ustawa o wychowaniu w trzeźwości, ale na świecie to norma: patronem tenisowego ATP jest inny producent szampana – Moët & Chandon, nowozelandzka marka Kim Crawford sponsoruje US Open oraz turniej w Indian Wells, w każdej zaś transmisji z Australian Open na pierwszym planie pokazuje się wino Jacob’s Creek.

Takich sytuacji jest więcej. Inny australijski producent wina Taylors sponsoruje golf, południowoafrykańska marka First Cape – rugby, w USA winiarze łożą na baseball i futbol amerykański. We Włoszech alkoholowych sponsorów ma połowa sportowych klubów, najwytrwalszy z nich – piemoncka winiarnia Scrimaglio – dyskretnie dotuje czołowe drużyny w paru dyscyplinach. Winiarze szczególnie jednak upodobali sobie tenis i golf. Wiadomo, to najbardziej prestiżowe dziedziny sportu: na trybunach zasiadają celebryci i bogacze, świetnie zorganizowane turnieje śledzone są na całym świecie, sportowy lajfstajl idealnie pasuje do wizerunku marek z jednej strony luksusowych, z drugiej – szeroko dostępnych.

WINO

Wojciech Bońkowski
– od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine. Chief Wine Officer w Studi Media, wydawcy pisma o winie „Ferment”.

Ale Wimbledon to przypadek szczególny. Truskawki ze śmietaną i szampan to filary wimbledońskiej subkultury na równi ze śnieżnobiałymi strojami. Do tego stopnia, że regulamin turnieju już od lat pozwala na przynoszenie na mecze własnego wina, choć zastrzega: „Wszelkie zakorkowane butelki, w tym butelki szampana i wina musującego, muszą być odkorkowane przed zajęciem miejsca na trybunach”. Dawniej pito szampana kulturalnie, a zawodnicy mogli serwować bez przeszkód w postaci spadających na kort korków. Dziś sędziowie muszą co kilka chwil przypominać publiczności o zasadach.

Co ciekawe, wimbledońscy ortodoksi za najbardziej historyczny napój turnieju uważają nie szampana, ale Pimm’s Cup. Ten koktajl na bazie Pimm’s No. 1 (rodzaj angielskiego wermutu) pije się w Anglii od XIX w., a marka Pimm’s ma na Wimbledonie sieć własnych barów od 1971 r. Sponsorami turnieju są też gin Sipsmith i piwo Stella Artois.

A co na to Iga Świątek? Publicznie trzyma się zdrowych izotoników i z szampanem jej nie zobaczycie. Krążą pogłoski, że co jakiś czas wyskakuje na drinka z... największą rywalką Aryną Sabalenką. ■

Jacob’s Creek Sparkling Brut, ok. 37,99 zł (supermarkety)
Pimm’s No. 1, 69 zł (domwhisky.pl)
Lanson Le Black Label Brut, 249,99 zł (sklepy Vininova)
Djokovic Winery Chardonnay 2023, ok. 60 euro (internety zagraniczne)

eprasa.pl 6b8abdb715

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

W podkastowej serii „Portret polityka” przedstawiamy kolejną ważną postać światowego formatu. Xi Jinping jest najpotężniejszym przywódcą Chińskiej Republiki Ludowej od czasów Mao Zedonga. Tak poukładał ustrój, żeby rządzić dożywotnio. Jego władza zaczyna się jednak chwiać. Nie pojawia się na kluczowych zjazdach autokratów, a w kraju jest otwarcie krytykowany. **Czy Xi przestał pasować do Chin i co to oznacza dla świata, referuje w swym podkaście Łukasz Wójcik.**

Milcząca pierwsza dama

Nie chodzi tym razem o Polskę i żonę Andrzeja Dudy, lecz o USA i Melanię Trump. Media w Ameryce donoszą, że to pierwsza dama podburza Donalda Trumpa przeciwko Rosji. Gdy on prowadzi z rosyjskim dyktatorem „cudowne rozmowy”, ona przypomina mu, że ukraińskie miasta są w tym czasie bez przerwy bombardowane. **Czy Melania Trump dokonuje po cichu korekty kursu polityki zagranicznej USA, pisze Mateusz Mazzini.**

Znikające samoloty

Dlaczego w Ukrainie toczy się tak mało bitew powietrznych z udziałem myśliwców? W pierwszym roku wojny obie strony jeszcze strącały wrogie samoloty, a potem samoloty znikły. A właściwie wycofały się za skraj własnych wojsk. To nie przypadek, ale przemyślne działanie. **Kto zdołał wywalczyć przewagę na niebie, kto ma mocniejszą obronę przeciwlotniczą i jaka jest rola maszyn bojowych na współczesnym polu walki, analizują w swojej kronice wojny Michał i Jacek Fiszerowie.**

Weź się odwołaj!

Polscy uczniowie coraz chętniej odwołują się od wyników matur. Nauczyciele ich od tego nie odwodzą, zresztą słabsze wyniki również im wystawiają świadectwo. **„Atmosfera niezadowolenia z siebie i parcia na bycie lepszym przybiera w edukacji rozmiary epidemii”, pisze Dariusz Chętkowski.** Jak dodaje, nawet z lepszym wynikiem młodzież nie zdąży już się zgłosić na wymarzone studia. Czy na pewno tylko o studia tu chodzi, wyjaśniamy na polityka.pl.

Barokowi ludzie renesansu

Nowoczesna muzyka barokowa – to nie oksymoron – może już konkurować z polską sceną hiphopową i metalową. Przekonują o tym w podkaście kulturalnym POLITYKI kontratenor Jakub Józef Orliński i kompozytor Aleksander Dębicz, którzy sami o sobie mówią z uśmiechem: ludzie renesansu, polscy Avengersi. W studiu goszczą przede wszystkim jako dyrektorzy artystyczni nowego festiwalu Break In Classic. W rozmowie z Bartkiem Chacińskim tłumaczą, dlaczego barok też przyprawia o ciarki.

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

© KEVIN FRAYER/GETTY IMAGES, THE WHITE HOUSE/GETTY IMAGES, OXANA CHORNA/GLOBAL IMAGES UKRAINE/GETTY IMAGES, MAŁGORZATA GENCA/POLSKA PRESS/EAST NEWS, LESZEK ZYCH

eprasa.pl 6b8abdb715

OJCZYZNA DON KICHOTA

KUP TERAZ

W sprzedaży

148 stron

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Wydanie audio – **sklep.polityka.pl** i **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 6b8abdb715

BNP PARIBAS

Pierwsza taka karta dla biznesu

Karta Mastercard Business World Elite

Pierwsza w Europie karta obciążeniowa, która wyznacza nowy standard wśród liderów biznesu. Łączy w sobie prestiż i wyjątkowe przywileje. Karta zapewnia również bezpieczeństwo, wygodę płatności i komfort w podróżach służbowych.

- Członkostwo w programie Priority Pass™, które daje dostęp do saloników VIP na lotniskach na całym świecie[1]
- Usługa Fast Track, czyli szybka ścieżka przejścia kontroli bezpieczeństwa na lotniskach
- Szeroki pakiet ubezpieczeń, w tym ubezpieczenie podróżne
- Bezpieczeństwo danych z usługą Mastercard ID Theft Protection™

bnpparibas.pl

[1] Członkostwo w programie Priority Pass™ daje możliwość płatnego wejścia do saloników. Opłata zostanie naliczona automatycznie na rachunek karty użytkownika i regulowana raz w miesiącu. Szczegółowe informacje o karcie obciążeniowej Mastercard Business World Elite oraz warunki ubezpieczeń dostępne są na stronie www.bnpparibas.pl/przedsiebiorstwa/obsluga-biezaca/karty/karta-obciazeniowa-mastercard-business-world-elite i w „Regulaminie Kart Płatniczych dla Klientów Korporacyjnych oraz Klientów Segmentu Małych i Średnich Przedsiębiorstw". Informacje o usłudze Mastercard ID Theft Protection™ dostępne są na stronie https://mastercardeurope.idprotectiononline.com. Materiał nie jest ofertą. BNP Paribas Bank Polska S.A. z siedzibą przy ul. Kasprzaka 2, 01-211 Warszawa, zarejestrowany w rejestrze przedsiębiorców Krajowego Rejestru Sądowego przez Sąd Rejonowy dla m. st. Warszawy w Warszawie, XIII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego pod nr KRS 0000011571, posiadający NIP 526-10-08-546 oraz kapitał zakładowy w wysokości 147 880 491 zł w całości wpłacony.